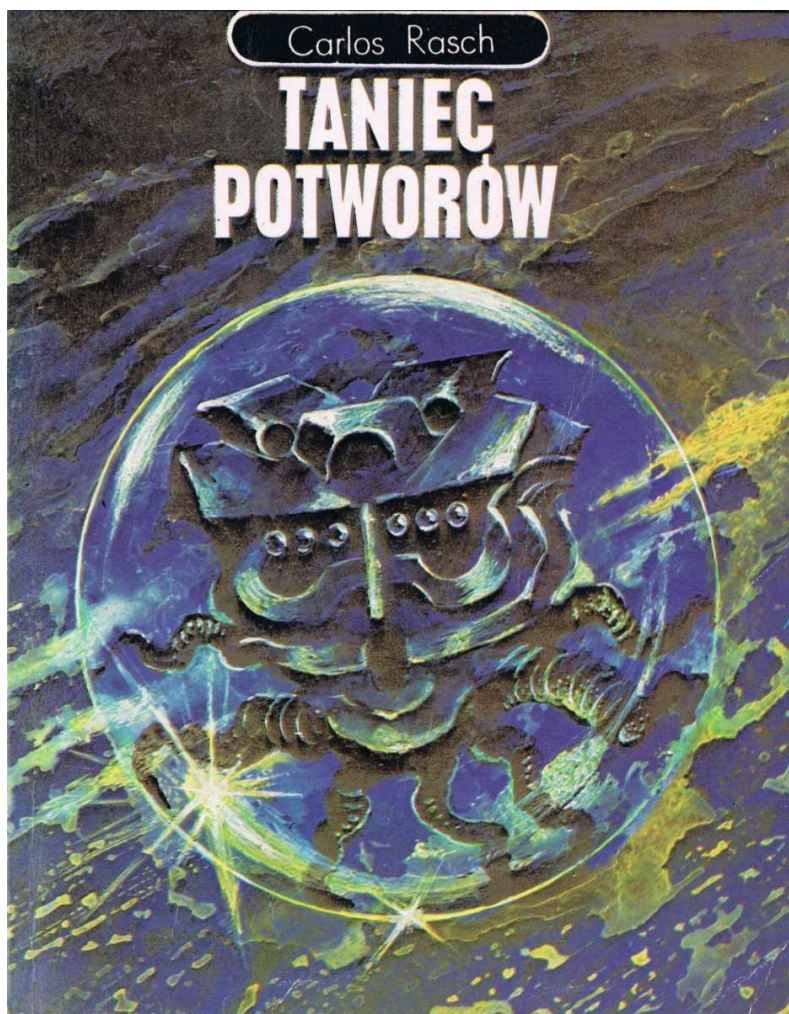


CARLOS RASCH

TANIEC POTWORÓW

PRZEKŁAD: SALVATOR TARLEY



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA WARSZAWA 1980

Carlos Rasch urodził się 6 kwietnia 1932 roku w Kurtybie w Brazylii. W 1938 roku powrócił do Niemiec. Po drugiej wojnie światowej osiadł w Falkensee koło Berlina, gdzie mieszka do dzisiaj. Swoją karierę zawodową rozpoczął jako tokarz. Od 1951 do 1965 roku pracował jako dziennikarz. Zadebiutował wydaną w 1961 roku powieścią „Łowcy asteroidów” (polskie wydanie „Iskry” 1968), która w 1970 roku została sfilmowana w wytwórni DEFA. Opublikował 6 powieści SF oraz kilka zbiorów opowiadań. Wiele z nich przetłumaczone zostało na 19 języków. Jest aktywnym działaczem międzynarodowego ruchu science-fiction, przewodniczącym klubu SF w Falkensee i członkiem- korespondentem OKMFiSF.

NA ZEWNĄTRZ ŚWIATA

Chrzest

Norbert i Ingo siedzieli w centrali kontroli i z zaciekawieniem zerkali w ekran, pokazujący wnętrze pomieszczenia katapult przesłaniane co chwila twarzą lub ręką Nory, przygotowującej się do pierwszego etapu ich roboczego planu – lotu ćwiczebnego małą, zwiadowczą raketką.

Ich macierzysty statek znajdował się jeszcze na wokółziemskiej orbicie, ale już jutro miał ożyć, poruszyć się – początkowo powoli i ociężale – by podążyć do strefy asteroidów i na Jowisz.

– Nora przyszła do nas prosto ze statku szkolnego, prawda? – zapytał Ingo. – Bezpośrednio po skończeniu szkoły, tak?

– Tak, to będzie jej pierwszy daleki lot – odpowiedział Norbert.

– Pytanie tylko, czy aby na pewno będziemy mogli polegać na niej w każdej sytuacji?

– Komendant szkoły wybrał właśnie ją, a psychologzy bez oporów dali jej swoje błogosławieństwo. To czego się czepiać?

– Co sobie szanowni psychologzy myślą, to jedno – odparł Ingo – ale czy w praktyce okaże się, że dorosła do każdej sytuacji, to zupełnie inna historia. „Papierek wypluty z uczącego komputera – to zdanie Ingo pomyślał na swój użytek – to tylko teoretyczna ocena. Zgadywanka. Ale ludzie nie powinni przecież funkcjonować opierając się na metodzie prób i błędów, więc chyba jeszcze dosyć długo potrwa, zanim to dziewczątka pozyska sobie nasze zaufanie”...

Norbert westchnął i odezwał się, jakby tę ostatnią myśl kolegi usłyszał:

– Chyba rozumiem. Chciałbyś, zgodnie z tradycją, wyprawić jej porządny chrzest, jak wszystkim innym nowicjuszom...

– Prawidłowo. A najlepiej byłoby już teraz. Podczas tego ćwiczebnego lotu.

– A jeżeli coś jej się złego przytrafi?

– Bez przesady. Co niby złego może się stać? Popatrz tylko w iluminator. No? Jak nie miniaturowy sputnik, to kosmolot, albo przynajmniej kosmiczny ślizgacz – śmiga toto i uwija się po wszystkich orbitach tuzinami. Zawsze ktoś pomógłby jej o wiele prędzej, niż zdążyłaby się porządnie przestraszyć.

– Ocenę, czy w nieprzewidzianej sytuacji straciłaby głowę, czy nie, powinniśmy przede wszystkim pozostawić psychologom – mruknął Norbert.

– Do licha! Chrzest kosmiczny to przecież tylko dobry i niewinny żart! Czy ty musisz brać wszystko aż tak poważnie?

– Noo, dobrze. Zgadzam się... – i Norbert wywołał na ekranie twarz Ombo, który miał towarzyszyć dziewczynie podczas jej pierwszego lotu, w drugiej małej rakiecie. Ingo zniknął tymczasem, żeby przygotować Norze małą niespodziankę...

Kilka chwil później z ekranu kontrolnego Nora zameldowała, że jest gotowa do startu:

– Rampa wystrzałowa sprawdzona, skafander zapięty, sprawny. Ciśnienie w normie.

Norbert uśmiechnął się do niej przyjaźnie, rzucając w mikrofon:

– Pełna gotowość startowa. Załoga na miejsca!

Nora i Ombo skoczyli ku swoim rakietom. Przewinęli się zwinnie przez ciasne luki, zapadli w głębokie fotele, zapięli pasy i rozpoczęli ostatnią przedstartową kontrolę. Wstępne strojenie sprzętu oraz połączenie z kabiną kontroli i Nora i Ombo uzyskali w tym samym mniej więcej czasie. – No, no, jak na początek wcale nieźle – mruknął Norbert z uznaniem, a głośno do mikrofonu powiedział:

– Uwaga! Bezpośrednio po zakończeniu procedur nic nie robić. Po pięciu sekundach, kiedy odstęp bezpieczeństwa od statku macierzystego będzie już wystarczająco duży, możecie rozpoczynać korektę kursu. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odpowiedziała Nora i skinęła głową na tyle, na ile było to w hełmie skafandra możliwe. W jej głosie Norbert wyczuł niemal niezauważalny ślad gniewu – Nora oczywiście uważała te ostatnie wskazówki za najzupełniej zbyteczne.

Automat liczył: „Trzy. Dwa. Jeden. Zero...!”

W tym samym momencie, w którym łapy katapult wypchnęły w próżnię dwie miniaturowe rakiety, w sterowni znowu pojawił się Ingo. „Start nowicjuszek Nory rozpoczęty zgodnie z programem” zarejestrował w przystawce pamięciowej pokładowego komputera, potem usiadł przy konsoli obok Norberta.

– Parabola dryfu w normie – mruknął tamten.

– No, zaraz dowiemy się, czy dziewczyna jest przytomna, czy nie... – bardzo cicho powiedział Ingo. Przez chwilę i w jego głosie słychać było nutę troski o to, jak Nora poradzi sobie w zastawionej na nią pułapce.

Na zewnątrz obie rakiety zaczęły ustawiać się w zaprogramowanym porządku. Wykonały pierwszy zwrot, drugi i... nagle kosmolot Nory nieoczekiwanie zaczął kręcić się w kółko.

– Aha! Zabawa trwa! – Ingo pochylił się ku ekranom, przysłuchując się uważnie dolatującym z głośnika słowom.

– Pomóż, Ombo – Nora mówiła jak przestraszone dziecko. – Coś dziwnego dzieje się z kosmosem. Wiruje jak szalony. Zaraz, zaraz, albo dysza sterownicza z lewej strony przecieka, albo jest wyłączona. Ale dlaczego? Ombo? Ombo!

– Taak?

– Ombo. Jesteś bardziej doświadczony. Ombo! Odezwij się. Ombo! Jak mam zatrzymać ten zwariowany kosmos?

– Powinnaś wysiąść, a potem tak długo walić maszynowym kluczem w zepsutą część, aż sama wróci do normy.

– To bardzo praktyczne – zaśmiała się Nora. – Tyle tylko, że nadal nie wiem, co się zepsuło...

– Człowieku! Dziewczyno! – Ingo włączył się do rozmowy z udawanym zaskoczeniem i gniewem. – Ćwiczenie, które w tej chwili wykonujesz, wcale nie było w programie lotu przewidziane! Co się, u licha, dzieje? Jeżeli nie przestaniesz tak tańczyć...

– Bardzo mi przykro – odpowiedziała Nora. – Spójrz w dal, jeżeli od patrzenia na mój „taniec” zakręciło ci się w głowie.

W międzyczasie udało się jej jednym krótkim wybuchem z pomocniczej dyszy skontrolować obroty statku i w ten sposób zrównoważyć nieprzewidzianą rotację. A kiedy już położenie rakiety stało się ponownie stabilne, Nora zameldowała:

– RZ-1 do Kontroli! Defekt dyszy sterowniczej numer pięć. Proszę o pozwolenie wyjścia w przestrzeń celem naprawy uszkodzenia.

– Kontrola do RZ-1! Uwaga! Zezwalamy na dokonanie reperacji. Wskazania szczególne: Nie używać liny bezpieczeństwa, bo w tej sytuacji w razie kolejnego kontrobrotu może dojść do zaplątania się między dysze – w głosie Norberta słychać było wyraźny niepokój.

– Tak jest – powiedziała Nora. – Zrozumiałam.

Zgodnie z instrukcją jeszcze raz skontrolowała swój skafander. A po chwili Norbert i Ingo zobaczyli jej sylwetkę na progu śluzy, jak bez wahania daje krok w czarną przepaść.

– Kiedy piętnaście lat temu musiałem po raz pierwszy w życiu przy podobnej okazji wyjść z rakiety – powiedział Norbert – piekielnie się bałem. Mało brakowało, a wołałbym swoją mamę na pomoc.

– A ja na statku szkolnym tyle razy ćwiczyłam takie wyjście – powiedziała Nora – że odzwyczaiłam się od strachu.

Czarne niebo ożyło nagle – to ze stożka cienia Ziemi wyskoczyła płynąca ku nim jasna gwiazda, otoczona rojem świecących punkcików. Wkrótce zbliżyła się tak, że można było rozpoznać nową, budowaną właśnie stację kosmiczną, wokół której uwijali się monterzy w próżniowych ślizgaczach. Nie opodał wisiąco nieruchomo siedem czy osiem raket ciężarowych w pasie orbity parkingowej. Nora przez chwilę patrzyła na nie, na sunącą nad nią Ziemię, potem zabrała się do roboty.

Uszkodzenie było stosunkowo proste – zaledwie kilka odkręconych muter. Nora poradziła sobie szybko i wtedy...

Przekładała właśnie klucz uniwersalny z jednej ręki do drugiej, kiedy rozpoczął się przewidywany kontrobrót rakiety. Trzymała się za słabo, więc momentalnie została odepchnięta w bok – popłynęła przez przestrzeń podobna do szarpanego na wszystkie strony manekina. Z jej gwałtownych ruchów można było poznać, że straciła nad sobą kontrolę.

Ingo również nie wiedział, co w tej chwili powinien zrobić. Przede wszystkim myślał ze strachem o tym, co na temat tego nieszczęsnego chrtu powie komendant, który za dopuszczenie do podobnej sytuacji z pewnością stanie do karnego raportu. I tylko Norbert pozostał spokojny – w każdym razie nie dał po sobie poznać, o czym myśli w tej chwili – wołając w mikrofon:

– Halo Ombo na RZ-2! Uwaga! Wchodź na orbitę manewrową. Stosuj wszystkie możliwe środki zaradcze!

Potem szybko przełączył radiostację i wołał znowu:

– Halo Stacja KXQ! Tu kosmolot NIMBUS na orbicie spoczynkowej cztery! Uwaga: Człowiek w przestrzeni! Stan pierwszego zagrożenia kosmicznego! Skierujcie kogo tylko można do dolnej strefy pasa Van Allena. Akcja ratownicza została rozpoczęta osiem sekund temu przy pomocy własnych środków.

– Halo NIMBUS! Tu KXQ! Włączamy się do akcji.

Norbert ponownie przestroił radiostację na falę odbioru indywidualnego i zaczął spokojnie, bardzo spokojnie mówić:

– Nora. Tu NIMBUS. Jak mnie słyszysz? Uważaj na to, co powiem...

Wydawało się, że Nora musiała wpaść w naprawdę wielką panikę, bo nadal wykonywała jakieś nieskoordynowane ruchy, nie reagując na żadne wezwania.

– Nora! Halo, Nora! Słyszysz mnie? Nora!!! Opanuj się, zastanów! Przypomnij sobie instrukcję: podstawą wszelkiej akcji ratowniczej jest maksymalny spokój i współdziałanie. Zrozum, że nie stało się nic groźnego...

– Nora. W tej chwili, jak już kilkaset razy podczas nauki, wędrujesz po orbicie Ziemi. Ani na moment nie tracimy cię z oczu. Widzisz RZ-2? Ombo nie odstępuje cię ani na krok. Słuchaj, poranna gimnastyka w kosmosie to bardzo ciekawe, ale proponuję ci skończyć. Przyciągnij ręce i nogi do siebie. Spokojnie. Zwiń się w kłębek. Potem wyciągnij się tak samo powoli, ostrożnie i spróbuj utrzymać równowagę. Balansuj ciałem. Teraz powtórz. I jeszcze raz. Widzisz, jak łatwo? A teraz połóż się spokojnie na orbicie...

Jego łagodny ton sprawił, że Nora opanowała się nareszcie, patrząc na zbliżającą się ku niej raketę Ombo.

Norbert wyłączył radiotelefon i sapnął:

– Uff! Ale się zdenerwowałem. A wszystko przez ten twój zakichany chrzest!

– Dlaczego? Ostatecznie nic się nie stało. Dyszę naprawiła, a o tej gimnastyce sama będzie wołała jak najszybciej zapomnieć.

– Gorzej będzie, jak komendant to zapamięta – mruknął Norbert.

Ingo zamilkł speszony i poczerwieniał.

Tymczasem Ombo wziął Norę na pokład RZ-2 i skierował się ku drugiej rakietce, by wziąć ją na hol magnetyczny. Norbert włączył radiostację i słuchał, jak Ombo mówi do dziewczyny:

– A o swoim kluczu uniwersalnym musisz oczywiście napisać w raporcie. Dadzą mu wtedy numer rejestracyjny i nową nazwę.
– Jaką? – zainteresowała się Nora.
– Mini-śmierć – poważnie odpowiedział Ombo.
– Ech, zaśmiałałabym się, gdyby wypadało nie wierzyć starszym, doświadczonym kolegom – Nora przekrzywiła głowę zabawnie i łobuzersko przymrużyła oko.
Norbert i Ingo odetchnęli z ulgą. A potem zgodnie zawołali w mikrofon radiostacji:
– NIMBUS do KXQ! NIMBUS do KXQ! Stan pierwszego zagrożenia kosmicznego odwołany!

Niewinny robot

Od kilku miesięcy nie zdarzyło się nic szczególnego. W dążącym do strefy asteroidów NIMBUSIE panował stan, pospolicie nazywany nudą. Wciąż ta sama, milcząca i czarna samotność dookoła statku, wciąż te same, codzienne zajęcia i sprawy.

Nie podejrzewająca niczego Nora jechała windą z głównego kadłuba do swojej mieszkalnej gondoli, umieszczonej na szczycie długiego, ażurowego ramienia ze stali. Wszystkie kabiny były umieszczone tak samo, by dzięki rotacji zapewnić mieszkańcom statku choć minimum siły ciężenia. W gondoli, ku której ślizgała się winda, mieszkało kilkanaście osób – Nora zastanawiała się właśnie, czy nie warto byłoby wpaść do kogoś, żeby chwilę pogadać, ale kiedy drzwi windy otwierały się, jeszcze nie była zdecydowana. Wyszła – drzwi windy zamknęły się za nią bezszelestnie.

– Oczywiście – pomyślała Nora. – Znowu zepsute lampy w korytarzu. Pali się tylko co druga, a i to miga niepewnie...

Zrobiła jeden krok, drugi – i nagle jakiś obcy głos z tyłu zabrzmiał za nią przyciszony, ale przecież groźny:

– Stać! Proszę zrobić dwa kroki i nie odwracać się od ściany. I niech się pani nie waży wołać o pomoc. I tak nikt nie przybiegnie...

Nora poczuła, że nogi ma miękkie jak z waty. Posłusznie stanęła przy ścianie, lecz kiedy usłyszała za sobą czyjeś ostrożne kroki, nie wytrzymała. Wbrew ostrzeżeniu odwróciła się patrząc w stronę, z której dobiegał głos. Naprzeciw, tuż, tuż przed sobą zobaczyła idącego ku niej robota. Robot, który mówi do człowieka w ten sposób? I jakiś dziwny – takiego Nora jeszcze nie widziała. Oszołomiona wpatrywała się w migające na jego piersi kontrolki. Robot wyciągał już ku jej głowie swoje metalowe ramię zakończone wielkimi szczypcami manipulatora. Nora ze zdławionym okrzykiem schyliła się, przemknęła pod łapą androida i kilkoma szybkimi skokami znalazła się w swojej kabinie, zatrzasnąwszy za sobą przesuwne drzwi. Przez chwilę czuła się bezpieczna, ale gdyby robot zechciał sforsować wejście...

Nora podbiegła do wizjofonu i nerwowo naciskała guziki połączenia z gabinetem komendanta statku. Pomyliła się kilka razy, wreszcie odetchnęła z ulgą – ekran przed jej twarzą zaczął rozjaśniać się powoli. Jąkając się niepewnie opowiedziała komendantowi o przeżytych przed chwilą osobliwym zdarzeniu. Tamten popatrzył na tablicę kontrolną, potem powoli potrząsnął głową.

– To niemożliwe – powiedział. – Fantazjujesz. Wszystkie roboty są nieaktywne i stoją w swoich wnękach. Musiałaś ulec jakiejś halucynacji. Wiesz co? Najlepiej idź do Karin – niech ci wyjaśni, na czym to polega. Przecież sama wiesz, że ludzkim zmysłom tu, w kosmosie, często brakuje tej różnorodności wrażeń, do jakiej zostały przyzwyczajone na Ziemi. W efekcie same, podobnie jak we śnie, stwarzają imaginacyjne osoby i zdarzenia. Ale nie martw się. Tego typu halucynacje to dosyć normalne. Miną jak przyszły i nawet nie zauważysz, kiedy.

Ekran zgasł. Nora odetchnęła z ulgą, lecz mimo to nadal nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Jak na halucynację ten robot był zbyt prawdziwy...

Odsunęła troszkę drzwi, wyrzała ostrożnie – korytarz był pusty...

W międzyczasie robot odszedł cicho spod kabiny, w której mieszkała Nora, posłuszny rozkazom sunącej za nim, niewyraźnej postaci. Zaledwie kilka kabin dalej zatrzymał się znowu. Metalowe ramię dotknęło brzęczyka. Po chwili drzwi rozsunęły się bezszelestnie i stanął w nich zaspany, przecierający oczy mężczyzna, który na widok nieznanego robota na chwilę skamieniał, potem usiłował skoczyć w głąb pokoju, lecz zatrzymał go wypowiedziany groźnym szeptem rozkaz:

– Stać spokojnie. Inaczej strzelam. Jesteś radiotelegrafistą Ingo?

– Tak. Ale...

– Nie gadać bez pytania. Nie wzywać pomocy. Jaki jest twój osobisty kod? Szybciej. Mów!

Metalowe szczypce wyciągnęły się ku szyi zaskoczonego człowieka. A potem Ingo, podobnie jak przed chwilą Nora, przemknął pod stalową ręką, lecz tuż za plecami androida obrócił się zwinnie, szarpnął metalową klapę na plecach robota, otworzył ją z trzaskiem, momentalnie przekręcił zwinnymi palcami odnaleziony pod pancerną pokrywą wyłącznik. Ramię robota zamarło w połowie ruchu. Ingo klepnął maszynę po blaszanym barku, zagadał do niej żartobliwie:

– Nie ma strachu, kolego. Już po krzyku...

– A szkoda – zabrzmiał męski głos z końca korytarza. – Z Norą poszczęściło mi się o wiele lepiej...

Ingo spoważniał raptownie, zeszywniał, obrócił się powoli i... parsknął cichym śmiechem na widok nadchodzącego korytarzem Norberta.

Wspólnie wpełnęli robota do kabiny radiotelegrafisty i dokładnie zamknęli drzwi.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś takim zapalonym majsterkowiczem – śmiał się Ingo.

– No cóż, przecież trzeba sobie zapełnić czas jakimś pożytecznym zajęciem.

– Czy on potrafi robić coś więcej, prócz straszenia ludzi? – zainteresował się Ingo.

– Oczywiście – zapewnił Norbert i ponownie uruchomił robota. – Spełni każde polecenie.

– To niech mi przyniesie kawę – Ingo ziewnął rozdzierająco.

– Słusznie. Ja też się napiję.

Robot wyszedł i niemal natychmiast z korytarza doleciał przeraźliwy krzyk.

– Zdaje się, że Nora ma dzisiaj pecha – zaśmiał się Norbert. – To już drugi raz dzisiaj.

Wyrzał na korytarz, ale i Nora i robot już zniknęli z pola widzenia.

– Chyba pomyślała, że twoje arcydzieło to jakiś kosmiczny upiór.

Norbert przeszedł się po kabinie, zatrzymał się przy stoliku zawalonym dokładnie miernikami i poplątanymi przewodami oraz połączonymi – z pozoru w najbardziej fantastyczny sposób – półprzewodnikami, tetrodami i kriotronami.

– A co ty robisz, Ingo? – zapytał.

– Aa, taki tam układ... Deszyfrator.

– Do czego?

– Byłoby dużo gadania...

– To gadaj. Mamy czas.

– Widzisz, chodzi o te sygnały...

Z głośnika wydobył się cichy szum, przerywany co chwila cokolwiek głośniejszymi trzaskami. Norbert po chwili ze zdziwieniem wyłowił uchem poszczególne, powtarzające się dość regularnie sekwencje. Potem zaczął palcami na brzegu stolika wystukiwać usłyszany rytm.

Przez twarz radiotelegrafisty przebiegł uśmiech zadowolenia.

– Zupełnie dobrze. Sam przyznasz, że jest to szum zastanawiająco regularny. Wręcz uporządkowany. Czy nie odnosisz wrażenia, że to chwilami brzmi jak sygnał pochodzący z bardzo daleka?

Norbert skinął głową i zamyślił się. potem spytał półgłosem:

– Przypuszczasz, że nadawcami tego sygnału są jakieś rozumne istoty? Musiałyby być na bardzo wysokim stopniu rozwoju.

– A czy tylko ludzie mają prawo określać się mianem istot myślących? Przecież o tym, że nie jesteśmy w kosmosie sami, wiadomo od początku lotów kosmicznych. Zastanawia mnie tylko jedno – częstotliwość. Fal milimetrowych na powierzchni Ziemi nie można odbierać.

– To jeszcze pamiętam z kursu: atmosfera ziemiska absorbuje fale milimetrowe. Prawdopodobnie sprawia to zawarta w niej para wodna.

– Więc co myślałbyś, gdyby ktoś wysyłał w przestrzeń sygnały, których ty nie mógłbyś zarejestrować?

– Przecież każdy nadawca chce z pewnością, żeby wysłana przez niego informacja znalazła odpowiedniego odbiorcę. Takiego, który byłby podobny do niego.

– O właśnie! – ożywił się Ingo. – Ale mów dalej...

– Można stąd wyciągnąć wniosek, że nadawca tych sygnałów mieszka na planecie, na której przypuszczalnie brak pary wodnej w atmosferze. A w takim razie te znaki nie byłyby adresowane do nas...

Brzęczyk przy wejściu poderwał ich niczym sygnał alarmowy. Obaj myśleli, że wrócił robot z zamówioną kawą, lecz kiedy otworzyli drzwi, zobaczyli za nimi znajomego technika z sąsiedniej gondoli. Mężczyzna wetknął głowę między skrzydła drzwi i zapytał:

– Nie widzieliście tu uszkodzonego robota? Nora twierdzi...

– Uszkodzonego? Nie.

– A może to jeszcze jeden z twoich żartów, co, Norbert? Chyba, że tym razem Ingo...

– Nie masz nic lepszego do roboty, tylko przeszkadzać nam w poważnej rozmowie? Przecież od początku lotu ani razu jeszcze nie uaktywnialiśmy robotów – burknął Norbert, a potem zapytał zjadliwie:

– Mówisz, że Nora widziała. A czy ty, kochany, nie masz czasem podobnych halucynacji?

Technik przeprosił i szybko zamknął drzwi. Ingo nadal był głęboko zamyślony – wydawało się, że w ogóle nie zauważył technika – i powiedział wreszcie:

– Wiesz, chyba coś w tym jest... W każdym razie twoja hipoteza podoba mi się, bo... dopuszcza również całkiem przeciwstawne wnioski. Posłuchaj tylko: Nadawca może adresować swoje sygnały do wszystkich, którzy już rozpoczęli podbijanie próżni. A wobec tego mogą poruszać się poza obrębem atmosfery swoich planet. Czyli fakt nadawania na falach milimetrowych wcale nie określa jednoznacznie, z jakiej planety pochodzą sygnały.

– Szkoda tylko, że nic nie wiemy o mentalności tamtych istot. Jak długo hipotezy pozostaną dla nas tylko hipotezami, tak długo i ty i ja będziemy mieć rację.

Przerwali na chwilę. Norbert podszedł ku drzwiom i otworzył je właśnie w tym samym momencie, kiedy rozległy się czyjeś wymyślenia. To Nora spotkała robota po raz trzeci. Norbert wyskoczył na korytarz, lecz było już za późno – popchnięty przez Norę android stracił równowagę, z brzękiem poleciał na podłogę filiżanki z kawą. Dziewczyna stanęła przed roześmianymi mężczyznami, parsknęła gniewnie: „Znowu te bezczelne halucynacje!” Odstąpiła do tyłu, rzuciła ku Norbertowi zjadliwie, choć oczy jej śmiały się już wesoło:

– Halucynacja robota to drobiazg. Ale o czym mogą sobie myśleć dwa takie nieszczęsne kosmiczne upiory?

– Och, o niczym ciekawym. Właśnie razem z Ingo zastanawiałem się, czy w naszym oświeconym wieku jeszcze istnieją ludzie, którzy boją się robotów – z bardzo niewinną miną

odpowiedział Norbert.

Tym razem zaśmiali się zgodnie już we trójkę.

Awaria przed Jowiszem

Podłużny, obły cień sunął wśród gwiazd bezszelestnie, uparcie mknąc coraz dalej i dalej od macierzystego słońca, nie większego z tej odległości, niż ziarenko grochu. Niewidoczna Ziemia zakreślała gdzieś tam, w czarnym niebie, swoje odwieczne koła. Ludzie na statku wspominali jej zielone pagórki i błękitne morza – tak wiele miesięcy upłynęło już od chwili, kiedy opuścili swą rodzinną planetę. Ich cel był niemal osiągnięty...

Kosmolot był swego rodzaju stalowym jajkiem, chroniącym delikatne ludzkie ciała przed wrogimi warunkami kosmosu. I spełniał swoją funkcję doskonale przez cały czas długiej podróży. Lecz zbliżał się moment, w którym statek miał zmienić się raptownie – ludzie nie podejrzewali jednak ani przez pół chwili, że stalowy pancierz okaże się tylko złudną ochroną.

Olbrzymi Jowisz wypełniał już prawie połowę nieba – w porównaniu z jego ogromem cały ludzki statek stał się niemal niezauważalnie mały i wydawał się tym mniejszy, że samotny. Przyzwyczajeni do ziemskiej skali ludzie czuli się w pobliżu Jowisza zdecydowanie źle. Wyczuwali coś złowrogiego, ale nie umieliby powiedzieć, co. Szczególnie Karin uroiła sobie, że od rosnącej bez przerwy planety dobiega ku nim głuchy, przytłumiony, dudniący szum. „Złudzenie, to na pewno tylko złudzenie spowodowane przewrażliwieniem” – myślała o tym swoim uczuciu z gniewem, opuszczając sterownię statku. Dałaby wiele, żeby podobnym urojeniem okazały się osobliwe sygnały, które od wielu dni dobiegały do anten statku nie wiadomo skąd. Z niezmierzonej głębi kosmosu, albo... Na razie jeszcze nikt na pokładzie nie odważył się wymówić na głos przypuszczenia, które nurtowało wszystkich niemalże od pierwszej chwili po odebraniu początkowych sekwencji impulsów. Karin otarła dłonią oczy i czoło, usiłując odegnać zmęczenie, któremu uległa po ustawicznym, nieprzerwanym czuwaniu przy przyrządach pomiarowych. Zerknęła w głąb centrali i ujrzała kilkunastu kosmonautów, pochylonych nad rzędami klawiszy i szeregami najeżonych dźwigni, jak uważnie i czujnie śledzą obrazy ukazujące się co chwila na ekranach. W tych poważnych, skoncentrowanych ludziach zaledwie rozpoznała swoich kolegów, którzy jeszcze parę dni temu płatali sobie nawzajem najrozmaitsze psie figle. „Dlaczego komendant nie rozkazał zmienić kursu? – pomyślała z nieoczekiwanym rozdrażnieniem. – Przecież za jakiś czas, jeżeli tego nie zrobią, statek wpadnie w radiowy cień Jowisza, a wtedy skończy się odbiór tajemniczych sygnałów. Chyba każdy głupiec po winien rozumieć, że nie pochodzą one ani z Ziemi, ani z Jowisza, ani nawet z żadnego z jego księżyców”.

Komendant musiał wyczuć jej spojrzenie, bo podniósł głowę i popatrzył na Karin.

– Wiem, co w tej chwili myślisz – powiedział. – Ale przecież nie jesteśmy chyba jedy-
nymi, którzy te sygnały odbierają. Na przykład NIMBUS. Działa również w bez pośrednim
pobliżu Jowisza. Wiesz przecież, że Ingo to doskonały radiowiec. Chyba jeden z najlepszych
fachowców w całej flocie kosmicznej. On tak samo musiał te sygnały usłyszeć. A skoro inni
je odbierają, to czy wolno mi ryzykować manewr SOLARII właśnie tu, w tym cholernym
polu grawitacyjnym planety-gwiazdy? I nie dość tego, że grozi to upadkiem na jej powierz-
chnię. W polu o tak monstrialnej sile każda korekta kursu wymaga co najmniej trzykrotnego
zużycia paliwa. Oczywiście wiesz, czym to w efekcie grozi...

– Oczywiście wiem... – westchnęła Karin. – Masz rację. To tylko z nadmiaru wrażeń
spowodowanych odebraniem tych sygnałów nie potrafię w tej chwili logicznie pomyśleć.
Dobrze, że ty za to nie straciłeś głowy.

Statek zbliżał się coraz bardziej do strefy cienia. Zanim jeszcze zapadł w nią ostate-

cznie, zanim ucichły dobiegające z radiostacji dalekie szумы i trzaski, wszyscy skupili się naokoło głośnika, wsłuchując się uważnie, jakby pragnęli zrozumieć, co nadają w kosmos oddaleni, rozumni bracia ludzi.

Tarkon – poważny najbardziej i najbardziej znany naukowiec biorący udział w wyprawie – powiedział:

– Taak, nie ma chyba już żadnej wątpliwości. To są znaki wysyłane przez istoty rozumne, egzystujące gdzieś daleko, daleko poza naszym systemem słonecznym. Powinniśmy uważać się za szczęśliwych, że to właśnie my je usłyszeliśmy jako jedni z pierwszych ludzi. Tak więc...

Jego słowa zginęły wśród okrzyków tak kobiet, jak i mężczyzn usatysfakcjonowanych, że ich przypuszczenia potwierdza również tej rangi naukowiec. Czuli się szczęśliwi, że jako nieliczni spośród piętnastu miliardów ludzi przeżyli tę najpiękniejszą chwilę w historii ludzkich lotów kosmicznych. Także i Karin poddała się nastrojowi chwili – podbiegła do Tarkona, uścisnęła po przyjacielsku jego rękę. Wszyscy bardzo głośno składali sobie wzajemnie gratulacje; napięcie ostatnich godzin zostało rozładowane w serdecznych objęciach. Wszyscy zgadzali się, że najzupełniej możliwe będzie rozszyfrowanie tajemniczych sygnałów, kiedy już powrócą na Ziemię i przekażą oryginalne nagrania całemu sztabowi naukowców. Ich radość była tak wielka, że przez chwilę nikt nie zwracał uwagi na otaczające ich przyrzady. Trwało to wprawdzie nie dłużej, niż pół, czy nawet ćwierć minuty, ale...

Kącikiem oka Karin dostrzegła, jak komendant SOLARII na ułamek sekundy znieruchomiał, wpatrzony w fosforyzujące tarcze zegarów przed swoją twarzą. A potem z centrali kontroli lotu rozległy się pierwsze przeraźliwe tony alarmu. Na głównym pulpicie sterowniczym rozbłyskiwały – rząd za rządem – czerwone światełka ostrzegawcze. Wszyscy kosmonauci nie tracąc ani sekundy rzucili się ku swoim fotelom. Zapięcia pasów bezpieczeństwa strzelały głośno raz za razem, bystre spojrzenia ludzi obiegały skale instrumentów, ręce przeskakiwały z dźwigni na dźwignię i z guzika na guzik – nie było nikogo, kto stałby w tym momencie bezradnie.

„Alarm trzeciego stopnia! Alarm trzeciego stopnia!” – głos komputera był spokojny i beznamiętny, ale ludziom wydawało się, że słyszą w nim zdenerwowanie, co oczywiście było tylko złudzeniem, bo komputery nie denerwują się niczym. „Uwaga, ludzie na pokładzie! – ciągnął głos. – Przy zagrożeniu kosmicznym trzeciego stopnia obowiązuje instrukcja numer pięćdziesiąt cztery. Dane szczegółowe: radar oznaczył już miejsce i kurs roju. Rząd wielkości MO pięć do MO dwanaście. Uwaga! Podaję oddalenie: Dziewięćdziesiąt... Osiemdziesiąt siedem... Osiemdziesiąt pięć... Osiemdziesiąt... Siedemdziesiąt sześć... Siedemdziesiąt... Sześćdziesiąt... Pięćdziesiąt... Czter...”

– Obiekty na kursie kolizyjnym – zameldował jeden z mężczyzn przy ekranach. – Automatyka programowania kursu przeciążona, ale nadal wypracowuje zmianę trajektorii kosmolotu.

Tuż obok Karin siedział nawigator, pochłonięty sczytywaniem podawanych mu co parę sekund koordynat lotu, wypluwanych przez komputer na ciągnących się w nieskończoność, dziurkowanych taśmach.

– Za późno oznaczone położenie roju? – półgłosem zapytała Karin.

– Tak. To wina tego cholernego Jowisza! – zaklął przez zęby nawigator.

Karin zrozumiała, jak do tego doszło. Echa radiowe rozciągniętego roju meteorów nie zostały w porę rozpoznane przez radar, bo do tej pory olbrzymie złomy skalne jak złowrogie pięści kryły się w stożku radiowego cienia Jowisza; jak zamaskowani bandyci zbliżyły się do kosmolotu na nieprzewidzianą odległość. I z każdą minutą zbliżały się coraz bardziej...

– Za dziesięć sekund rozpoczynamy korekcję kursu – oznajmił komendant. – Optymalizacja danych wykazała, że w tej sytuacji jeszcze tylko przedarcie się przez najcieńsze miejsce roju daje nam jakiegokolwiek szansę. Na pełny manewr omijania nie wystarczy nam już czasu.

Poprawił się w fotelu, potem sięgnął ku dźwigniom akceleratora zespołów napędowych – jego pięści zacisnęły się mocno na opornych uchwytach, w każdej chwili gotowe do działania, gdyby zawiodła automatyka sterowania i konieczne okazało się przejście na pilotaż ręczny. Było to przygotowanie się do ostateczności, bowiem ludzkie zmysły działają wolniej i mniej precyzyjnie, niż mózg pokładowego komputera.

Rój meteorów przecinający statkowi drogę nie był dotychczas oznaczony na żadnej mapie nieba, ale było to najzupełniej zrozumiałe w pobliżu Jowisza, który swym potężnym polem grawitacyjnym wybijał często roje szczątkowe z ich elips torowych na okołosłonecznych orbitach. Trzeba więc było od początku liczyć się z możliwością takiego nieprzyjemnego, nieoczekiwanego spotkania, bo nawet najdokładniejsze wykresy i najobszerniejsze, najściślejsze tabele nie są w stanie opisać całego kosmosu.

„Cztery...! Trzy...! Dwa...! Jeden...! Zapłon!!! – odliczył komputer. – Count down manewru wymijania!”

W sekcji napędowej na rufie statku kosmicznego błysnął krzaczasty płomień zapłonu, potem włączyły się – niemal od razu na pełną moc – atomowe silniki. Kosmolot skoczył do przodu jak zgnięty potężną ostrogą; zatoczył krótki, ostry łuk, kiedy wypaliły dodatkowe rakiety sterownicze. Dziób statku dotykał prawie pędzących przez próżnię skalnych złomów, kiedy w sterowni padł rozkaz „Ognia!” i dysze miotaczy rozjarzyły się jadowicie zielonym blaskiem. Wystrzelony ładunek unicestwił kilkanaście najbliższych brył. Kolejna, gwałtowna zmiana kursu kosmolotu sprawiła, że siła odśrodkowa wyszarpnęła ludzi z foteli, zawiesiła ich na elastycznych, napiętych sztywno szerokich pasach, przylegających szczelnie do bezwładnych ciał. Potem kolejny błysk z miotaczy – wydawało się już, że niebezpieczeństwo przestało istnieć. Karin uśmiechnęła się do swojego sąsiada, otworzyła usta, żeby o coś zapytać, i wtedy właśnie doszło mimo wszystko do katastrofy!

Potężne uderzenie wstrząsnęło sterownią, wprawiło w wibrację cały statek od ogona po dziób. Wszystko waliło się, trzęsło, dźwięczało przenikliwie, ktoś krzychał głośno, przeraźliwie, ktoś jęczał, dzwonki alarmowe zabręczały dwa tony wyżej, zmieniły się w wycie. Roztrzęsione ludzkie ręce z trudem znajdowały ekliery skafandrów, próbowały dokręcać hełmy.

Gdzieś w głębi kosmolotu głucho stęknęły zatraskiwane pancerne grodzie. Rozkaz – właściwie bardziej przenikliwy okrzyk, niż słowo – przeleciał przez sterownię. Komendant wyciągnął ramię, schwycił w garść fałdę skafandra któregoś z kosmonautów, który w szoku odpiął pasy i przelatywał teraz bezwładnie przez całe pomieszczenie, objając się o konsole i pulpity. Uchwycony, potrząśnięty gwałtownie człowiek opanował się, wrócił szybko na swoje miejsce. Komendant zerknął za nim, potem ponownie wpatrzył się w tarczę wskaźnika przed swoją twarzą. Wskazówka cofała się powoli do zerowego położenia. Drugi pilot wychylił się z fotela w jego stronę, więc komendant szybko przykrył dłonią w próżniowej rękawicy tarczę tlenomierza.

Ponowne uderzenie wstrząsnęło pomieszczeniem kontroli lotu jeszcze silniej, niż poprzednio. Światła – nawet te na pulpitych – momentalnie pogasły, jakby zdmuchnął je gwałtownie powiew lodowatego wichru. Karin skuliła się instynktownie, osłoniła głowę ramieniem czując oczywistą bezsensowność tego odruchowego gestu – kiedy w kosmolocie pękają osłony i wręgi, znaczyć to mogło jedynie koniec... Tryumfalny lot poprzez kosmos stawał się wtedy jedynie najkrótszą drogą do piekła.

Olbrzymi meteor przebił środek kadłuba. Obie połowy statku złamały się, obróciły wokół jednego, ocalałego dźwigara, ustawiły się do siebie pod ostrym kątem, zawirowały gwałtownie. Wyłuskana wstrząsami spośród szczątków kapsuła sterowni uwolniła się z ostatnich wiązań, pomknęła przez przestrzeń wzdłuż stycznej do orbity Jowisza. Trochę w bok od kapsuły pędziła w czarny kosmos pogięta, stalowa belka, jak wystrzelona z katapulty dzida. Na poszarpanym, przyczepionym do niej pasku blachy wślizgiwały się w blask dalekiego słońca litery, których nikt już więcej nie przeczyta: „S – O – L – A – R...”

Oderwany od szczątków blok reaktora pozbawiony chłodzenia i automatycznych zabezpieczeń poczerwiał jak ogromna, kanciasta wiśnia. Oddalał się coraz bardziej od sterowni, ale w miarę rozpalania masy nadkrytycznej zdawało się, że się przybliża, jaśniał coraz intensywniej, coraz mocniej – przez kilka chwil świecił dosyć jeszcze słabo, a potem błysnął gwałtownie i oślepiająco, jak słońce. Resztki zjonizowanego gazu już dawno rozplynęły się w próżni, ale ludziom patrzącym w ekrany wydawało się, że nadal widzą w tym miejscu nieznośnie jaskrawy krąg. Jakiś geiger w sterowni zatykał, zaterkotał raptownie i umilkł szybko, jakby przestraszył się panującej wokoło, doskonale obojętnej na wszystkie tragedie czarnej ciszy kosmosu...

Resztki roju meteorów rozepchnięte eksplozją rozproszyły się, zmieniając dotychczasowe orbity. Pod tarczą Jowisza zapanował spokój jak śmierć i tylko rozbitkowie z SOLARII w pozbawionym statyczności, błędzącym w próżni module kosmolotu nadal nie rezygnowali ze swej walki o życie...

Tylko komendant statku kosmicznego

Od czasu do czasu także i komendanci kosmolotów pełnią samotne warty, dyżurując po kilka godzin w sterowniach swoich statków. A Bertram czynił to tym chętniej, że dopóty, dopóki cel – strefa asteroidów – nie został osiągnięty, życie na jego NIMBUSIE przebiegało niemożliwie monotonicznie. Tak, że każda warta w sterowni przedstawiała jedynie cenne i chętnie widziane urozmaicenie. Czasami czuł się piekielnie podle, ale tego nie mógł raczej zwać na nudę, bo też nie nuda ani choroba były przyczynami jego podłego samopoczucia. Jego przygnębienie spowodowane było pewną, ściśle określoną troską. Siedział więc w sterowni zamysłony, z ponurą miną i smętnie gapił się w ekrany. Wtem otworzyły się drzwi i do pomieszczenia kontroli lotu weszła Esther – lekarka pokładowa NIMBUSA. Bertram przeczuł, co to może znaczyć, ale było już za późno – w tej chwili żałował jedynie, że zapomniał zabezpieczyć wejście. Z udawaną obojętnością schylił się szybko nad instrumentami na pulpicie, usiłując dać tym do zrozumienia, że jest niesłychanie zajęty, by w ten sposób uniknąć kolejnej, niemiłej rozmowy o stanie swojego zdrowia.

– Nie powinnaś mi w tej chwili przeszkadzać – powiedział. – Jeżeli już koniecznie musisz, to przyjdź do mojej kabiny trochę później, kiedy skończę dyżur.

– Co się odwlecze, to nie uciecze – Esther wzruszyła ramionami. – Choć na dobrą sprawę możemy tak samo porozmawiać tutaj.

– No tak... – urągliwie mruknął Bertram. – Jestem tylko komendantem. Ze mną każdy może obchodzić się najpodlej, jak tylko chce...

– I czego się złościysz? Bez powodu nie przyszedłbym z tobą pogadać.

– O czym? – Bertram ponownie pochylił się nad przyrządami.

– A chociażby o tym, dlaczego komendant statku ostatnio unika uparcie swojej pokładowej lekarki akurat wtedy, kiedy powinien zgłosić się do niej sam na badania okresowe.

– Przesada – mruknął Bertram.

– Taak? – zdenerwowała się Esther. – To dlaczego znajdujesz ciągle nowe wymówki? Skoro tylko gdzieś mnie zobaczysz, albo uciekasz, udając, że masz coś niesłychanie ważnego do zrobienia, albo zaczynasz z pierwszym lepszym członkiem załogi niesamowicie ożywioną dyskusję o byle jakim problemie, który przyszedł ci akurat na myśl. Wydaje mi się, że coś ukrywasz.

– Ależ tak – wpadł jej Bertram w słowo. – O tu, na piersi. Testament swojego prapradziadka – zakończył ironicznie.

– Czy z tego powodu stale chodzisz niewyspany? – ton Esther stał się łudząco podobny do tonu głosu Bertrama. – A ta troska, którą masz wypisaną na twarzy, pochodzi zapewne z

tej samej przyczyny. Unikasz mnie tak dokładnie, że aż sprawdziłam nawet w regulaminie lotów, czy istnieje jakaś możliwość udzielenia ci nagany dyscyplinarnej. Niestety, nie przewidziano żadnego paragrafu opisującego taką możliwość. Widocznie zakładano z góry, że komendanci statków pod każdym względem będą dla załogi przykładem. Również i w poddawaniu się medycznemu nadzorowi...

– Ja także zaglądałem do regulaminu – odpowiedział Bertram – i wyczytałem, że zmarszczki ze zmartwienia nie są chorobą, a tym samym wcale nie masz podstawy, by usiłować zajrzeć mi do gardła.

– Bo też twoje gardło interesuje mnie najmniej ze wszystkiego.

– Nie? A co w takim razie?

Esther sięgnęła do przyniesionych ze sobą przezornie dowodów rzeczowych.

– Chcesz wiedzieć, co mnie interesuje? Więc patrz. Te wykresy i tabele są dokładnym obrazem twojej aktualnej kondycji. Bardzo marnej ostatnio kondycji komendanta Bertrama.

– Ciekawe... – mruknął mężczyzna.

– Co ciekawe?

– W jaki sposób przeprowadziłaś te badania, skoro ja wcale się im nie poddawałem...

– Bardzo prosto. Wczoraj wychodziłeś na zewnątrz statku.

– I co z tego?

– Jak ci wiadomo, aparatura skafandra prowadzi ciągły zapis prądów czynnościowych organizmu przebywającego w próżni człowieka. Przekazać ten zapis medycznym analizatorom to już najmniejszy problem – uśmiechnęła się niewinnie Esther.

Bertram spojrział na nią krzywo i burknął:

– Czy ty czasem nie jesteś zbyt chytra? Jaką mam gwarancję, że te wykresy pochodzą z wczorajszego dnia, a nie, na przykład, sprzed paru miesięcy, kiedy przechodziłem grypę?

– Sam wiesz, że grypy nie bada się aż tak skomplikowanymi metodami – Esther nacięrała na niego nieustępliwie.

Bertram poddał się, uśmiechnął się do dziewczyny przyjaźnie, potem zmarszczył brwi i w zamyśleniu powiedział:

– Esther, Dziękuję ci najserdeczniej. Zadałaś sobie sporo trudu, żeby mi pomóc, ale musisz zrozumieć, że to nie moja wina. a tej cholernej, zawilej sytuacji. Komendant kosmicznego statku miewa czasem takie problemy, które nie dadzą się rozwiązać przy pomocy pigułek, choćby miały być one najlepsze z najlepszych. W każdym razie masz rację. Mam sporo powodów do zmartwienia i dlatego sypiam gorzej, niż zwykle.

– Może jednak będę mogła w czymś ci doradzić?

– Nie sądzę. Widzisz, sam nie wiem czemu, ale przeczuwam, że naszemu NIMBUSO-WI grozi jakieś niebezpieczeństwo. Bądź co bądź lecimy w tej chwili dokładnie tym samym kursem, co dwa miesiące temu SOLARIA. Ta, która zniknęła tak bez śladu...

– Czy to wszystko?

– Nie. Martwi mnie także sytuacja wśród załogi. Ot, chociażby wzajemny stosunek Svena i Ingo. Odnoszę wrażenie, że nasza misja jest jednak o wiele trudniejsza, niż sądziliśmy na początku drogi. Powinniśmy przewidzieć tego typu zdarzenia.

– Oczywiście nie mogę wymagać od ciebie, żebyś mi się spowiadał, ale poruszyłeś problem, który i mnie interesuje. Chodzi o sprawę stosunków między członkami załogi. Jeżeli pozwolisz, zabawię się w detektywa. Być może zrozumiesz wtedy, że staram się postawić swoją osobę w twojej sytuacji, co jednak wcale nie przeszkadza mi spać. A możesz wierzyć, że martwię się tak samo, jak ty. Tyle tylko, że wiem ponadto doskonale, jak ważny jest dla kosmonauty sen. O wiele ważniejszy, niż dla ludzi na Ziemi. Przecież od tego zależy gotowość do natychmiastowego działania i zdolność trafnego reagowania w decydujących sytuacjach.

– Noo, to zaczyna być ciekawe – ton głosu Bertrama ponownie stał się sarkastyczny,

lecz Esther nie zrażona jego słowami ciągnęła dalej:

– Kiedy dobierano i ostatecznie kompletowano załogę do tego lotu, skorzystałaś ze swoich praw komendanta kosmolotu i sam sobie ją wybrałaś. Sam wyszukałaś wszystkich tych ludzi, nieprawdaż?

– Prawda. I co z tego? Ostatecznie jest to temat, który interesuje każdego. Nawet już nie pamiętam, ilu ludziom tłumaczyłem swój wybór jeszcze przed startem.

– A tak. Słyszałam o tym cokolwiek. Na przykład to, że i pułkownik Peerth i Urząd Bezpieczeństwa w Przestrzeni sprawdzali ułożoną przez ciebie listę. Myślę, że chodziło przede wszystkim o Svena, ale oprócz niego jeszcze kogoś Bezpieczeństwo przeoczyło.

– Kogo? Nie powiesz mi chyba...

– A jednak. Właśnie Ingo. Czy ty naprawdę wierzysz, że uda się w strefie asteroidów odnaleźć rozbitków z SOLARII? Poszukiwania zostały przecież już dawno przerwane. Skoro władze podjęły decyzję, to nie wolno nam robić czegoś takiego na własną rękę. A czy ty nie z tego właśnie powodu dobiebrałaś Ingo do swojej załogi?

– A gdyby nawet, to co? – Bertram zaczepnie wysunął brodę do przodu.

– To, że chyba za bardzo na nim polegasz. Oczywiście przyznaję, że Ingo jest w swoim zawodzie niezastąpiony. To już nie tylko sprawa sumiennosci, ale jakiegoś wyjątkowego talentu. Poza tym dwa miesiące temu jako członek załogi NUCLEONICA był najbliżej z nas wszystkich od miejsca katastrofy SOLARII. Teraz jedzie z nami rzekomo dlatego, że wysłedził jakieś tajemnicze sygnały z kosmosu, które pochodzą podobno z transsolarnych obszarów. A mnie on sam wydaje się bardziej tajemniczy, niż te sygnały.

– Mnie nie – uśmiechnął się Bertram.

– O ile wiem, wręcz domagałaś się, żeby Ingo wziął udział w naszym locie – powiedziała Esther. – Przyczyną takiego postępowania bywa zazwyczaj to, że komendant tych, których wybiera, zna szczególnie dobrze i uważa ich za osoby niezbędne przy spełnianiu określonych zadań. Czy tak samo było w przypadku Ingo?

– Nie. Niemalże do samego startu nie przytrafiło mi się spotkać go osobiście – wyjaśnił Bertram. – Ale rzeczywiście uważam jego obecność na statku za niesłychanie ważną dla spełnienia pewnego zadania. Sęk tylko w tym, że sam jeszcze nie bardzo wiem, jak to jego specjalne zadanie będzie wyglądało. Pytasz, co spowodowało, że wziąłem go ze sobą? Myślę, że była to po prostu intuicja...

– Co? – lekarka wyprostowała się ze zdziwienia. – Chcesz mi powiedzieć, że dobiebrałaś załogę kosmolotu tylko na podstawie jakichś bliżej nieokreślonych przeczuć?

– A ty? – uśmiechnął się komendant, potem dodał:

– Czy to nie intuicja podpowiedziała ci, że warto byłoby zająć się stanem mojego zdrowia? Mieć przecucie to bardzo dobra rzecz.

– Rozczarowujesz mnie, Bertram. Komendant statku kosmicznego powinien zawsze dokładnie wiedzieć, dlaczego robi właśnie to czy tamto, albo wydaje taki, a nie inny rozkaz.

– Aha! Więc tu jest pies pogrzebany... Ty mnie po prostu nie respektujesz – mówił z przekąsem – bo to oczywiście śmieszne i niepoważne z mojej strony, że ośmielałem się powoływać na przecucia. Jakby w medycynie zupełnie nie istniało coś takiego, jak intuicja.

– Nie – obruszyła się Esther. – W medycynie zawsze decyduje rzetelna wiedza i sprawdzone fakty. Inaczej byłaby to fuszerka.

– Ciekawe – powiedział zamyślony Bertram – dlaczego jeden lekarz leczy kogoś na zapalenie płuc tak długo, aż pacjent umrze na gruźlicę, a drugi bez wahania zastosuje odpowiednie środki? Zgadza się oczywiście z ogromną rolą nauki. Dzięki niej możemy wytwarzać coraz lepsze lekarstwa, możemy sterować genami, przedłużamy ludziom życie nawet do stu osiemdziesięciu lat – nie powiesz jednak, że Pasteur nie kierował się swego rodzaju intuicją, kiedy prowadził pierwsze badania. A to samo jest w tej chwili z poznawaniem próżni – zawsze i koniecznie trzeba się liczyć z setką niewiadomych. Komendant kosmolotu pozba-

wiony intuicji wart jest równie mało, co naukowiec bez fantazji.

– Wybacz. Wcale nie chciałam cię obrazić. Ale sam pomyśl, co do tej pory wynikało z tej twojej intuicji. Same troski i kłopoty. Choćby to ciągle napięcie między Svenem a Ingo – przecież to zaczyna być nie do zniesienia. Od kilku dni Sven jest już całkowicie niezdolny do jakiegokolwiek pracy, bo święcie uwierzył, że podczas ostatniej ekspedycji Ingo, zajęty tymi tajemniczymi sygnałami, zignorował wołanie z SOLARII o pomoc. A na SOLARII była przecież Karin – przyjaciółka Svena.

– Przyjaźń przyjaźnią, a nie wolno przecież posądzać kogoś o lekceważenie cudzego życia. Ingo nie mógł zaprzepaścić szansy uratowania przyjaciółki Svena, bo prawdopodobnie wcale tej szansy nie było. Być może nikt na SOLARII nie zdołał nawet nadać żadnego sygnału, więc cóż z tego, że Ingo znajdował się wtedy w pobliżu?

– Myślę jednak...

– Problem tkwi w czym innym – przerwał jej Bertram. – Ingo rzeczywiście jest jedynym człowiekiem, który z nas wszystkich ma bodaj zielone pojęcie o tym, jak mogłoby wyglądać owo nieznane niebezpieczeństwo, które grozi nam tak samo, jak przed dwoma miesiącami groziło SOLARII. I chyba tylko on może rozpoznać je dostatecznie wcześniej.

– Nadal wydaje mi się, że całe twoje rozumowanie jest pozbawione jakichkolwiek racjonalnych podstaw – wtrąciła Esther.

– Bo nie czytałaś artykułów Ingo, zamieszczonych nie tak dawno w fachowej prasie.

– Ingo? W fachowej prasie? – Esther uśmiechnęła się z lekceważeniem. – Przecież on do tej pory umiał jedynie robić kolegom zabawne kawały. Może tym razem postanowił zrobić kawał na trochę większą skalę? O ile go znam, byłby zdolny nawet i do czegoś takiego.

– Wiesz, to się zabawnie składa – Bertram uśmiechnął się, usiłując opanować rosnący gniew. – Swojego czasu bardzo interesowałem się podobnymi problemami. Mogę nawet powiedzieć, że stałem się pod tym względem dość dobrym fachowcem. Dlatego mogę zrozumieć to zagadnienie, o którym Ingo napisał.

– Zagadnienie. Od razu zagadnienie... Ciekawe, jakie?

– Chodziło mu o specyficzne warunki załamania się niektórych rodzajów fal. Przede wszystkim tych, które są nam najslabiej znane, czyli milimetrowych. Problem interferencji i zniekształceń częstotliwości, w powiązaniu z techniką przesyłania ich w przestrzeni transsolarnej.

– W porządku – Esther zrobiła minę świadcząca o tym, że prawie nic nie zrozumiała z tego, co przed chwilą powiedział Bertram. – Ale co z tego? Jaki dla nas pożytek?

– Mam przecucie...

– Znowu te twoje przecucia – jęknęła Esther.

– Nie przerywaj – zmarszczył brwi Bertram. – Mam przecucie, że Ingo jest na tropie tajemnicy, która i dla nas może mieć ogromne znaczenie. Podejrzewam, że katastrofa SOLARII tylko wtórnie spowodowana była zderzeniem z rojem meteorów. Pierwotną przyczyną całego zajścia musiało być jakieś nieznane promieniowanie, które wpłynęło ujemnie na wydajność reaktora i zespołów napędowych, nie mówiąc już o ludzkiej psychice, jest to wprawdzie moje, jeszcze nie udowodnione, przypuszczenie, ale...

– Tak, tak, rozumiem cię doskonale – Esther ponownie przerwała mu bezceremonialnie i mówiła dalej tak, jakby nadal nie przemawiała do niej tragiczna wizja kilkunastu rozpaczonych ludzi, uwięzionych w szczątkach kosmicznego statku. – Rozumiem twoje troski. Jesteś przecież komendantem, który nie tylko zna na pamięć przepisy, ale jest prócz tego człowiekiem obdarzonym olbrzymią intuicją – mówiła już stojąc w drzwiach gotowa do wyjścia – ale ta właśnie intuicja powinna ci także podpowiedzieć, że przede wszystkim musisz się porządnie wyspać. Wiesz, przyniosę ci doskonałe tabletki...

Bertram ponownie pochylił się nad przyrządami, wzruszając nieznacznie ramionami.

Niesłyszalny radiotelegram

Drzwi sterowni uchyliły się, zamknęły – Ingo nie zadał sobie w pierwszej chwili nawet najmniejszego trudu, by obrócić głowę. Był za bardzo zajęty sprawdzaniem swojej nowej metody radioodbiornika, opracowanej dla doświadczalnego układu.

– Przyszedłeś mnie zmienić? – zapytał tylko. – Przecież mój dyżur wcale się jeszcze nie skończył.

Odpowiedzią było jedynie nieokreślone, niewyraźne mruknięcie.

– Zawsze myślałem – Ingo mówił dalej, nie zrażony nieprzyjemnym pomrukiem – że czas w kosmosie płynie o wiele wolniej, niż na Ziemi. Ale, jak teraz widzę, tata Einstein musiał się nielicho pomylić, kiedy mówił o relatywnym wydłużaniu się czasu. Wręcz przeciwnie. Tutaj mija on szybciej, niż gdziekolwiek indziej.

Za jego plecami panowało uparte milczenie, więc Ingo przechylił na bok całe skonstruowane przez siebie urządzenie i w skupieniu podłączył końcówki dodatkowego czujnika między dwa pola odbiorcze zasilanych ze stosu bloków. Ktoś za jego plecami zaczął nerwowo chodzić z kąta w kąt. Potem odgłos kroków ścichł na chwilę.

– Zaczynam wątpić, czy w kosmosie są w ogóle jakieś gwiazdy – Ingo usiłował zażartować. – Sądząc po otrzymanych szumach, we wszechświecie zamiast wesołych słońc latają tylko gromady zwariowanych, świszczących myszy.

Kroki odezwały się znowu. Ostrożne, czujne stąpania coraz bliżej fotela, w którym siedział Ingo. Mimo skupienia poczuł, że ktoś zagląda mu przez ramię, więc podniósł na sekundę wzrok, ogarnął szybkim spojrzeniem twarz stojącego za nim człowieka. Był to – jak Ingo domyślał się od początku – Sven, który przyszedł na zmianę dyżuru trochę wcześniej, aniżeli powinien.

– No, to znaczy, że mogę nareszcie pójść spokojnie spać – powiedział radiowiec. – Chciałbym jeszcze tylko po sobie posprzątać. Aha! Wszystkie istotne uwagi na temat dyżuru nagrałem na płycie magnetomolekularnej w książce pokładowej. Włącz ją, a wtedy sam zorientujesz się najlepiej.

– Zostaw ten kram w spokoju. I tak niczego ruszać ci nie będę – niechętnie mruknął Sven. Myślni był daleko od sterowni NIMBUSA. Minęły długie dwa miesiące od chwili, kiedy oficjalnie uznano wersję katastrofy SOLARII i przesłano ją do wszelkich zakątków ludzkiego kosmosu. Ale dla niego znaczyło to o wiele więcej, niż dla wszystkich innych ludzi, bo katastrofa SOLARII dla niego była przede wszystkim wypadkiem, w którym Karin poniosła śmierć. Sven nie rozumiał, nie chciał zrozumieć tego, że żaden statek z kosmicznej floty nie odebrał ani śladu radiowego wołania o pomoc. Nadal sądził, że przyczyną takiego stanu rzeczy było przede wszystkim niedbalstwo wszystkich zatrudnionych we flocie radiowców. A najbardziej – według niego – winien był radiowiec z NUCLEONICA. Ze statku, który znajdował się wtedy najbliżej miejsca katastrofy. Do niedawna Sven nie znał człowieka, który pełnił wtedy dyżur w sterowni NUCLEONICA, lecz już wtedy nienawidził go, jak niko go we wszechświecie. Uważał go za kogoś najbardziej odpowiedzialnego za śmierć Karin. Bo przecież gdyby tamten pełnił służbę jak należy, to odebrałby jakieś wołanie o pomoc. Svenowi nie mieściło się w głowie, że cały, ogromny kosmolot mógłby ulec zagładzie w ciągu tak krótkiego czasu, że nawet na wołanie o pomoc by go nie starczyło. Więc gdyby radiowiec na NUCLEONICU... – a parę dni temu Sven dowiedział się, że tym człowiekiem był właśnie lecący z nim razem Ingo. Nikt, nikt na statku nie potrafiłby zrozumieć, ile wysiłku kosztowało Svena opanowanie się na tyle, by nie skoczyć ku Ingo z pięściami. Albo...

Sven patrzył bezmyślnie na układ na stole i nagle... Nagle narosło w nim straszliwe podejrzenie. Pochylił się, zajrzał Ingo w oczy, zapytał go przez zaciśnięte zęby:

– Ingo. Przecież wy z pewnością wiedzieliście od razu, jak to było z katastrofą

SOLARII, czy tak?

Ingo udał, że nie widzi zdenerwowania Svena. Odpowiedział mu łagodnie i spokojnie:

– Że od razu zauważyliśmy, to przesada. Zgodnie z planem nawiązywaliśmy z nimi kontakt radiowy co dwadzieścia cztery godziny – tłumaczył. – Ale w ciągu ostatnich kilku dni, nim się to nieszczęście zdarzyło, załoga SOLARII meldowała się za każdym razem tylko na bardzo krótkie chwile. Nawet nie chcieli ze mną pogadać dłużej, tak jak zwykle. Odniosłem wrażenie, że tajemnicze sygnały z głębi uniwersum absorbują ich jeszcze mocniej, niż mnie. A potem...

– Co? Co było potem? – Sven rzucił pytanie zduszonym głosem, w jego oczach płonęły jakieś dziwne, nieprzyjemne ogniki. – Gadaj...

– Po kilku dniach takich suchych, oficjalnych rozmów zdarzyło się, że nie zameldowali się o umówionym czasie. Nadaremnie siedziałem przez kilkanaście godzin przy pulpicie radiostacji i nawoływałem aż do ochrypnięcia. Wołałem bezustannie, ale już nie usłyszałem odpowiedzi. Nie siedziałem wtedy sam, bo zgodnie z regulaminem po kwadransie od pierwszego nawoływania o czasie złożyłem komendantowi meldunek, a ten ogłosił alarm. Potem siedział razem ze mną w sterowni przeszukując możliwe i niemożliwe zakresy fal, ale wszędzie, dosłownie wszędzie panowała cisza, albo co najwyżej ten cholerny, przeklęty szum, który słyszysz i w tej chwili.

Godzinę później szliśmy już po trajektorii kursem zbieżnym do linii lotu SOLARII – na długo przedtem, zanim przyszedł na ten temat oficjalny rozkaz ze Sztabu Przestrzennej Floty.

– I co dalej?

– Po dziewięciu godzinach znaleźliśmy się na miejscu, w którym to wszystko musiało się zdarzyć. A potem dniami, tygodniami całymi przeszukiwaliśmy radarem oraz automatycznymi zwiadowcami bliższe i dalsze okolice punktu katastrofy. Wyniki oczywiście znasz.

– Nie wiem, czy wszystkie – Sven przymrużył oczy. – Czytałem wprawdzie prasowe doniesienia, ale... Wszędzie podaje się, co przedsięwzięto po katastrofie, celem wyjaśnienia, co tam się mogło przydarzyć, ale nigdzie nie ma ani słowa na temat tego, co robiono przed i w czasie, kiedy zginęła Karin. A przecież wszystko od tego zależy... Powiedz – Sven pochylił się jeszcze bardziej, ogniki w jego oczach zapłonęły mocniej – powiedz, co ty wtedy robiłeś. Czy takie same próby tym samym urządzeniem, co teraz? – Sven powiedział ostatnie zdanie jakoś dziwnie i niebezpiecznie cicho. Ingo poczuł nagle nieprzyjemne mrowienie na karku i potylicy. Milczał.

Sven nie ustępował.

– Jakiemu celowi służy to twoje doświadczenie?

– Mam nadzieję, że uda mi się dzięki niemu wychwycić i rozszyfrować transsolarne sygnały.

– A więc sygnały od innych cywilizacji, tak? Te, na które ludzkość poluje od dwustu co najmniej lat. A... czy odniosłeś jakikolwiek sukces? – powiedziane zostało to znowu niebezpiecznie cicho.

– I tak, i nie – odpowiedział Ingo. – Byłoby to zbyt piękne, gdyby udało się od razu. Dotychczas udało mi się jedynie otrzymać uporządkowane szумы dobiegające w okolice naszego układu z głębi galaktyki.

– Nie jest to znowu największe osiągnięcie – spojrzenie Svena stało się nieprzyjazne i ciężkie. – Zresztą nawet najwyraźniejsze sygnały nie usprawiedliwiają zajmowania się nimi na służbie akurat wtedy... Więc nadal mówisz, że nikt z SOLARII nie nadawał wezwania ratunku?

– Nie! – Ingo wstał, zamierzając odejść. – Większość kosmicznych katastrof zdarza się niesłychanie szybko i bez żadnej zapowiedzi.

– Żeby nadać sygnał zagrożenia, nie potrzeba nawet pół sekundy – warknął Sven. – Wystarczy zwyczajne naciśnięcie guzika. Sygnał S-O-S na statkach kosmicznych zawsze jest

gotowy do natychmiastowej emisji. Włącza się automatycznie.

– O ile automaty nie zawiodą. Starczy jedno przerwane łącze...

– Wezwanie o pomoc jest nagrane na płycie magnetomolekularnej. Dopóki tylko jest zasilanie, dopóty można je równie dobrze uruchomić ręcznie.

– O ile przed przerwaniem obwodów zasilania ktoś nie straci głowy i pomyśli o naciśnięciu tego właściwego guzika.

Spojrzenie Svena stało się lodowate. Powiedział powoli, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby:

– A mnie się wydaje, że to ty, ty właśnie przegapiłeś wtedy ich sygnał S-O-S. Zajmowałeś się tymi swoimi przekłętymi doświadczeniami – krzyknął – bo bałeś się, że załoga SOLARII sprzątnie ci sprzed nosa sławę odkrywcy transsolarnego kodu międzywilizacyjnego! – posunął się ku radiowcowi.

Ingo zbladł. Zarzut, który Sven wykrzyczał mu prosto w oczy był tak niesłychany i podły... Radiowiec skoczył ku Svenowi, chwycił go za skafander na piersiach, zacisnął dłonie tak mocno, że pobieleły mu knykcie. Przysunął twarz do jego twarzy mówiąc cicho, gniewnie:

– Mogę zrozumieć i uszanować twój osobisty ból, ale nie pozwolę się obrażać. Gdyby nie to, że w tej katastrofie zginęła twoja przyjaciółka, dałbym ci po pysku, zamiast przypominać kilka najprostszych reguł kosmicznego alarmu. Wiesz doskonale, że każde wołanie o pomoc wysyłane jest na wszystkich zakresach i z pełną mocą nadawczą. A to oznacza podniesienie natychmiastowego alarmu na wszystkich jednostkach naszej floty, znajdujących się w promieniu jednostki astro od miejsca wysłania sygnału S-O-S, jeżeli tylko odbiorcy nie znajdują się w ruchu. To znaczy w ruchu w podprzestrzeni, bo konwencjonalny napęd nie przeszkadza w odbiorze wcale. Wiesz tak samo dobrze, że sygnał „Do wszystkich”, gdyby został wtedy nadany, zostałby odebrany na siedemnastu statkach, które aktualnie znajdowały się w pobliżu Jowisza. Czy miałbyś odwagę siedemnastu innych radiowców posadzić, tak jak mnie przed chwilą, o niedopełnianie służbowych obowiązków? O przemożną chęć zdobycia sławy za wszelką cenę? Komisji badającej okoliczności tego nieszczęśliwego wypadku wystarczyła pewność, że pracowałem wtedy na wszelkich zakresach z całkowicie sprawnym automatycznym wychwytem. Pamięć komputera pokładowego rejestruje wszystko, co dzieje się na statku. I o tym przecież wiesz. A może... – głos Ingo przeszedł w zduszony, ochryply szept – może chcesz mnie posadzić o sfałszowanie pamięci komputera, choć zdajesz sobie świetnie sprawę, że to nie jest w ogóle możliwe. Ty... Nikt, nawet ja sam nie mógłbym sobie postawić żadnego zarzutu, a ty... ty... – Ingo z pogardą pchnął ogłupiałego Svena na fotel przed pulpitem.

Tamten skulił się bezradnie, objął głowę rękami, szepnął cicho:

– Ja wiem... Ale zrozum, może ona jeszcze żyje? Może ocalał choć kawałek kosmolotu, w którym ona siedzi zamknięta i daremnie czeka na ratunek? Może...

Gniew Ingo minął równie szybko, jak się pojawił. Powiedział równie cicho:

– Tak, Sven. Rozumiem. Ja również jeszcze nie straciłem nadziei...

Spotkanie we wszechświecie

Kosmolot przedzierał się z trudem przez strefę złomowisk między Marsem a Jowiszem. Jego głównym zadaniem było kontrolowanie szlaków rakiet towarowych i eskortowanie ich aż do obszaru objętego działaniem radioboi przestrzennej, albo kierowanie na właściwe szlaki wiodące ku planetoidom z magazynami materiałów napędowych, częściami zamiennymi oraz zapasami tlenu i żywności.

Na pokładzie panowała noc – jedynie Ingo w sterowni czuwał na kolejnym dyżurze. A

ponieważ w ciągu najbliższego miesiąca nie spodziewano się przelotu jakiegokolwiek towarowej rakiety, więc mógł śmiało poświęcić się swojemu nadprogramowemu zajęciu – upartemu polowaniu na szum kosmiczny, niosący w sobie słabiutki, transsolarne sygnały. Przepatrywał właśnie krytycznie zmontowany przed chwilą, udoskonalony układ odbiorczy sprzężony z pokładowym radioteleskopem, kiedy nagle zabłysło czerwone światło na pulpicie radiogoniometru i radaru, a cichy brzęczyk przerwał jego zamyślenie. Ingo podbiegł szybko do monitora i wpatrywał się w widmowy obraz okolicznej przestrzeni. Po chwili zauważył słaby rozblask promienia radaru, omiatającego co chwila cały ekran...

Wykryty przez automaty obiekt był jeszcze bardzo oddalony. Widać go było tylko jako małą, nieostrą plamkę. Był to zapewne któryś z kilkunastu tysięcy asteroidów, wypełniających strefę złomowisk. Jego kurs nie był na tyle zbieżny z trajektorią płynącego przez próżnię kosmolotu, by stanowić dla niego jakieś zagrożenie, ale Ingo na wszelki wypadek przeszedł wzdłuż i wszerz całą sterownię, systematycznie przeglądając wskaźniki na wszystkich pulpitych. Mierniki wykazywały, że stos atomowy i zespoły są w najlepszym porządku. Podobnie było z urządzeniami do regeneracji powietrza i wody, a rezerwowe układy sterownicze również sprawowały się bez zarzutu.

W tym czasie kształt obiektu rzucany na ekran radaru stał się o wiele wyraźniejszy – ku olbrzymiemu zaskoczeniu patrzącego nań człowieka obiekt stał się podobny do ogromnej cyfry – arabskiej jedynki opatrzonej mysimi uszami. Nie, to zdecydowanie nie był kształt przyzwoitego, normalnego asteroidu. Najzupełniej nie wyglądało to na samoistny twór natury. A skoro tak...

Ingo zrozumiał, że dziwny obiekt musi być tworem sztucznym. To nie ulegało żadnej wątpliwości. Co innego natomiast sprawiło, że Ingo na parę sekund zamyślił się głęboko – ten niesamowity, trochę karykaturalny kształt. Jeszcze nigdy nie widział podobnego statku. Coś takiego istnieć nie mogło – ale czy to miało znaczyć, że radar kłamie? Że pokazuje coś, czego wcale nie ma? A może...

– A może „to” ma coś wspólnego z sygnałami, które ostatnio złapałem? – pomyślał Ingo. – Jeżeli to „coś” okaże się międzygwiazdowym statkiem przestrzennym z przedstawicielami obcej, nie ludzkiej rasy na pokładzie...

Z wrażenia zaparło mu dech – dopiero po kilku długich sekundach zdołał otrząsnąć się z niebotycznego zdumienia i odrętwienia. A potem skoczył ku przyciskowi wewnętrznego alarmu, skoczył tak szybko, jakby zapalił się na nim kombinezon.

Jeszcze nie ucichły ostatnie dzwonki, a już wszyscy członkowie załogi znaleźli się na swoich stanowiskach roboczych – w strefie asteroidów podobna szybkość reakcji jest niesłychanie ważna. Częstokroć zależy od niej nie tylko życie poszczególnych ludzi, ale i istnienie całego statku.

Zadyszany komendant wpadł do sterowni, z trudem łapiąc powietrze. Sapał głośno, lecz kiedy Ingo zameldował mu o zbliżaniu się obcego statku kosmicznego, jego sapanie urwało się na dobre pół minuty. A potem wszyscy stłoczyli się przy ekranie radaru, chłonąc, niemal pożerając oczyma ten nierealny, niemożliwy kształt, zbliżający się ku ich statkowi jak kosmiczne widmo. Początkowe sceptyczne uśmieszki pogasły, kiedy wszyscy zobaczyli dokładnie zbliżający się, rosnący na ekranie statek.

Trajektorie obu kosmolotów zbiegały się pod kątem ostrym. Nawigator rzucił się ku swojemu pulpitowi. Momentalnie otworzył na pełną moc wszystkie przepusty zasilania komunikatorów i wołał na wszelkich możliwych zakresach i długościach fal:

– Pozdrawiamy was, przybysze z daleka. Cieszymy się bardzo ze spotkania z wami, ale zboczcie ze swego kursu! Zmieńcie trajektorię lotu!

Bertram chwycił go za kryzę skafandra, szarpnął, wgniół w fotel.

– Wszyscy na miejsca! – rozkazał. – Przypiąć się pasami! A ty się nie wygłupiaj – zwrócił się do nawigatora. – Przecież to bezsens. Skoro tam lecą obce istoty, to i tak zapewne

nie są w stanie zrozumieć tego, co wykrzykujesz. A w każdym razie na pewno nie od pierwszej sekundy po spotkaniu. Czy sądzisz, że sygnały akustyczne, którymi modulujesz fale nośną radiostacji, są jedynym sposobem porozumiewania się istot rozumnych we wszechświecie?

– Racja – pomyślał Ingo. – Równie dobrze te istoty mogą porozumiewać się na przykład zmianą koloru, albo diabli wiedzą, czym jeszcze. Tylko dlaczego w takim razie wysyłały w przestrzeń sygnały o sekwencjach uchwytnych dla ludzkiego ucha?

– Ustal, czy dają jakikolwiek znak życia – rozkazał mu Bertram. – Postaraj się to zrobić maksymalnie szybko.

– W porządku, komendancie. Ciekawi mnie tylko, jak poznać dawane przez nich znaki życia? – Ingo patrzył przez chwilę bezradnie.

– Na początek postaraj się ustalić, czy oni, tak samo jak my ich, namierzają nasz statek radarem.

Ingo kręcił dłuższą chwilę wszystkimi pokrętłami na swoim pulpicie – skracał i wydłużał zakresy, uaktywniał anteny, zmieniał ich rozpiętość, dobierał wszystkie możliwe kąty ich ustawienia – potem spojrzał na komendanta i mruknął:

– Nic. Nic najzupełniej... A w każdym razie nic, co można by rozpoznać przy pomocy naszej techniki nawet wszystkimi dostępnymi nam metodami.

– Mogą przecież lecieć w stanie hibernacji – odezwała się Esther.

– Bzdura – mruknął Bertram. – Nawet gdyby było tak, jak mówisz, to muszą działać wszystkie automaty ustalające położenie statku w przestrzeni i jego odległość od najbliższych ciał niebieskich. Z naszego punktu widzenia to cud, że jeszcze nie mają dziury na wylot w kadłubie. Ale to tylko z naszego punktu widzenia. I z naszego punktu widzenia powinniśmy zrobić wszystko, żeby uchronić ich przed kolizją tu – w patrolowanym przez nas sektorze strefy planetarnego złomu.

– Sądzę – powiedział Ingo półgłosem – że oni są, mimo pozornego bezwładu, najzupełniej zdolni do samodzielnego manewrowania...

– A ja... – wtrącił się nawigator – myślę, że oni milczą tylko dlatego, że knują jakiś podstęp...

Bertram i Ingo spojrzeli na niego jednocześnie w tej samej chwili, w której nawigator obracał właśnie swój fotel i przełączał sprzężone z miotaczem potężne reflektory na ręczną obsługę. Przed jego twarzą zapalały się jedna po drugiej jadowicie zielone kontrolki pełnej gotowości bojowej wszystkich podzespołów burtowych i dziobowych miotaczy – wyglądało to jak przebiegający przez pulpity jaskrawozielony błysk.

– Sven... – z odcieniem nagany w głosie powiedział Bertram. Nawigator nie odpowiadał, pochłonięty naprowadzaniem celownika na tamten obcy, milczący nieprzyjaźnie kształt. Człowiek siedział w fotelu skulony czujnie, przyczajony jak rozwścieczony tygrys. Mrużył oczy, szukając palcami przycisków na pulpicie sterowania zespołem miotaczy. A kiedy już podobna do uszatej kreski bryła znalazła się dokładnie w centrum krzyża podziałki, dłonie Svena spoczęły – w każdej chwili gotowe – na dźwigniach spustowych. Wydawało się, że szarpnie je za chwilę, uwolni z dysz miotaczy obłoki rozżarzonej plazmy, skieruje je ku obcemu statkowi. Bertram i Ingo jednocześnie odpięli pasy, wstali, cicho podeszli ku wpatrzonemu w przyrządy Svenowi, a potem schwycili go mocno za przeguby, oderwali jego dłonie od spustu. Sven szarpnął się, ale było już za późno – Ingo odpiął pasy na jego piersi i obaj mężczyźni wspólnie wyciągnęli broniące się zaciekle nawigatora z jego fotela.

– Nie waż się – mruknął Bertram groźnie. – Tego tylko brakowało, żebyś ściągnął nam nieszczęście na głowę. Zabrałem cię ze sobą, żeby dać ci szansę znalezienia Karin, a nie po to, żebyś sobie postrzelał. A gdyby to nie był obcy kosmolot, lecz szczątka SOLARII, strzelałbyś także? Przecież te dziwne uszy na przykład mogą z bliska okazać się rozerwanymi blachami poszycia. No? – potrząsnął nim mocno.

Sven spojrział przytomniej, zapytał nieufnie:

– SOLARIA? Szczątki? Ależ tak, tak! Bertram! Powiedz...

– Na razie sam nic nie wiem. Uspokój się teraz, poproś Esther, żeby dała ci jakiś zastrzyk.

Sven już zupełnie potulnie usiadł na fotelu pod ścianą, zapatrzył się gdzieś daleko przed siebie, jakby usiłował przeniknąć wzrokiem czarną przestrzeń za pancernymi ścianami kosmolotu.

Ingo wrócił na swój fotel i usiadł machinalnie, lecz nie usiłował już odnaleźć na skalach przyrządów jakichkolwiek śladów radiowej aktywności sunącego obok nich obiektu. Jakies niejasne podejrzenie zaczęło drażnić jego mózg coraz głębiej.

– Czyżby... – pomyślał – ten uregulowany szum, który od dwóch miesięcy słyszę z głośnika, miał być rozpaczliwym wołaniem o pomoc rozbitków z SOLARII? Ale ten dziwny kształt? Zaraz, zaraz... A gdyby to rzeczywiście były resztki sterowni, ta długa kreska. Ale skąd te uszy? Chyba... chyba że byłyby to szczątki gondol mieszkalnych zgniecione, zdeformowane jakimś potężnym wybuchem...

Zacinając się ze zdenerwowania i podniecenia podzielił się z Bertramem swoimi podejrzeniami. Komendant pomyślał chwilę, potem przywołał do siebie Ombo i Norberta, wydał im kilka krótkich, precyzyjnych rozkazów. Mężczyźni skinęli głowami, wybiegli ze sterowni, by już po minucie zameldować z pokładu zwiadowczej raketki swoją gotowość do startu.

Sven z wyrzutem spojrział na komendanta – uważał się za najbardziej uprawnionego do tego właśnie lotu. W tej chwili wierzył już najmocniej ze wszystkich, że nareszcie napotkali na swej drodze wrak SOLARII i słabo mu się robiło na myśl, że jeszcze przed chwilą mógł zniszczyć go jednym, nie przemyślanym ruchem dłoni. Esther zauważyła, jak bezsilnie zaciskał i rozwierał pięści. Podeszła ku niemu mówiąc:

– Wiem, co teraz czujesz, Sven. Ale musisz zrozumieć, że Bertram nie może w takiej sytuacji wysłać na zwiady kogoś, kto reagowałby na wszystko, co zobaczy, równie subiektywnie, jak ty w tej chwili.

Bertram spojrział na Esther i z wdzięcznością skinął jej głową. W tym wypadku miała najzupełniejszą rację. Przecież nadal nie było wiadomo, czy tamten obiekt jest wrakiem SOLARII, czy statkiem obcych. Najchętniej skierowałyby ku niemu cały kosmolot – trwałoby to przecież o wiele krócej, niż konwencjonalne rozpoznanie rakieta zwiadowczą, ale nie miał prawa narażać pozostałych członków załogi. Gdyby to mimo wszystko był statek przestrzeny z innego układu słonecznego i gdyby lecące nim istoty choć przez moment poczuły się zagrożone zbliżaniem dużego pojazdu...

Podobne zdanie wyraził głośno również jeden z zebranych w sterowni inżynierów.

Tymczasem z głośnika radiostacji padł pierwszy meldunek:

– Halo! Uwaga NIMBUS! Osiągnęliśmy połowę dystansu. Do tej pory widzimy na naszym radarze jedynie martwy cień. Na razie żadnych szczegółów...

– Robi wrażenie raczej nieforemnego.

– Kontury zmieniają się nieznacznie. Wygląda to tak, jakby obiekt chwiał się i zataczał. Być może rzeczywiście jest to jakiś zdezelowany wrak.

Sven zerwał się ze swego fotela na równe nogi.

– Wrak? – zapytał ochryple i sam sobie po sekundzie odpowiedział – na pewno wrak. Wrak! Ja muszę... Muszę tam natychmiast lecieć! Rozumiecie!?! – upadł, podniósł się znowu, na drżących nogach stanął tuż za fotelem Bertrama, wpatrując się ponad jego głowę w panoramiczny ekran.

Stateczek zwiadowczy manewrował zwinnie. Po chwili z głośnika dobiegł kolejny meldunek Ombo:

– Dystans maleje do pięciuset metrów. Włączam reflektory.

Dwie maleńkie gwiazdki zabłyśły w oddali. A potem z radiostacji zaczęły dobiegać

zmieszane, dopełniające się głosy:

- Pogieęte, pozrywane wręgi.
- Poszarpane płyty pancerne poskręcane jak kartki papieru.
- Urwane kable.
- Potrzaskane, rozdęte rury.
- Wrak nie ma dzioba i rufy. Miejsce, gdzie powinny być zespoły napędowe wygląda na odtopione.
- Promieniowanie minimalnie powyżej normy.
- Ingo miał rację. Te „uszy” to rzeczywiście szczątki rozwalonych gondol mieszkalnych...

Nora pobladła i szepnęła bezdźwięcznie;

– Tam już nikt nie żyje...

Sven skoczył ku niej, jak ukłuty igłą.

– Dlaczego tak sądzisz!? – krzyknął. – Przecież to już niejedyn raz zdarzało się tak, że ludzie potrafili przetrwać w jeszcze gorszych warunkach. Przecież zapasy żywności, tlenu i wody są na każdym kosmolocie obliczone na kilka lat...

– Nie, Sven – powiedział łagodnie jeden z inżynierów. – Coś takiego zdarzyło się jedynie na kilku stacjach kosmicznych, ale nie w wypadku katastrofy statku. Bardzo mi przykro, ale nie znam tak szczęśliwego przypadku w całej historii dalekich lotów.

Bertram pochylił się nad mikrofonem:

– Halo, Ombo i Norbert! Rozejrzyjcie się uważnie, czy nie widać gdzieś na kadłubie nazwy statku. Powinna być wypisana na osłonach...

– Tutaj nie ma osłon – głos Norberta był nie wiadomo czemu przyciszony – wygląda, jakby ktoś wyłuskał sterownię z resztek kadłuba. Ale postaramy się dostać do środka i może wtedy dowiemy się czegoś o załodze. W gondolach na pewno nie ocalał nikt – są tak porozrywane i zmiżdżone... Uwaga! Zbliżamy się do centralnej części wraku. Proszę o pozwolenie wyjścia w przestrzeń, celem dokonania dokładnych oględzin.

– Zezwalam – powiedział Bertram – ale oczywiście przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności. W razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa ratować się za wszelką ceną i natychmiast wracać.

Do następnego meldunku upłynęło kilkanaście długich minut. Ludzie zebrani w sterowni NIMBUSA denerwowali się coraz bardziej i nagle...

... z głośnika pokładowej radiostacji padło głośno:

– Uwaga, NIMBUS! Halo! To jest... – głos urwał się nieoczekiwanie, jakby mówiącemu raptownie zabrakło tchu.

– Halo, RZ-2! RZ-2! Odezwijcie się! RZ! Co tam się stało, u licha!? – pieklił się rozgoryczkowany Bertram.

I nagle z radia popłynął czyjś obcy, słaby głos... Ludzie na NIMBUSIE spojrzeli po sobie zdezorientowani, tylko Sven skoczył ku radiostacji, sięgnął nad ramieniem Ingo, przekręcił pokrętko wzmocnienia w prawo aż do oporu. Słowa zabrzmiały ponownie i teraz już wszyscy poznali zachrypnięty z wyczerpania głos Karin:

– Nareszcie... Doczekaliśmy się was przecież nareszcie...

Kilka godzin później cała załoga SOLARII znalazła się na pokładzie NIMBUSA. Ingo cieszył się ze wszystkich najszczerzej, ale było przecież coś, co trochę zepsuło mu humor. Była to świadomość, że jednak nie odkrył swoich transsolarnych sygnałów, okazały się one bowiem tylko próbami porozumienia, uparcie ponawianymi przez rozbitków. Tajemniczy uregulowany szum okazał się głosem potrzaskanej, rozregulowanej radiostacji SOLARII, zasilanej z rezerwowych ogniwi. Nic dziwnego, że nie można ich było zrozumieć. I jedynie Tarkon domyślił się jego zmartwienia. Sięgnął w zanadrze skafandra i podał Ingo małą paczuszkę.

- Co to jest? – Ingo usiłował wyczuć palcami zawartość paczki, ale gruby płat plastyku udaremniał jego wysiłki.
- To? – uśmiechnął się Tarkon. – Taki drobiazg...
- Ale co? – nalegał zaciekawiony radiowiec.
- Mówię ci, że drobiazg. Tuż przed katastrofą udało nam się nagrać bardzo interesujące sygnały...

POWRÓT

Na stacji Nova Orbit pozostały jedynie załogi rezerwowe – resztę mieszkańców niedawno ewakuowano...

Każdego roku w sierpniu, przez całe trzy tygodnie potężny strumień meteorów o szerokości grubo ponad trzydzieści milionów kilometrów bombardował Ziemię i Księżyc gęstym gradem olbrzymich kamieni, które – niczym fajerwerki – znaczyły swoją drogę rozbłyskami ogni w atmosferycznych osłonach wszystkich planet. Ludzie najczęściej nie zauważali ich – nawet nie podnosili głów, kiedy na firmamencie zapalała się i... gaśła niebawem bezgłośnie nowa, blada iskierka. Bądź co bądź byli już przecież przyzwyczajeni do tych – rzucanych przez kosmos – pocisków, które i tak spalały się najczęściej bez reszty w ochronnym, atmosferycznym płaszczu planety, nie czyniąc im nawet najmniejszej szkody. A ponadto w czasie dnia bombardowanie było tak niewidoczne – nikomu nie chciałoby się wypatrywać na jasnym niebie nikłych rozbłysków. W nocy natomiast ludzie albo spali sobie spokojnie, albo beztrako spędzali miłe chwile.

U podstawy powietrznego oceanu Ziemi o wiele częściej, niż meteory, zapalały się iskierki ludzkiego myślenia. Pozostawiały po sobie genialne wynalazki i wspaniałe czyny, ale także ból i czyjeś niepowodzenia w gęstej, skomplikowanej sieci międzyludzkich stosunków...

Na spadające na Ziemię gwiazdy spoglądali jedynie starzy astronomowie i młodziutcy zakochani. Lecz w kosmosie wyglądało to zupełnie inaczej...

Nie tylko na Nova Orbit pozostały załogi alarmowe – podobnie działo się na wielu, wielu kosmicznych stacjach. A teraz zablokowano wszystkie okołozemskie szlaki komunikacyjne ku nim wiodące i nawet na Księżycu lądowały obecnie tylko automatyczne rakiety towarowe, pokonujące strumienie meteorów po to, by dostarczyć ludziom najniezbędniejsze zaopatrzenie.

Potoki gładów nie były aż tak gęste i potężne, by mogły rozbijać całe stacje i rakiety kosmiczne – w dotychczasowej historii pozaziemskich podróży nie zdarzyło się jeszcze, aby jakiś większy meteor trafił bezpośrednio w którąś z nich. Tak więc ewakuacja załóg stacji kosmicznych znajdujących się w pobliżu Ziemi była jedynie przedsięwzięciem wynikłym z troski o bezpieczeństwo kosmonautów. Bowiem właśnie maksymalne bezpieczeństwo ludzi było najwyższą dominantą we wszelkich międzyplanetarnych podróżach.

*

Niezanemu radioamatorowi na Ziemi, który zarejestrował początek tej historii, zazwyczaj nie chciało się w najpiękniejsze sierpniowe noce przesiadywać przy aparaturze tylko po to, by sobie posłuchać radiowych rozmów Ziemi i kosmosu. A zdarzyło się to właśnie pod koniec sierpnia, kiedy noce są tak ciepłe i roziskrzane od gwiazd.

Radioamator zamierzał wyjść za chwilę ze swojej kabiny – jego dłoń zbliżała się już do małego wyłącznika na płycie czołowej radiostacji, kiedy nagle usłyszał coś, co na nowo rozbudziło jego zainteresowanie kosmonautami. Bo oto w eterze niespodziewanie zaczęły się krzyżować niespokojne, chaotyczne meldunki i polecenia – pospieszne, radiowe słowa świadczące, że gdzieś w kosmosie zaszła jakaś krytyczna, przykra sytuacja...

Manipulując delikatnie miniaturowymi gałkami radioamator wyciszył piekielne świsty i trzaski, potem nerwowo sięgnął po brulion i ołówek. Zamarł – jego spojrzenie przebiło ściany pomieszczenia, gałki oczne znieruchomiały, jakby człowiek wyęczał wzrok, usiłując sięgnąć nim aż w głąb czarnej, mroźnej przestrzeni. Jego palce – poruszające się bez kontroli spojrzenia – rozpoczęły zapisywanie pierwszych słów: „Na podstawie przypadkowo przechwyconych sygnałów mogę stwierdzić, że na stacji kosmicznej Nova Orbit wydarzyła się bardzo ciekawa, choć może dosyć typowa historia, związana z podjęciem trudnej decyzji przez młodego, świeżo „upieczonego” kapitana okołozemskiej żeglugi. Decyzje i wydarzenia takie są stosunkowo częste, a jednak nikt do tej pory nie poświęcał im nigdy należytej uwagi. Powinniśmy chyba... ale uwaga! Uwaga! Notuję fragmenty:

– Mars do Ziemi! Mars do Ziemi! Całkowita awaria urządzeń do odzyskiwania wody! Potrzebna natychmiastowa pomoc! Po...

– Mówi Kosmoport Centralny Luna Gor do Sztabu Operacyjnego Floty Międzygwiezdnej! Odebrano sygnały ze stacji Mars-8. Proszę o pomoc. Wyślijcie natychmiast raketę towarową ze zdublowanym kompletem urządzeń do regeneracji wody!

– Sztab Operacyjny do Luna Gor! Sztab Operacyjny do Luna Gor! Przygotujcie holownik kosmiczny HERKULES do lotu na Marsa! Trzy towarówki z regeneratorami już do was lecą.

– Mars-8 do Ziemi! Halo, Ziemia! Halo Luna Gor! Tu Mars-8! Mars-8 wzywa pomocy!!! Zbiorniki i hydrofory rozbite przez meteor. Zapasy wody zaledwie na niecałe sto dni!

– Sztab Operacyjny Floty Międzygwiezdnej DO WSZYSTKICH! CQ...! CQ...! CQ...! Uwaga! Gwałtowne nasilenie strumienia meteorów! Stały wzrost zagrożenia meteo na okres około trzech tygodni!

– Ośrodek Kontroli Lotów do całej Floty Międzygwiezdnej! Uwaga! Tu Ośrodek Kontroli Lotów do wszystkich jednostek Floty Międzygwiezdnej! UWAGA! W ciągu najbliższych godzin CAŁKOWICIE wstrzymać ruch przestrzenny na liniach okołozemskich. Od godziny Zero dziś w nocy wszystkie stacje na planetach zobowiązują się do bezwarunkowego przestrzegania przepisów bezpieczeństwa na cały czas wzrostu zagrożenia meteo! Powtarzam: od godziny Zero czasu uniwersalnego...

– Centralny Kosmoport Luna Gor do Sztabu Operacyjnego Floty Międzygwiezdnej! Uwaga! Holownik HERKULES gotowy do startu, ale załoga przechodzi kwarantannę. Prawie wszyscy chorzy od dwóch tygodni na nieznaną chorobę. Potrzeba kosmonautów!

– Ośrodek Kontroli Lotów do Luna Gor! Ośrodek Kontroli do Luna Gor! Musicie wysłać HERKULESA na wysokość stacji przestrzennej Nova Orbit. Tam nastąpi wymiana załogi!

– Stacja Przestrzenna Nova Orbit do Sztabu Operacyjnego! Tu SP-178 do Sztabu Operacyjnego! Wszystkie orbity parkingowe wolne, gotowe na przyjęcie HERKULESA. Załoga zastępcza skompletowana z trudem. Brak ludzi! Ostatnia tura dotrze do nas za około czterdzieści minut. Wychwyciliśmy już wiązkę kierunkową HERKULESA. Wszystko w normie.

– HERKULES do Ośrodka Kontroli! Kończymy pierwszy etap zadanego planu. Dotarliśmy do Nova Orbit, wchodzimy w korytarz parkowania. Kiedy wymiana załogi!?

– Mówi SP-178 do Promu Księżycowego na okołozemskiej orbicie. Tu Nova Orbit! Uwaga podróżni! Prosimy wszystkich o maksymalnie szybkie przechodzenie przez służę B do przygotowanego szybowca warstwowego. Uwaga! Uwaga! Podajemy pilny komunikat: „Pasażer numer siedemnaście, kapitan Frank Ortega proszony jest o zgłoszenie się do szefa

stacji”. Powtarzam: „Pilne zadanie dla kapitana Franka Ortegi. Proszę po wyjściu z promu natychmiast wsiąść do windy ramieniowej numer dwadzieścia jeden...”

*

Frank Ortega podniósł powoli wzrok, potem zatrzymał się zdziwiony, słysząc swoje nazwisko huczące ze wszystkich głośników. To zaczynało mu się nie podobać...

– Przecież dali mi wreszcie ten należny od dawna urlop, którego żądałem. Musieli przecież... A teraz – choćby się waliło i paliło, to i tak nikt nie przeszkodzi mi go wykorzystać. Więc czego, u licha, dowództwo może jeszcze ode mnie chcieć? – pomyślał gniewnie, kierując się ku wskazanej windzie.

Frank przebywał w kosmosie od dobrych paru lat – aktualnie skończył swój pierwszy lot w roli kapitana kosmolotu – a teraz, kiedy już zaczynał cieszyć się z dobrze zasłużonego urlopu... Od dawna już nie mógł doczekać się chwili, kiedy znowu zobaczy z bliska staruszkę Ziemię. Gdyby teraz z powodu jakiegoś widzimisie któregoś bałwana-biurokraty przepuścił połączenie, utknąłby na Nova Orbit do końca zaostrego alarmu meteo. Całe trzy tygodnie...

Nie interesowało go zbytnio, czego Peerth może od niego chcieć, wołał jednak jak najszybciej spełnić polecenie, żeby możliwie prędko powrócić na swoje zarezerwowane miejsce w szybowcu warstwowym, zanim ten wystartuje do lotu na Ziemię, wyrzucony z piasty stacji. Ściskając pod pachą swoją niewielką torbę podróżną energicznie kroczył w stronę windy. O ile oczywiście jego wędrówkę można było nazwać marszem.

Przysysająca buty wykładzina na podłodze w obrębie całej piasty utrudniała szybkie poruszanie się, cmokając (zawsze do tej pory uważał to cmokanie za niesłychanie śmieszne) denerwująco, kiedy mozolnie odrywał od niej podeszwy niezgrabnych kosmicznych buciorów. I wtedy właśnie zobaczył idącego z przeciwka robota...

– Phi, przysłali mi nawet „honorową” eskortę – pomyślał na pół gniewnie, na pół szyderczo. – Ostatecznie kogo tu obchodzi, że po pięciu latach, spędzonych bez najmniejszej przerwy w kosmosie, jakiś tam Frank Ortega może nie mieć najmniejszej ochoty na tego rodzaju towarzystwo?

Robot zatrzymał się dwa metry przed człowiekiem.

– Kapitan Frank Ortega?

– Przecież nie duch święty.

Robot z uporem ponowił pytanie:

– Kapitan Frank Ortega?

– Tak – burknął Frank gniewnie.

– Mam polecenie zaprowadzić pana do pułkownika Peertha – robot powiedział to usłużnie, głosem pożyczonym od człowieka, który programował wszystkie jego przyszłe czynności.

– Nie trzeba. Sam do niego trafię – Ortega spróbował odprawić robota.

– Mam polecenie zaprowadzić pana do pułkownika Peertha – z martwym uporem powtórzył robot, dorzucając tym samym tonem: – Muszę panu towarzyszyć, bo takie są przepisy bezpieczeństwa podczas trwania strumienia meteorów.

Frank zrezygnował – jeszcze żaden człowiek na świecie nie wygrał sporu z robotem. Robota można wyłączyć, można go w razie ostateczności zniszczyć, ale nie – przekonać.

Milcząc weszli razem do windy ramieniowej, drzwi zamknęły się za nimi z cichym świstem. Robot zamarł pod ścianką, opuścił oba wizjery w geście – nieoczekiwanie ludzkiej – skromności. Winda pomknęła w dół, w kierunku zewnętrznego pierścienia obwodnicy stacji...

Ortega obrócił głowę ku robotowi, przyjrzał mu się z leniwym zainteresowaniem – do tychczas pracował z automatami skonstruowanymi jeszcze przed jego odlotem z Ziemi. Teraz

dostrzegł, że budowa robotów – w ciągu zaledwie paru lat – znowu została udoskonalona. Lecz nie to ciekawiło go w tej chwili najbardziej. Zapytał półgłosem:

– Mówiłeś o zaostrzonych przepisach bezpieczeństwa na okres spotkania ze strumieniem meteorów. Na czym polega zmiana?

– Od dnia dzisiejszego każdy kosmonauta przebywający w obrębie i poza granicami stacji będzie strzeżony przez jednego robota. Przez całą dobę w ciągu tych trzech tygodni. Dotyczy to bez wyjątku wszystkich.

– Peertha też?

– Pułkownik Peerth jest człowiekiem.

– Dobra, dobra. Na ten temat pogadamy, jak będę wracał. Gadaj, co dalej z tymi obostrzeniami regulaminu...

– Zgodnie z przepisami o podwyższeniu stanu bezpieczeństwa na czas zagrożenia meteo, większość załogi wkrótce opuści stację. Służbę trzymać będzie tylko załoga specjalna, która wydaje polecenia wszystkim robotom za pośrednictwem pokładowego komputera.

– Jak dobrze, że mnie to już nie dotyczy... – pomyślał zadowolony Ortega. – Za parę chwil wsiadam do szybowca i wracam na Ziemię, chyba że... – aż się tej myśli przestraszył – że chcą mi zlecić służbę na tej cholerniej stacji. Ale nie, nie mogą przecież... – pocieszał sam siebie. Potem spojrzął na robota z nieoczekiwaną złością – dosyć miał już tych mechanicznych dusz naokoło. W ostatniej chwili powstrzymał się od mruknięcia paru słów na temat nowoczesnych kajdan, które same łązą za człowiekiem. Nie dlatego, że mogłoby to robota obrazić – uczucia urażonej godności osobistej nie programuje się nawet najnowocześniejszym robotom – lecz dlatego, że nie wiedział, kto z nim za pośrednictwem tego głupiego androida rozmawia.

– Uwaga! – ostrzegł go nagle robot tonem przewodnika dla zabłąkanych z Ziemi niedzielnych kosmonautów. – Od tej chwili waga pańskiego ciała zaczyna wzrastać, bowiem zbliżamy się do zewnętrznego pierścienia obwodnicy stacji, gdzie siła odśrodkowa zastępuje zbyt słabe w tej odległości od Ziemi pole grawitacyjne. W ten prosty sposób waga pańskiego ciała powróci do poziomu mniej więcej normalnego...

– Dość! – wrzasnął nagle rozszłoszczony Frank. – Tego już trochę za wiele! Nie jestem turystą, żeby trzeba mi było tłumaczyć to, o czym wie każde dziecko!

– Przepraszam pana, ale tak zostałem pierwotnie zaprogramowany i tylko na czas trwania alarmu meteo dołączono mi do pamięci nowe instrukcje. Stacja Nova Orbit jest miejscem przesiadki w cywilnej komunikacji na Księżyc, dlatego niemal bez przerwy znajduje się tu bardzo wielu kosmicznych nowicjuszy. A ja muszę udzielać im tego typu wskazówek, gdyż tę płynną, ale bardzo szybko zachodzącą zmianę ciężaru swojego ciała wiążą z uczuciem upadku, a tym samym wpadają w panikę.

– Skończcie wreszcie – zrezygnowany Ortega odepchnął metalowe ramię, podające mu folder ze stereofotografiami okolicznej przestrzeni – i powiedz, jak daleko jeszcze do kwatery pułkownika?

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Do pierścienia zewnętrznej obwodnicy pozostało trzydzieści metrów. Za chwilę winda rozpocznie hamowanie. A po wyjściu trzeba będzie skręcić w czwarte drzwi na prawo – nareszcie względnie rzeczowo poinformował kapitana przewodnik.

Od tej chwili robot zamilkł i szedł spokojnie w pewnym odstępnie za kosmonautą – w pustym korytarzu jak echo rozlegał się łomot jego ciężkich stóp.

Odzwyczajony od swej normalnej wagi Frank Ortega szedł trochę niepewnie, stąpając równie ciężko, jak robot, choć przed chwilą w windzie z uczuciem ulgi przywitał powrót grawitacji.

Skręcili teraz w długi, dosyć mroczny, sklepiony wysoko korytarz głównego pokładu zewnętrznego pierścienia stacji – załamanie konstrukcji w kształcie koła w miejscu, gdzie

korytarz skrzył w prawo, dawało złudzenie wejścia w kolejowy tunel...

Po paru sekundach Ortega zastukał mocno we wskazane mu przez robota drzwi przedpokoju, wiodącego do gabinetu kierownika stacji. Otworzyła mu młoda, uśmiechnięta kobieta.

– Halo, Frank! Bardzo dobrze, że nareszcie jesteś. Peerth nie może się ciebie doczekać – powiedziała i uśmiechnęła się jeszcze raz. Na jej twarzy widać było nieklamana radość z tego spotkania.

– Sybill!? – ucieszył się Ortega. – Ty także jesteś na orbicie? Od kiedy? – zaskoczonego Frankowi głos na chwilę odmówił posłuszeństwa tak, że ostatnie słowa mężczyzna wyszeptał nieoczekiwanie cicho. Nie śniło mu się nawet, że mógłby ją – właśnie ją – tutaj napotkać...

Sybill początkowo należała do załogi SYRIUSZA, którym Ortega dowodził obecnie i na którym swojego czasu zaczynał służbę jako młodszy oficer nawigacyjny. Przed trzema laty Sybill – tuż przed startem – uległa wypadkowi przy zbyt forsownym treningu. Oczywiście na jej miejsce wzięto dublerkę.

– Sybill... Jaka szkoda, że do Saturna musieliśmy polecieć bez ciebie! – powiedział, ściskając serdecznie jej szczupłą, lecz niespodziewanie mocną dłoń.

– A myślisz, że ja tego wcale nie żałowałam? Na szczęście okazało się, że służba na stacji orbitalnej też może być niesłychanie ciekawa. Zaczęłam pracować tutaj w dwa miesiące po twoim odlocie. A co u ciebie? Wróciłeś, jak widzę cały i w doskonałej formie...

– Nooo, mieliśmy podczas wyprawy kilka zdecydowanie niewesołych sytuacji, ale ogólnie biorąc wszystko skończyło się szczęśliwie. Na przykład ta historia z Wohlthamem Klaasfeldem... Słyszałaś coś o tym?

– Nic a nic...

– Wohltham odkrył w jakimś zapadłym kącie jednego z pierścieni Saturna starą, zapomnianą już od niesłychanie dawna kolonię robotów jeszcze z początkowego stadium wszystkich lotów. Straszliwie przedpotopowe typy. Pozostawione na tak długo same sobie bez możliwości wykonywania zaprogramowanych zadań badawczych stały się – nie uwierzysz – agresywne. Po prostu rozpad funkcji, tak jak u nas skleroza. Niewiele brakowało, a biedny Wohltham stałby się ich pierwszą ofiarą. Otóż... – Frank rozgadał się nieoczekiwanie, zapomniał bez reszty o odlatującym niebawem warstwowcu i o czekającym na niego Peerthu. Nie zapomniała natomiast Sybilli, przerwała mu:

– Przepraszam, Frank... Mam nadzieję, że później dowiem się od ciebie wiele więcej o tym waszym locie, ale teraz jest już najwyższy czas, żebyś zameldował się u pułkownika Aleksandra...

– Jakiego znowu Aleksandra!?

– U Peertha. To jego imię – Sybill poprowadziła Ortegę przez niewielki sekretariat – czeka na ciebie cały czas...

Tuż przed drzwiami gabinetu dziewczyna podeszła do kapitana, omijając zwinnie sunącego za nimi androida.

– Frank... Gratuluję ci serdecznie tego pierwszego, samodzielnego lotu. I cieszę się, bardzo się cieszę, że wróciłeś szczęśliwie.

Frank lekko skinął głową uśmiechając się do Sybill i bez pukania wszedł do służbowego pokoju pułkownika Peertha. Za nim, jak uparty cień, podążył stalowy „anioł stróż”.

Pokoik był nieduży. W środku biurko, trzy fotele i pulpit sterowniczy stacji, za którym siedział pułkownik Aleksander Peerth.

– A, jest pan nareszcie, kapitanie Ortega. To dobrze. To bardzo dobrze... – pułkownik zrobił króciuteńką pauzę, potem podjął dalej:

– Jest pan jedynym kapitanem statku kosmicznego, który w tym momencie jest uchwytny dla Sztabu Operacyjnego. A w związku z tym jest pan zarazem człowiekiem, na którego

cały Sztab bardzo liczy...

– Nie wiem, dlaczego, panie pułkowniku...

– Słyszał pan zapewne o awarii na Marsie? Na pewno doskonale zdaje pan sobie sprawę, czym to grozi naszym, przebywającym w uszkodzonej stacji, badaczom. Dlatego Sztab Operacyjny Floty Międzygwiazdowej występuje do pana za moim pośrednictwem z prośbą o przejście dowodzenia HER.KULESEM i dostarczenie na Marsa regeneratora wody i innych niezbędnych, rezerwowych urządzeń. Aha! Uprzedzam z góry, że będzie to bardzo trudny lot... Oczywiście ostateczna decyzja należy do pana, kapitanie Ortega. Ryzyko – proszę to wziąć pod uwagę – jest w tej chwili kilkakrotnie większe, niż przy zwykłych lotach międzyplanetarnych. I niech pan wybaczy, że wzywamy pana w tej właśnie chwili, ale sam pan przecież rozumie – sytuacja... Po pańskim powrocie na Ziemię ani pan, ani żaden inny kapitan nie byłby tak szybko do dyspozycji dowództwa floty.

– Ja też tak sądzę – mruknął zamyślony głęboko Ortega.

Nie zastanawiał się zbyt długo. Powiedział:

– Panie pułkowniku. Zapomnijmy na chwilę, że należy mi się urlop po tak długim pobycie w kosmosie. Choć jest to oczywiście moment, w którym człowiek bohatercko rezygnujący z oczekujących go na Ziemi rozkoszy ma wszelkie szanse stać się człowiekiem sławnym. Mnie osobiście jednak na sławie nie zależy... A ponadto myślę, że byłoby o wiele lepiej, gdyby Sztab Operacyjny powierzył to zadanie jakiemuś bardziej ode mnie doświadczonemu kapitanowi.

Peerth z niedowierzaniem zmarszczył brwi.

– Czy pan, kapitanie Ortega, myśli sobie, że Sztab Operacyjny naszej floty wynajduje niebezpieczne zadania po to tylko, by dać swoim kapitanom możliwość zdobycia ogólnoziemskiej sławy? Tu chodzi o ludzi! O setki ludzi – techników i naukowców na Marsie, którzy bez naszej pomocy zginą.

Z tego, co Ortega odpowiedział po chwili, można byłoby sądzić, że nie chodziło mu mimo wszystko o należyty urlop, że miał o wiele głębiej sięgające podstawy, by mimo poczucia dyscypliny odmówić jednak przyjęcia tego polecenia. Więc równie twardo i dobitnie jak Peerth wymawiając słowa Frank Ortega rzucił:

– Moim statkiem jest kosmolot badawczy SYRIUSZ, a nie holownik HERKULES. Za niespełna pięć miesięcy SYRIUSZA i mnie czeka kolejny daleki lot. Ale dopóki statek znajduje się w doku księżycowej stoczni i przechodzi przegląd generalny i remont, dopóty ja mam prawo spędzić ten czas na Ziemi aż do samego momentu odlotu. I postaram się zrobić wszystko, żeby ten swój cel zrealizować. Nie może pan przecież, pułkowniku, wymagać od żadnego kapitana, by tuż po pierwszym locie rezygnował ze swojej załogi. Poznałem swoich ludzi na wylot i rozumiem się z nimi wspaniale... A nie chcę ponadto rezygnować z tak sprawnego statku, jakim okazał się SYRIUSZ. Przecież to całkowicie niemożliwe, żebym wrócił z Marsa przed upływem tych pięciu miesięcy. A to znaczy tylko jedno – kiedy nareszcie wrócę, wtedy SYRIUSZEM będzie już dowodzić kto inny. Gdybym teraz zdecydował się na ten lot, to już nigdy nie miałbym swojej załogi i swojego statku. Zawsze i wszędzie służyłbym od tej pory jako zapchajdziura, jako taki „zapasowy kapitan”... A tymczasem za parę dni z pewnością znajdzie się inny, bardziej ode mnie doświadczony...

Pułkownik Aleksander Peerth słuchał i milczał. Zastanawiał się nad czymś usilnie, przebiegając machinalnie palcami po przyciskach na stojącym przed nim pulpicie. Tak, motywy Ortegi mogły częściowo wypływać z jakichś egoistycznych pobudek, jak te wymienione powyżej, ale z drugiej strony pułkownik doskonale rozumiał jego obawy. On sam także był przez długi czas kapitanem kosmolotu dalekiego zasięgu. Słowa Ortegi były przecież najlepszym odwzorowaniem właściwego stosunku kapitana do swojej załogi, były dowodem silnego poczucia wspólnoty nie tylko zawodowej, bo trudno przecież brać pod uwagę jedynie same więzi zawodowe, skoro na statku kosmicznym oprócz wspólnej pracy łączy ludzi

jeszcze coś – wspólny dom...

– Hm, kapitanie Ortega... – pułkownik Peerth uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. – Jeżeli są to pana wszystkie argumenty, to przyrzekam panu, że ja osobiście uczynię wszystko, aby się do pańskich życzeń dostosowano – dokończył, spoglądając przy tym uważnie w twarz młodego kapitana. – Oficjalnie wystąpię do Sztabu z wnioskiem, aby nigdzie nie wysyłano SYRIUSZA aż do momentu pańskiego powrotu z Marsa i... wykorzystania przez pana całości należnego urlopu. Przez ten czas SYRIUSZ będzie używany jedynie do lotów służbowych na Księżyc, a jego dowództwo na czas pańskiej nieobecności obejmą pierwszy oficer wraz z nawigatorem.

Frank był zaskoczony – nie spodziewał się ze strony Peertha aż tak daleko idącej wyrozumiałości i dobrej woli. Przygotował się wewnętrznie raczej na długotrwały, zacięty spór, a tutaj...

– Dziękuję... Dziękuję, panie pułkowniku... – wymamrotał pod nosem bardziej do siebie chyba, niż do Peertha.

Zgodził się. I dopiero teraz, kiedy już uczynił ten pierwszy, nieodwołalny krok, zrozumiał z przerażeniem, że oto sam w tej chwili zburzył, zniszczył wszystkie swoje najpiękniejsze marzenia z ostatnich pięciu lat. Więc znowu nie zobaczy, nie dotknie Ziemi...

W naturze ludzkiej bardzo często leży to, że kiedy coś okazuje się nieosiągalne, wtedy staje się coraz powabniejsze i upragnione, tym silniej działa na wyobraźnię...

Ziemia nie widziana od pięciu długich lat. Taka piękna. Z każdym rokiem piękniejsza... – Frank na chwilę zapomniał, gdzie właściwie jest. Wyłączył się z całej tej sytuacji, zapatrzył się gdzieś daleko za plecy Peertha, poza ściany stacji, uśmiechnął się mimowolnie... Minęło parę minut, nim wreszcie jako tako uporządkował swoje myśli i mógł zapytać:

– A czy nie sądzi pan, pułkowniku, że trochę za wcześnie zapadła decyzja o zwolnieniu załogi HERKULESA? Jego kapitan...

Peerth liczył się z możliwością takiego chwilowego rozdarcia jaźni młodego oficera. On sam również bardzo wiele przeżył podczas swojej służby w kosmicznej flocie. Także i podobne, dłużej lub krócej trwające, ataki niemożliwej do zniesienia nostalgii za ojczystą Ziemią, choć z drugiej strony czuł wyraźnie, że niesłychanie trudno byłoby mu kosmos porzucić. Lecz wiedział przecież dobrze, że już niedługo przyjdzie mu zwolnić zajmowane od lat stanowisko i kierownictwo tej olbrzymiej, nowoczesnej stacji oddać w czyjeś młodsze ręce. On również zamyślił się na chwilę. Kiedy jednak padło pytanie Ortegi, Peerth momentalnie ocknął się z zamyślenia:

– Za wcześnie? Raczej o wiele, wiele za późno. Ci ludzie błyskawicznie przygotowali HERKULESA do nadprogramowego startu. W ciągu niespełna godziny załadowali na statek niezbędne wyposażenie i przeprowadzili próby sprawnościowe całego kosmolotu. Zdawali sobie sprawę z ceny każdej upływającej bezpowrotnie sekundy. A trzeba panu wiedzieć, że odchorowywali właśnie swój pobyt w przestrzeni – lekarze od dobrych dwóch tygodni nie mogą sobie z tą chorobą poradzić. Trzeba panu wiedzieć także i to, że kiedy teraz pracowali na zewnątrz, na płaszczu ochronnym HERKULESA, nastąpił akurat nieoczekiwany wzrost aktywności promieniowania kosmicznego. Dostali tak wielką dawkę, że w tej chwili zgoda Sztabu na ich lot na Marsa – a wiem, że poleciliby bez wahania, bo prosili o to mimo choroby – byłaby równoznaczna z morderstwem.

– Mogliby mimo wszystko wezwać jakiegoś kapitana z Ziemi. Ostatecznie lot na Nova Orbit nie trwa lata... – pomyślał Ortega. Pomyślał to bardzo cicho i nieśmiało, lecz Peerth chyba jakimś cudem wyczuł tę jego myśl, bo dorzucił jeszcze:

– Niestety, nie możemy brać pod uwagę kapitanów, którzy aktualnie przebywają na Ziemi na urloпах. Musieliby odbyć kilkutygodniowe treningi przygotowawcze, by po stonkowo długiej przerwie ponownie odzyskać pełną próżniową sprawność. Jest pan, kapitanie Ortega, naprawdę jedynym człowiekiem, któremu z najmniejszym ryzykiem możemy powie-

rzyć wykonanie tego zadania. A czas nagli... Maksymalne nasilenie strumienia meteorów przewidziane jest za dziesięć dni. Do tego czasu HERKULES powinien wyruszyć, by ominąć centrum strumienia. A więc jak...? – Peerth w napięciu czekał na ostateczną zgodę młodego kapitana.

Lecz Ortega milczał. Milczał kilka długich, najdłuższych na świecie minut. Zrozumiał nagle, jak bardzo się boi. Nie odpowiedzialności. Nie nowego statku i nowej załogi. Bał się przede wszystkim... siebie...

Nie wiedział, jak jego ostateczna decyzja zostanie przez Peertha rozumiana i przyjęta. I... co powie Sybill, czekająca na niego w sąsiednim pokoju. Bał się nawet pomyśleć o ich reakcji, kiedy... A przecież wiedział, że musi im to powiedzieć. Za wszelką cenę wytłumaczyć, że po prostu boi się wracać w kosmos właśnie teraz. Co innego po urlopie. Przez pięć miesięcy wypocznie i wtedy poleci bez obaw, ale w parę dni po tej wyczerpującej podróży... Była to walka strachu ze strachem trwająca tak długo, aż zwyciężył wreszcie lęk przed tym obcym, niemożliwie czarnym niczym, gdzie człowiek czuje się tak, jakby go wcale nie było.

Odpowiedział bardzo cicho:

– Proszę mnie zrozumieć, pułkowniku. Za niecałe dwanaście minut odlatuje mój warstwowiec. To znaczy – odlatuje moja możliwość ponownego zobaczenia Ziemi z bliska. Tylko pięćdziesiąt minut lotu... Tamci ludzie na Marsie są mi obcy. I cały kosmos też. Jest czarny. Pusty. A Ziemia... Nie mam sił, żeby zostać tutaj choćby jeden dzień dłużej. Nie mogę... Naprawdę nie mogę.

Cisza w gabinecie. Długa, nieprzyjemna cisza. Taka, o której mówi się, że jest martwa.

Frank chciał dodać jeszcze, że ludzie w marsjańskiej stacji to dla niego wartości bez życia i twarzy. Że to tylko kilometry szczęśliwie czarnego „nic”. Ale nie dodał. Bo byłby to już chyba nieopanowany krzyk...

Pułkownik Aleksander Peerth westchnął głęboko. Dla niego – człowieka, który musiał myśleć o daremnej nadziei ludzi na Marsie, który wiedział, z jaką ślepą ufnością myślą teraz o Ziemi, o pomocy i ratunku – ta chwila była piekielnie trudna. Była tym trudniejsza, że rozumiał przecież doskonale także strach tego młodego kapitana, tak bardzo zmęczonego zbyt wielkim i intensywnym napięciem nerwowym. Podniósł powoli wzrok:

– Rozumiem, kapitanie Ortega... Miał pan prawo... To bardzo dobrze, że był pan szczerzy. I niech pan nie próbuje sobie stawiać jakichkolwiek zarzutów. Znam doskonale pański lęk, kapitanie, i wiem też, jak bardzo wzruszony jest człowiek, kiedy po kilku latach w przestrzeni powraca na Ziemię. Jak śpieszy się do niej, choć i tak wie, że zejdzie ze statku ostatni. Kiedy cała załoga od dawna już – od całych kilkunastu godzin – cieszy się wznowionym, wartkim uciekaniem życia, słońcem i dziewczętami, kapitan nadal jeszcze mierzy krokami obrzydliwie dokładnie znane korytarze, zagląda do zimnych, milczących maszynowni. Patrzy na pusty sztuczny krajobraz, rozmawia z inżynierami stoczni, ustalając terminy poszczególnych etapów reperacji i już w chwili powrotu myśli o ponownym odlocie. Dlatego pana rozumiem, Ortega. Rzeczywiście miał pan prawo do podjęcia takiej decyzji. Nie jest moim zadaniem wymuszenie pańskiej zgody na ten lot. Nie będą więc wygłaszać wzniosłych mów, zawstydzają, przekonywać czy w jakikolwiek inny sposób wpływać na pańską ambicję. Nikt nie weźmie tego panu za złe – zresztą psychologzy zatrudnieni w sztabie przewidywali podobny efekt naszej rozmowy. Tak więc byłoby to już wszystko, kapitanie. Życzę panu dobrego wypoczynku na Ziemi...

Ortega podniósł się ociężale z fotela. Nogi miał dziwnie oporne, włókł je za sobą z wysiłkiem w kierunku drzwi, które otworzyły się przed nim automatycznie i zamknęły po chwili z cichym szumem serwowatoru.

– Nareszcie! Strasznie długo z Peerthem gadałeś... – podbiegła ku niemu uśmiechnięta, zaciekawiona Sybill.

– Ty oczywiście wiesz, po co mnie wzywał? – pół stwierdził, pół zapytał Frank.

– Proponował ci dowództwo HERKULESA, czy tak?

Ortega wpatrywał się uparcie w jakiś daleki punkt gdzieś za ścianą pomieszczenia, potem – nadal nie patrząc na dziewczynę – powiedział niepewnie:

– Tak, Sybill!. Proponował mi...

– Zgodziłeś się oczywiście – Sybill jeszcze nie zauważyła niczego.

– Nie, Sybill... Ja się nie zgodziłem... – wyjąkał.

Parę sekund ciszy wlokło się nieznośnie. Potem Sybill powiedziała powoli i ostrożnie:

– Może po prostu zaskoczyła cię ta propozycja? Gdybym wiedziała, uprzedziłabym cię... Wszystko stało się przecież tak nagle – dorzuciła usprawiedliwiająco.

– Tak, oczywiście... To także mogło mieć jakiś wpływ... Ortega powoli, z namysłem skinął głową.

– Powiedzieć NIE w takiej sytuacji zawsze jest ciężko. Nawet jeśli ma się ku temu powody – ze zrozumieniem stwierdziła dziewczyna.

Ortega był jej wdzięczny, że usiłowała mówić o powodach, choć oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie ma ich znowu aż tak wiele. Powód był w gruncie rzeczy tylko jeden, ale zrozumieć go naprawdę mogli jedynie bardzo nieliczni spośród miliardów ludzi.

– Powiedzieć NIE w stronę Ziemi – mówił cicho – przychodzi naprawdę bardzo ciężko. Życie na niej to poczucie bezpieczeństwa, to największy cud na świecie. Zrozumieć to do głębi i docenić można tylko i jedynie wtedy, kiedy jest się kosmonautą...

Odpowiedziała mu cisza.

Cisza, która drży w sercu nieznośnie, kiedy trwa zbyt długo...

Pytanie Sybill było od tej ciszy niewiele głośniejsze:

– Frank... Czy wiesz, kto prowadzi łączność z Marsa?

– Nie – odpowiedział. Było mu to i tak najzupełniej obojętne.

– Haago Falhold objął to stanowisko przed rokiem.

Ciszę rozerwał wybuchający granat! Frank skoczył ku Sybill jak błyskawica.

– Haago na Marsie!?! – krzyknął przerażony. – Sybill! Czy ty wiesz, kim on dla mnie jest!?

– O ile pamiętam, przyjaźniliście się kiedyś... – odpowiedziała niewinnie. Zadała mu to pytanie wiedzioną jakimś niesprecyzowanym przecuciem czy może nadzieją, że wiadomość o Haago zainteresuje, poruszy Franka. Rezultat przeszedł jednak wszystkie jej najśmielsze oczekiwania. Zrozumiała, że tym jednym pytaniem osiągnęła w tej chwili o wiele, wiele więcej, niż pułkownik Peerth całą długą rozmową.

Frank stał przed dziewczyną głęboko zamyślony. Ocknął się nagle i zaczął mówić gorączkowo:

– Haago tam... O Boże! Przyjaźń? Nie. Sto, tysiąc razy więcej, niż zwyczajna przyjaźń! To było pięć lat temu na Księżycu. Na obozie szkoleniowym... Trenowaliśmy wtedy długodystansowy bieg księżycowy... Wiesz, jak to jest – kiedy czepi się człowieka uparty, głupi pech. Głazy na którymś zboczku uskoczyły mi spod stóp. Zjechałem chyba ze dwieście metrów po rumowisku, a kiedy się wreszcie podniosłem, poczułem, że rozwaliłem skafander na jakimś ostrym złomie skalnym. Głupie, małe rozdarcie, ale za to w podłym miejscu – na plecach. Nie mogłem sięgnąć... Czułem, jak ucieka mi ze skafandra powietrze... I wtedy nie wiadomo skąd zjawił się przy mnie Haago...

Sybill słuchała Franka z zapartym tchem. Kiedy przerwał swoją opowieść na chwilę, nie śmiała nawet zapytać, co dalej?

– Żeby nie on... – podjął Frank. – Zacisnął w dłoni rozdarte miejsce tak, żeby powietrze z mojego skafandra nie mogło zbyt szybko uciec na zewnątrz. Wezwaliśmy pomoc przez radio, ale zanim nas odnaleźli, upłynęło całe pół godziny. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak cholernie długie może być głupie trzydzieści minut... Zauważyłem, że Haago zaczyna się męczyć, że coraz trudniej jest mu utrzymać zaciśniętą dłoń. Ale trzymał, rozumiesz? Kiedy

nadeszła pomoc okazało się, że Haago wcale nie może dłoni rozewrzeć. Dopiero po przebyciu połowy drogi do obozu, już w karetce, trzem silnym chłopakom ledwie udało się oderwać dłoni Haago od mojego skafandra. A potem przez całe jedenaście dni trwało przywracanie jego ręce normalnej żywotności. Sama wiesz, jakie to draństwo bolesne... A teraz Haago...

– Więc chyba dobrze, że już wiesz. Chyba... – Sybill nagle przestraszyła się swoich słów, kiedy Frank pobladł raptownie.

– Sybill... – krzyknął szeptem. – Sybill, czego ty ode mnie chcesz? Jakby już nie było żadnej innej możliwości, żeby im pomóc? Czy to właśnie ja, tylko ja mogę to zrobić!? – wrzasnął nieoczekiwanie. I nagle poczuł się niesłychanie głupio. Krzyczał na dziewczynę tak, jakby robiła mu jakiekolwiek wyrzuty. A ona przecież powiedziała tylko, że Haago... A potem... potem był jej nawet wdzięczny za to, co dodała:

– Ależ oczywiście, Frank. Jestem głupia. Jasne, że z powodzeniem może to zrobić ktoś inny. Opóźni to wprawdzie znacznie start HERKULESA... – przerwała na moment, potem dorzuciła cicho: – A jeżeli przez ten czas na Marsie wylądują jakieś ekspedycje, wracające z dalekiego zwiadu? Zazwyczaj właśnie tam uzupełniają swoje zapasy wody i powietrza... Tyle tylko, że tym razem będzie to niemożliwe.

Frank oparł się bezsilnie o obrotowy fotel, potem zwałił się weń ciężko. Sybill pochylona nad biurkiem wyglądała na pochłoniętą bez reszty sprawdzaniem któregoś ze swoich obliczeń w jakiejś ogromnej tabeli.

– Ludzie na Marsie... – myślał Frank. Wtem na korytarzu rozległy się czyjeś ciężkie kroki. Drzwi rozwarły się i stanął w nich zapomniany przez Ortegę robot. Poruszony swoimi wspomnieniami Frank nie zauważył nawet, kiedy jego elektroniczny „anioł stróż” gdzieś sobie na chwilę poszedł. Android zatrzymał się przed siedzącym w fotelu człowiekiem.

– Panie kapitanie. Mam polecenie zaprowadzić pana do szybowca warstwowego. Musi się pan pośpieszyć – za cztery minuty start.

Mężczyzna nie drgnął nawet. Nadal siedział zamyślony, zatopiony w swoich myślach bez reszty – zauważył, że z chwili na chwilę zaczyna mijać jego tęsknota za Ziemią. Ponownie zobaczył siebie, leżącego na księżycowym gruncie obok klęczącego Haago. A potem ta jego zaciśnięta kurczowo pięść i... ludzie na Marsie. Idą – długi rząd chwiejących się postaci – to ci śmielsi, którzy poprzez burze, przez strumień meteorów ruszyli ku biegunowi planety z nadzieją, że uda im się tam pod pokrywą ulotnego pyłu odnaleźć zamarznięte jeziora. A prowadzi ich... Haago, zaciśniętą kurczowo pięścią wskazujący kierunek...

– Start szybowca warstwowego za... – ponownie odezwał się robot.

– To idź – rzucił Frank ze złością. – Ale beze mnie. Zostaję... To znaczy...

Nie była to decyzja z tych, które przychodzą nagle i łatwo. Przewędrowała przedtem nieomalże wszystkie zakamarki jego duszy i mózgu, przegryzła się przez podświadomość, milionkrotnie zmieniała wartości i znaki, aż wreszcie wyrwała się na zewnątrz w krótkim, ale ileż razy. przez ten czas przemyślanym zdaniu.

Cisza...

Robot wyszedł – jego ciężkie kroki brzmiały coraz dalej i dalej... A potem Frank Ortega roześmiał się beztrudnie, głośno, skoczył ku drzwiom, rozwarł je szeroko mocnym pchnięciem ramienia, zawołał:

– Hej, ty! Błaszany aniele stróżu! Przecież tobie podobno nie wolno ode mnie odchodzić!? Ale skoro już robisz takie błędy, to zamelduj się natychmiast u dyżurnego cybernetyka, stacji i poddaj wszystkie podzespoły generalnej kontroli! Zrozumiałeś, stary gruchocie!?

– Tak jest, proszę pana... – i robot pokłusował ciężkim, hałaśliwym truchtem przez puste korytarze do warsztatów na obwodnicy stacji.

Frank zamaszycie zatrzasnął drzwi. Sybill zagapiła się na niego – to przecież znowu był ten sam, znany jej doskonale kapitan Frank Ortega. Taki, jak kilka lat temu. Uważny, skoncentrowany, czujny – jego uwagi nie umykały nawet najmniejsze usterki w pracy

przyrządów, nawet najdrobniejsze ludzkie omyłki. Z rozjaśnionymi radością oczyma Sybill chwyciła mikrofon, uderzyła w przyciski interkomu:

- Taak, Sybill? Mogłabyś mi choć w tej chwili nie przeszkadzać...
- Panie pułkowniku... – Sybill zabrakło tchu na chwilę.
- Co, u licha? Piszę radiogram do Sztabu. Nadasz go zaraz. W tej sytuacji pozostało mi tylko poprosić Sztab o pozwolenie wzięcia udziału w tej wycieczce na Marsa...
- Panie pułkowniku. Kapitan Ortega jest jeszcze u mnie...
- I co z tego?
- Kapitan Ortega chciałby przejrzeć karty personalne kosmonautów wyznaczonych do lotu, aby osobiście dokonać wyboru załogi HERKULESA! – obejrzała się, lecz Franka w pokoju już nie było...

*

Kapitan Ortega był w tej samej chwili już w innej kabinie, choć jeszcze na tym samym poziomie.

W ciągu niespełna godziny opracował wszystkie algorytmy poszczególnych osobowości i ustalił optymalny skład załogi. Kończył właśnie kodowanie ostatnich danych, gdy z ekranu wychyliła się ku niemu twarz Sybill.

– Nie przeszkadzam, Frank? Bałam się, że już śpisz. Według czasu uniwersalnego na Nova Orbit od kwadransa panuje noc.

– Teraz chcę przede wszystkim skończyć robotę. Odeśpię sobie po starcie HERKULESA. Aha! Czy podałaś Sztabowi moją propozycję składu załogi?

- Oczywiście.
- To świetnie... Teraz jestem tylko ciekawy, czy ludzie, których wybrałem, zdecydują się na tak ryzykowny lot.
- Właśnie dlatego ci przeszkadzam. Myślę, że wszyscy z nich są raczej pewni, ale są podobno zastrzeżenia...
- Spodziewałem się.
- Przyjdź tu do nas. Perth w związku z twoją listą ma jakieś kłopoty i chce z tobą pogadać.

– W porządku. Zaraz przyjdę...

Sybill czekała na niego w drzwiach biura. Przechodząc obok niej Frank spytał jeszcze:

- A co tam z naszym „strumyczkiem”?
- Służba ostrzegawcza bez przerwy siedzi przy radarach. Co pół godziny podają komunikaty. Sytuacja na razie nie jest jeszcze najgorsza...

Weszli do gabinetu pułkownika. Ożywiony, odmłodzony raptownie Perth wskazał im miejsca i zaczął:

- Świetnie, że pan już jest. Co z HERKULESEM?
- Sprawdzony. To jest nie kosmolot, a atomowy dinozaur. Albo kosmiczny kafar. Potęga...

Perth roześmiał się z zabawnych porównań Ortegi.

– Oczywiście zdążył pan na pewno zauważyć, że jest to po prostu wielka rakietowa towarowa o luźno połączonych sekcjach. Zazwyczaj służy do przewozu kosmicznych kontenerów, zabierając naraz do dwudziestu pięciu sztuk. W tym wypadku HERKULES poleci ze swym konwojem i będzie miał za zadanie główne wyprowadzenie kontenerów z rejonu przepływu strumienia meteorów.

– Nie powiem, żeby było to najłatwiejsze zadanie. Trzeba mi do niego doświadczonych i odważnych ludzi. Tych, których nazwiska podałem w swojej propozycji składu załogi...

Z jakiegoś ukrytego w ścianie głośnika popłynęły słowa ostrzeżenia:

– Tu Służba Ochrony Przeciwmeteorytowej. Uwaga! Uwaga! Uwaga! Niewielkie ilości meteorów nad pasem Van Allena. Stan zagęszczenia pyłu kosmicznego lekko zwiększony do dziesięć i pół procent.

Peerth przez moment tylko słuchał komunikatu, potem podjął.

– Wiem, że ci ludzie są doświadczeni. Mam jednak pewne zastrzeżenia. Oczywiście miał pan pełne prawo wybrać obsadę statku właśnie taką, jaka panu odpowiada, ale uważam za konieczne zwrócenie panu uwagi, że może to być posunięcie cokolwiek pochopne. Tu – na stacji – zawsze jednak istnieje możliwość dokonywania zmian. Ale po starcie...

– A konkretnie? Do kogo ma pan zastrzeżenia?

– Ponieważ załoga ma być w gruncie rzeczy bardzo mała, zabiera pan w zamian za to na pokład dwadzieścia uniwersalnych robotów.

– I do nich ma pan zastrzeżenia?

– Nie. Ale odpowiedzialnym za nie ma być Frederic Bixby. To jest ten sam człowiek, który nie sprawdził się podczas prac przy budowie obserwatorium astronomicznego na Merkurym. A poza tym pozwolił się wciągnąć w ryzykowną przygodę, usiłując wraz z dwoma podobnymi sobie żółtodziobami pokonać gorącą stronę planety. Wynika z tego, że jest to człowiek dosyć lekkomyślny, a pan zdecydował się wziąć go ze sobą na tak odpowiedzialną i ryzykowną wyprawę.

Ortega uśmiechnął się.

– Czy to są wszystkie zastrzeżenia? – zapytał.

– Tak.

– Hmm... Od czasu zdarzeń na Merkurym upłynęło dziesięć lat. Teraz Bixby jest nie tylko starszy i bardziej doświadczony. Jest przede wszystkim doskonałym fachowcem w dziedzinie automatyki i cybernetyki. Zaś co do jego próby pokonania dosłonecznej strony Merkurego, to dowiódł tym, że nie lęka się niebezpieczeństw. Takiego człowieka warto mieć przy sobie podczas – jak sam pan powiedział – ryzykownej wyprawy. A rzeczywiście podczas tego lotu może przydarzyć się dużo nieprzyjemnych niespodzianek. Wydaje mi się ponadto, że w ciągu ostatnich lat Bixby doskonale nauczył się odróżniać odwagę od zbędnej brawury.

– Mimo wszystko sądzę, że ufa mu pan w większym stopniu, aniżeli by należało – Peerth nigdy nie poddawał się zbyt łatwo.

– Bixby ma jeszcze jedną przewagę nad wszystkimi innymi kandydatami, bez względu na to, kimkolwiek by oni byli – Ortega zawiesił głos na moment wystarczająco długi, by zainteresować tym pułkownika.

– Hm... Jakież to jeszcze ukryte zalety ma Bixby?

– Po pierwsze to, że jest tu. Na miejscu. A co do innych zalet... Czyżby nie pamiętał pan nazwisk swoich najlepszych współpracowników? O ile pamiętam, ostatniego, pozytywnego wpisu w karcie Bixby'ego dokonywał właśnie pan, pułkowniku...

Peerth roześmiał się, pokonany, ale szybko spoważniał ponownie mówiąc:

– No, a ten drugi...

– Rudi Borsksson, Szwed – odpowiedziała Sybill. – Został dyscyplinarnie zawieszony na pięć lat w prawie do lotów za nieuwagę, czy też nawet wyłączenie nasłuchu w swoim kosmolocie. Na jego nieszczęście akurat nadawano sygnał CQ... Przez jego niedbalstwo omal nie zginęło ośmiu ludzi z ekspedycji Hampnera. Okres nagany minął mu zaledwie trzy lata temu.

– I od tego czasu Rudi Borsksson nie został przez nikogo dokooptowany do załogi – powiedział Ortega, myśląc jednocześnie: „To po jaką cholere było wysyłać ekspedycję akurat tam, gdzie możliwa była łączność tylko z jednym punktem?” i dodał jeszcze głośno:

– Rudi Borsksson dostał pięcioletnią naganę w sprawie, w której zazwyczaj raz na zawsze odbiera się kosmonautom wszelkie uprawnienia. Podobno były jakieś uchyby w pracy aparatury i dlatego wzięto pod uwagę okoliczności łagodzące. Rudi zgłosił się sam natych-

miast po ogłoszeniu alarmu. Zgodnie z regulaminem można byłoby jego kandydatury nie uwzględniać, ale chcę dać mu szansę. Tym bardziej, że w załodze potrzeba mi ludzi, którzy zaryzykują bardzo wiele bo... i tak nie mają nic do stracenia. Rudi zrobi teraz wszystko, żeby się wreszcie zrehabilitować.

– Nie przypuszczałem, że będzie pan aż tak uparty – Peerth skrzywił się z niezadowoleniem. Nie rozumiał tego Ortegi. Najpierw odmawia zdecydowanie, potem mimo wszystko bierze udział w akcji, potem dobiera ludzi według własnego widzimisie... Przecież ryzyko tego lotu jest o wiele większe, niż normalnie. Ortega powinien zmniejszać je, a nie potęgować poprzez dobór ludzi z nie najlepszą przeszłością.

– Może należałoby spytać o zdanie psychologów ze sztabu? – wtrąciła Sybill. Ortega spojrział na nią podejrzliwie. Zanim nadeszłaby lekarska opinia, HERKULES musi być już ponad milion kilometrów od Księżyca. Pułkownik natomiast podjął jeszcze jedną próbę przekonania kapitana:

– Chyba nie weźmie mi pan tego za złe... Muszę panu powiedzieć, iż oficjalnie interweniowałem w tej sprawie w Sztabie Operacyjnym. Chciałem pomóc panu tak, aby cała wyprawa zakończyła się szczęśliwie. W tej chwili eksperci opracowują nową listę składu załogi. Skoro więc sztab nie wyraził zgody na pańską propozycję, nie zechce też wziąć współodpowiedzialności za powodzenie operacji.

Ortega milczał – Peerth miał niestety rację, mówiąc o poglądach przedstawicieli Sztabu Operacyjnego. A jednak Frank mimo to nadal wierzył w swoją umiejętność oceniania ludzi. Podczas samodzielnego rejsu przyswoił sobie sporo wiadomości z zakresu psychologii praktycznej i, jak dotąd, dobrze wyczuwał, których ludzi należy używać w określonych sytuacjach. Uderzył więc raz jeszcze:

– A ja? Czy mnie można powierzyć dowodzenie HERKULESEM? Przecież jestem jeszcze młody i niedoświadczony...

Peerth i Sybill milczeli.

– Powtarzam więc: jako kapitan statku mam pewne prawa i zamierzam je właśnie wykorzystać. Wybieram właśnie tę załogę, bo tylko ta, a nie wybrana przez ziemskich urzędników, odpowiada mi pod każdym względem.

– Frank, bądź rozsądny – Sybill usiłowała załagodzić spór. – Nikt nie kwestionuje twoich umiejętności. A ponieważ czas nagli, więc pogadajmy rozsądnie...

Z małego głośnika popłynął kolejny komunikat o wzroście gęstości strumienia meteorów i zapylenia okolicznej przestrzeni. Ortega skinął głową.

– Istotnie. Czas nagli... Rozumiem, że macie zastrzeżenia co do typowanego przeze mnie składu załogi, bo macie do tego prawo. Wierzę też, że chcecie jedynie dobra całej wyprawy. Ale wydaje mi się, że to jeszcze nie wszystko. Główny zarzut dopiero nastąpi, prawda, panie pułkowniku?

– Zgadł pan – potwierdził Peerth. – Najbardziej niepokoi mnie fakt, że jako nawigatora chce pan wziąć Franka Rossa. Rozumiem, że jest w tej chwili łatwo osiągalny. Cenię to, że ma on ogromną praktykę – ponad trzydzieści lotów do planet naszego układu. Ale jego wiek... Czy pan wie, ile on ma lat?

– Znam karty personalne członków swojej załogi.

– Więc zna pan także i tę zeszłoroczną sprawę, kiedy to prowadzący raketę Ross pomylił parametry podczas podejścia na orbitę okołoziemską i zamiast lądować ze stycznej z bezpośredniego podejścia, osiadł przymusowo, używając przy tym atomowych silników hamujących, co ze względu na ochronę atmosfery Ziemi jest surowo zabronione...

Tym razem z głośnika ostrzegawczego popłynęły zamiast słów głośnie trzaski. Informacja dotyczyć miała tym razem rejonu przemierzanego aktualnie przez Nova Orbit, więc wszyscy słuchali uważnie, lecz udało im się ułoić zaledwie końcówką zdania:

– ... zakłó... maksymal... nasilenie za ok... sześć mi...

– Sprawdzę, czy technicy zaktywizowali cewki biegunowej osłony – powiedziała Sybill półgłosem.

– Daj spokój. Zrobili to na pewno, a my mamy w tej chwili równie ważny problem do rozgryzienia – powstrzymał ją Peerth.

Oboje ponownie zwrócili się ku Ortedze, który rzekł:

– A moim zdaniem zrobiono po prostu zbyt wiele hałasu koło tej sprawy. Mimo wszystko trochę za wcześnie panowie eksperci usiłują wysłać Rossa na emeryturę. Czy nie warto byłoby mu pomóc?

W tym momencie Peerth po raz pierwszy przyznał Ortedze rację – on również uważał, że można było znaleźć mniej drastyczne rozwiązanie. A Frank dorzucił jeszcze:

– Podejrzewam, że rozchoruję się ciężko podczas powrotnego rejsu. Czuję, że tym razem prowadzący statek Ross nie popełni błędu.

Peerth zamyślił się nagle. Wstał, zaczął spacerować dookoła biurka. – Hm... Ortega... Młodziak niby, ale uparty za dwóch staruchów. Ot, chociażby takich jak ja... A właśnie. Czy na jego miejscu mówiłbym inaczej? – uśmiechnął się pod wąsem – Ortega... Najpierw twierdzi, że go nic ludzie na Marsie nie obchodzą. To, że się zdecydował jest zrozumiałe. Skoro dowiedział się, że jest tam jego przyjaciel. Ale teraz broni przecież tych obcych sobie ludzi tak zaciekle...

Peerth spróbował jeszcze raz zaprotestować, ale sam czuł, że zabrzmiało to sztucznie i nieprzekonywająco:

– Atest lekarski Rossa odpowiada wszelkim wymaganiom floty. Ale w rzeczywistości nie jest chyba aż tak dobrze. Ostatecznie lekarze też ludzie...

– I komputery medyczne... także ludzie, prawda? – z łagodną, ledwie uchwytną kpina podpowiedział Ortega. – Szczególnie te, które badały stan zdrowia Franka Rossa parę dni temu... Człowiek może się pomylić. Stu ludzi również. Ale trzy komputery są w stanie zagwarantować stuprocentową prawdziwość odpowiedzi, czy tak? A słyszałem nie tak dawno temu, że nasza służba medyczna ma ich troszkę więcej, niż trzysta...

Peerth usiłował ukryć rozbawienie pod maską gniewu:

– Flota Międzyplanetarna to nie instytucja dobroczynna! A poza tym... – i nagle zrobiło mu się dziwnie przykro, że on może jako argumentów użyć jedynie suchych, służbowych przepisów, a ten chłopak ma do dyspozycji całą swoją młodą i żarliwą wiarę w ludzi.

– Przemysłałam całą sytuację – włączyła się milcząca od dłuższej chwili Sybill. – Byłoby to chyba bardzo korzystne, gdyby kapitan Ortega mógł opierać się od czasu do czasu na bogatym zasobie doświadczeń nawigatora Rossa...

– Nadal obstaję przy proponowanym przeze mnie składzie załogi – przypomniał o swoim istnieniu Ortega.

Peerth zamyślił się ponownie. – Czy w Sztapie panuje w tej chwili podobna sytuacja? Jeżeli tak, to Ortega ma spore szanse. Ale mimo wszystko nadal nie wiadomo, jaka będzie ostateczna decyzja.

Ciszą przerwał ponowny meldunek służby ostrzegawczej:

– Uwaga! Uwaga! Pojawiają się pierwsze złomy skalne czwartego rzędu wielkości. Spodziewane przecięcie się ich trajektorii lotu z wymodelowaną trasą SP-178 Nova Orbit nastąpi około godziny trzeciej siedemnaście czasu uniwersalnego. Odległość czoła roju – siedemset dwadzieścia kilometrów...

Pułkownik Aleksander Peerth zatrzymał się tuż przed kapitanem Ortegą i powoli, starannie zasalutował:

– Wycofuję swoje zastrzeżenia, panie kapitanie. Sądzę, że dokonał pan trafnego wyboru – uśmiechnął się przyjaźnie. – A więc: dużo szczęścia i gorących dysz...

Sybill podskoczyła radośnie ku Frankowi wołając:

– Frank! Ode mnie też! I pamiętaj: dopóki widzisz Słońce, nie zagubisz Ziemi.

Na ekranie stojącego z boku, zapomnianego stereowidu połączonego bezpośrednio za Stanowiskiem Dowodzenia w Sztabie zajarzył się napis: „Sztab Operacyjny do pułkownika Peertha, kierownika SP-178 Nova Orbit! Akceptujemy załogę z propozycji Kapitana Ortegi. Start: godzina 8,31 czasu uniwersalnego”.

Napis zamigotał kilkakrotnie i zgasł, lecz pułkownik Peerth nie zauważył go wcale, bo właśnie w tej chwili obrócony od stereowidu do kapitana Franka Ortegi mówił:

– Oczywiście życzę panu jak najlepiej, kapitanie. A gdyby pan tak w drodze powrotnej rzeczywiście trochę pochorował, to...

*

Nawet już w drodze powrotnej po planowym wykonaniu zadania Frank zastanawiał się jeszcze, czy przy swoich ostatnich słowach pułkownik Peerth mrugnął ku niemu porozumiewawczo, czy też tak mu się tylko zdawało...

ŚLADY NA LODZIE

Olbrzymia ławica lodowa rozciągała się pod czarnym niebem arktycznej nocy. Zdawać by się mogło, że nawet cisza tutaj zamarzła i tylko dzwoni słabiutko w podmuchach polarne- go wiatru. Jedynie od czasu do czasu dobiegało z oddali słabe jak cisza skrobanie i tarcie, spowodowane morskimi prądami skrytymi przed mrozem pod metrową warstwą spojonych ściśle bloków kry. Zimne światło gwiazd odbijało się drobnymi łyśnięciami na powierzchniach lodowych brył, przebijających śnieżną pokrywą ostrokanciastymi wierzchołkami.

I nagle coś pod lodem zabłyśło, zabułgotało – pokrywa lodowa pękła z głośnym hu- kiem. Ze szczelin trysnęły fontanny wody i lodowych wiórów, wylizywy gorącej pary uniosły się nad pęknięciem jak obłoki z cukrowej waty. Na kilka sekund wróciła cisza, lecz nie trwała długo – z pęknięcia w ślad za kłębami pary zaczął wyslizgiwać się obły, wypukły kształt. A potem zagadkowe „coś” rozprysnęło się ze straszliwym łoskotem, potężny słup jaskrawego ognia na moment wznosił się do czarnego nieba, rozlał po nim krótkotrwałą łuną i zgasł równie szybko, jak zapłonął, pozostawiając po sobie tylko nieregularną jamę w krze – w dziurze o niemalże stumetrowej średnicy kotłowała się połyskująca tłusto, ciemna woda...

Ciemność i cisza arktycznej nocy robiły po tym widowisku podwójnie wielkie wrażenie – o ile jakiś człowiek zobaczyłby to wszystko w owej chwili. Zobaczyłby zresztą więcej; porzrzucał dookoła szczątki jakiejś konstrukcji, wbite w lód siłą potwornej eksplozji. W czarno-białej dali spoczywało coś w rodzaju elastycznej puszki czy półprzezroczystego kokonu, kryjącego w sobie ciało jakiegoś człowieka. Nie żył on jednak. Nie żył już wtedy, kiedy pękający lód cisnął kokonem o jakiś sterczący blok zamarzniętej wody...

Wir w przerębli uspokajał się. Podmuchał mrozu wytrącił z powietrza na ziemię resztki pary wodnej, potem zaczął cienką warstwą lodu zasnuwać czarną wodę. Znowu niepodziel- nie zapanowała ciemność i tylko na południu – daleko, daleko na horyzoncie – unosił się nie- zmiernie słaby, widmowy blask, taki jak rzucona na niebo łuna wielkiego, oddalonego miasta. Bądź co bądź wybrzeże najbliższego kontynentu odległe było o sto kilometrów co najmniej. Biegun leżał o wiele bliżej...

*

Komora wiertnicza na dnie morza wibrowała pod naciskiem przegrzanych gazów, które

zbyt wąskimi przewodami wylewały się z głębi szybu. Człowiek przebiegł spojrzeniem po skalach wskaźników i uśmiechnął się zadowolony – po przełączeniu ogniów laserowych znacznie wzrosła wydajność głowicy, ale – tu mężczyzna zmarszczył brwi – dopływ energii elektrycznej do dział wiertniczych przez główny kabel zasilania wzrósł nieco ponad maksymalną granicę. – No, nic, powinno wytrzymać jeszcze trochę – pomyślał. – Ale koniecznie trzeba będzie stosować przewody o większej przewodności...

Patrzył teraz z zadowoleniem na swoje obliczenia – zgodnie z nimi udoskonalony system głowicy wiertarki wżerał się pionowo w skały z podwójną prędkością. Sugerowało to, że obliczenia były prawidłowe, ale inżynier Edward Poliński nadal uważał, że jeszcze za wcześnie, by mówić o sukcesie.

Jego ręka machinalnie powędrowała do kieszeni na piersi – dopiero po chwili inżynier przypomniał sobie, że szukany po wszystkich zakamarkach ubrania list z dyrekcji swojej firmy zostawił w mieszkaniu. Informowano go w nim, że zostanie odwołany ze swojego dotychczasowego miejsca pracy, aby mógł objąć kierownicze stanowisko w Zakładach Budowy Sprzętu Laserowego. Wiadomość ta zmusiła go do maksymalnego przyspieszenia swojej pracy nad metodą wierceń plazmowych. I ta sama wiadomość spowodowała, że znalazł się tutaj – na stanowisku LB-71 w dniu wolnym od pracy. Pragnął przed odjazdem z Arktyki zostawić tu coś istotnego – swój wynalazek, mający od dziś służyć wszystkim poszukiwaczom ropy w podmorskich okolicach bieguna.

Mężczyzna oderwał wzrok od urządzeń pomiarowych. Podeszedł do stojącego nie opodal stołu, między rozrzuconymi na jego blacie brulionami rysunków znalazł czystą kartkę i już po chwili zatonał w jakichś skomplikowanych obliczeniach. Martwiły go niektóre niezgodności obliczeń z praktyką – może rzeczywiście powinien był ograniczyć główne zasilanie, żeby tym łatwiej sterować mocą i działaniem całego agregatu wiertniczego?

Nagła cisza sprawiła, że z zaskoczeniem poderwał się od stołu, zerknął w monitor – wibrujący, syczący przepływ gazów z wywierconego szybu od dobrej chwili ustał. Widać zbyt długo pozostały bez nadzoru przeciążone ogniwa głowicy. Może nadmiar wytopionej magmy sprężył się gdzieś w głębi szybu jak ogromny korek? Mężczyzna skoczył ku pulpitemu rozrządu, lecz nim jego dłoń dosięgnęła wyłącznika zasilania głowicy, z korpusu pompy magmowej wystrzeliły potężne wentyle, uderzyły z impetem o osłonę komory. Wstrząs odepchnął człowieka od pulpitu – skoczył znowu, ale już jęknęły pierwsze sygnały alarmowe, a potem wybuchło piekło! Strumień lawy i sprężonych gazów wypływał z szybu jak gejzer, tryskał z przeraźliwym wyciem w lodowatą wodę, zamieniał ją w skotłowane, śmigające ku lodom na powierzchni pęcherze wrzącej jeszcze pary. Światło w komorze przygasło i jednocześnie wstrząsy wzmożyły się tak, że człowiek zrezygnował z prób podporządkowania sobie rozregulowanych urządzeń – z trudem doczołgał się do śluzy wyjściowej, by przez wąski otwór wepchnąć się do kapsuły ratowniczej.

W panice szukał przycisku uruchamiającego katapultę, kiedy następne potężne uderzenie rozwaliło trzeszczące ściany. Kopulasta konstrukcja została wyrwana z betonowych kotw w dnie morza i odrzucona strumieniem gazów od ujścia szybu. Słup piekielnego ognia zmieszanego z pęcherzami pary zaczął wznosić się coraz wyżej, porywając ze sobą obłą jajko komory – po chwili metrowa warstwa lodu na powierzchni morza pękła z ogłuszającym trzaskiem. Tak zginął inżynier Edward Poliński dnia siedemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku...

*

Łódź patrolowa UMB 104 – płynęła niezbyt szybko przez sektor KL 9. Ruchliwy promień światła z obracającego się reflektora przesuwiał się badawczo po lodowej pokrywie nad lodzią. Drugi – równie jasny strumień – przebijał się aż na dno morza, zaś trzeci – kołyszący

się bez przerwy jak wahadło – prześwietlał ciemną wodę do odległości dwustu metrów przed dziobem łodzi. Wszystkie stanowiska obserwacyjne były zajęte, choć UMB podążała w tej chwili najzupełniej pustym szlakiem. A jeszcze przed dwoma dniami aż roiło się tutaj od kesonów i uwijających się wzdłuż i wszerz łodzi i batyskafów. Jedynie od czasu do czasu widoczne były z dala słupy potężnych świateł. Oznaczały one co ważniejsze punkty podmorskiej kolonii: reaktor jądrowy, magazyny kontenerów, stacje pomp, węzowiska rurociągów, poszczególne stanowiska z komorami wiertniczymi i kompleksy kopuł mieszkalnych. Podświetlony tymi łunami pancierz arktycznych lodów robił wrażenie grubej, opalizującej mlecznym blaskiem warstwy chmur – tylko gdzieniegdzie poszarpane podnóża gór lodowych psuły ten ładząco spokojny obraz.

Łódź patrolowa dopłynęła do granicy sektora LM 10 – słupy świateł stały się cokolwiek rzadsze. Tu zaczynały się zewnętrzne granice pola wiertniczego. Łódź nie osiągnęła jeszcze północnego punktu zwrotnego Nieft'-1, kiedy hydrofon w kabinie sterowniczej odtworzył jakiś silny, podwodny zgiełk czy szum, przerywany co chwilę mocniejszymi, dalekimi odgłosami. Posterunek nasłuchu zidentyfikował je szybko jako typowe dźwięki wrzenia erupcyjnego przy gwałtownym wybuchu gazu ziemnego. Kierując łódź w tamtą stronę komendant zamierzał właśnie o poczynionych obserwacjach zameldować swojej centrali, kiedy już odezwało się stanowisko dowodzenia. Wydany rozkaz potwierdził tylko zamiar komendanta: bezzwłocznie skierować się ku stanowisku wiercenia laserowego numer siedemdziesiąt jeden i tam przedsięwziąć dokładne badania sytuacji. Bezzwłocznie to bezzwłocznie – komendant kazał obsłudze zwiększyć obroty potężnych śrub do maksimum – łódź patrolowa pomknęła jak zwinny rekin w pogoni za ofiarą. Jednocześnie w jej wnętrzu rozpoczął się ożywiony ruch i krzątania przy sprawdzaniu ciśnieniowych urządzeń gaśniczych i przygotowywaniu ich do pełnej gotowości do działania – wszystkie dźwignie uruchamiające sprężarki przestawiono w pozycję „Pogotowie pożarowe”. Jednocześnie nasłuchowiec próbował wśród szumu wyłowić głos autentycznego hydronamiaru przy wieży LB-71, lecz żadna próba się nie powiodła, więc wysyłał co chwila nowe sygnały, rejestrując jednak w przystawce pamięciowej kolejne odgłosy wstrząsów, dobiegające z kierunku, w którym łódź od paru chwil pędziła na złamanie karku.

Po kilkudziesięciu sekundach wszystko ucichło, lecz patrol mknął równie szybko, by czym prędzej ustalić, co właściwie stało się na uszkodzonym stanowisku. Zajście było tym dziwniejsze, że był to przecież jeden z dwóch dni w tygodniu wolnych od pracy, więc większość stanowisk nie pracowała. Czynne były jedynie te, w których wymagała tego sytuacja i zaawansowanie wierceń. Bulgot, szmery i huki uspokoiły się na dobrych kilka minut przed przybyciem UMB 104 w rejon alarmu.

W całym obszarze LB 71 unosiła się nieopisana mieszanina pęcherzyków pary i gazu, rzadkiego, rozgrzebanego mułu i poszarpanych szczątków ryb, których jakaś większa ławica musiała akurat przepływać w pobliżu. Wszystko to razem tak bardzo ograniczało widoczność, że dopiero po długich kilkudziesięciu minutach można było zobaczyć, co się właściwie stało...

*

Podmorska sieć kablowa przekazała tylko kilka krótkich, urywanych sygnałów ostrzegawczych. Dyżurny w hali kontroli na polu naftowym „Nieft'-1” mruknął zatroskany:

– Co, u licha? Najpierw to nie dokończone ostrzeżenie, a teraz wcale nie ma sygnału? – Zaczął systematycznie sprawdzać poszczególne połączenia. Automaty pospiesznie wywołanych stanowisk zgłaszały się natychmiast. I nagle...

Jedno ze stanowisk milczało uparcie. Dyżurny zastanowił się:

– Najpierw ostrzeżenie o nadmiernym poborze mocy, teraz LB 71 milczy jak zakłète...

Hydrofony przekazały nagle jakiś odległy łomot. Dyżurny podbiegł do pulpitu, wystukał zwinnymi palcami krótki kod wywoławczy i rzucił w mikrofon:

– Uwaga, UMB 104! Uwaga UMB 104! Otrzymaliśmy sygnał awarii z głębin Sedova... – piekielne szumy i trzaski były jedyną odpowiedzią. Powtórzył więc:

– Uwaga, UMB 104! Sygnał awarii z głębin Sedova! Zmieńcie kurs i płyńcie tam bezwzględnie. Musicie jak najszybciej zbadać, co stało się przy LB 71! Uwaga... – przestał krzyczeć, usłyszawszy nareszcie potwierdzenie odbioru polecenia. Dyżurny zwrócił się teraz w stronę komputera koordynującego wszelkie prace na terenie pola naftowego. Po chwili odczytał z wyplutych przez komputer kart osobowych, że na polu naftowym przebywa w tej chwili jedynie siedmiu techników, mających wykonać jakieś niewielkie naprawy podzespołów rozrządu. Ale żaden z nich – na szczęście – nie znajdował się w obrębie głębin Sedova. Tam wszystkie stanowiska wiertnicze były na razie nieobsadzone. Więc życie ludzkie nie było w niebezpieczeństwie!

A potem zameldowało się lotnisko na powierzchni: – Halo, Niefert'-1! Na północy zauważyliśmy dziwne światło. Czerwono-żółty słup ognia, który przygasł po chwili. Na razie nic więcej stamtąd nie widać. Ustaliliśmy, że przypuszczalne miejsce zderzenia pokrywa się z rejonem LM 10... – huczący głos lotnika ucichł.

Dyżurny kilka razy głośno przełknął ślinę – przeczuwał już, że musiało się stać coś bardzo złego. Najpierw te sygnały, urwane raptownie, jakby uszkodzeniu uległa kablowa sieć ostrzegawcza, potem głuche odgłosy i trzaski, a teraz jeszcze opis ognistego słupa. Ani chybi w głębinie Sedova doszło do nieprzewidzianej erupcji. Prawdopodobnie musiał to być niesamowicie silny wybuch gazów – co za szczęście, że zdarzyło się to w dniu wolnym od pracy. Inaczej na pewno nie obeszłoby się bez ofiar w ludziach. Pytanie tylko, jak do tego doszło? Stanowisko było przecież wyłączone z sieci roboczej. Czyżby jakieś silne zwarcie, które trwać musiało ułamek nanosekundy bo inaczej poszłyby bezpieczniki całego sektora, doprowadziło do samozapłonu laserowego działła w wydrążonym szybie? Szybko nacisnął czerwony klawisz – zza ściany dobiegło go najpierw wycie syreny alarmowej, a potem cztery przyciszone wybuchy. To cztery łodzie alarmowe wystrzeliły się ze swoich stanowisk, by pomknąć w rejon katastrofy.

Dotarły tam niewiele później, niż znajdująca się o wiele bliżej UMB104. A kiedy już widoczność poprawiła się, załogi wszystkich łodzi zobaczyły jedynie rozdziawiony szeroko lej w morskim dnie, z którego jeszcze wystawały resztki konstrukcji podstawy wieży wiertniczej. Proces erupcji wytłumił się samoczynnie. Ludzie byli zadowoleni, że nie doszło do wytryśnięcia ropy, co musiałyby doprowadzić do niesłychanych skażeń olbrzymiego akwenu.

Po chwili w obszarze leja krzatali się nurkowie, mający za zadanie zebrać wszelkie resztki tego, co jeszcze godzinę temu było stanowiskiem wiertniczym LB 71, aby specjalnie powołana komisja mogła później ustalić przyczynę wypadku.

Helikoptery, które codziennie odbywały loty obserwacyjne nad Arktyką, celem badania prądów morskich w rejonie pola naftowego, skierowano kilka godzin później na miejsce wypadku, by pozbierały z powierzchni lodu pozostałe ruiny konstrukcji wyrzucone na powierzchnię. Załogi śmigłowców kończyły już swoją pracę, kiedy któryś z ludzi przypadkowo dostrzegł jakiś oddalony bardziej niż inne, niewyraźny kształt. Początkowo myślał, że to jakiś niedźwiedź polarny zabłąkał się na swoje nieszczęście w rejon wybuchu. Dopiero kiedy podszedł bliżej zrozumiał, że patrzy na potrzaskany kokon ratunkowy. Wezwał kolegów i ktoś rozpoznał martwego człowieka. Ale nadal nikt nie wiedział, dlaczego polski inżynier sam, w niedzielę poszedł na swoje stanowisko pracy. I... dlaczego jego wyjazd do pracy nie został przez komputer zarejestrowany...

Janko Kaprovič włożył ostatni rysunek do grubej teczki z napisem: „Edward Poliński – Metoda wierceń przyspieszonych przy pomocy udoskonalonych głowic laserowych” i z niezadowoleniem po raz nie wiadomo który spojrzął na zegarek. Dając mu rano tę teczkę Edward powiedział, że wybiera się na pole naftowe i, że kiedy wróci wieczorem chciałby przedyskutować z Jankiem jeszcze raz swoje rysunki i obliczenia. Chodziło mu przede wszystkim o pewien uparty drobiazg, psujący bez przerwy wszelkie próby. Lecz teraz była już prawie północ, a przyjaciel jeszcze nie wrócił. Kaprovič wyszedł ze swojego mieszkania, przeszedł wzdłuż drzwi poustawianych w regularny szereg i zadzwonił do mieszkania Polińskiego. W głębi panowała głucha cisza – może Poliński wrócił zmęczony i położył się spać, zapomniawszy o umówionym spotkaniu?

Kaprovič nacisnął klamkę i wszedł do przedpokoju. Zapalił światło, zajrzał do pokoju – Edwarda na pewno w domu od dawna nie było. Na dywanie leżały porozrzucane niedbale szkice konstrukcyjne i wykonane pośpiesznie tabele. Kaprovič podniósł jeden rysunek, przyjrzał mu się uważnie – tak, to był właśnie ten nie pasujący do niczego szczegół, ale tym razem opracowany trochę inaczej. Janko zgarnął rysunki z podłogi – skoro Edek dał mu całą teczkę, to nie będzie się przecież pieklił o te rysunki. Zresztą tak czy tak przyszedłby z nimi do Janka wcześniej czy później. Pracowali przecież od pewnego czasu razem w siedmioosobowym zespole, obsługującym stanowisko LB 71 i Poliński coraz częściej prosił Kaproviča o pomoc przy wykonywaniu rysunków technicznych poszczególnych części projektowanego przez siebie urządzenia.

Janko wrócił do siebie. Po godzinie sprawdził jeszcze raz – Polińskiego nadal nie było – i poszedł do kawiarni z nadzieją, że może tam go odnajdzie. Tamtego nie było jednak ani w kawiarni, ani w barze, ani w restauracji – czyżby do tej pory siedział przy pracy w głębinie Sedova?

Zasiadł właśnie przy kieliszku w barze, kiedy usłyszał pierwsze pogłoski o katastrofie. Początkowo nikt nie brał tego poważnie. Sądzono, że jest to po prostu jakiś próbny alarm, jeden z tych, które przeprowadzano na tyle często, żeby wszyscy zdążyli się z nimi oswoić. Pogłoski jednak przybierały wciąż na sile.

Janko nie miał zaufania do poczty pantoflowej, więc machnął po prostu na wszystko ręką i najspokojniej w świecie poszedł spać pewien, że wszystko się jutro wyjaśni.

Jeszcze nie usnął porządnie, a już ktoś zaczął do jego drzwi dzwonić tak natarczywie, jakby wszystko się dookoła paliło. Janko wyskoczył z łóżka, podbiegł do drzwi, otworzył – za progiem stali Corinne Alraude i Aleksy Turbojew, członkowie tego samego zespołu badawczego, do którego należeli Janko i Edward. Wyraz ich twarzy przestraszył go – Corinne miała wielkie, przerażone oczy, a Aleksy – brwi zmarszczone w jakimś wielkim zatroskaniu.

– Nasza LB eksplodowała... Gaz... – wyjąkała Corinne.

– Doszło do samoczynnego wypływu – uzupełnił Aleksy.

– A... Edward? – zapytał Janko, zaczynający przeczuwać, że stało się coś niedobrego, choć nie umiałby po wiedzieć, co.

– Chodź z nami. Może on wie trochę więcej, niż my... – pobiegli korytarzem. Janko pogończył za nimi, dopinając pośpiesznie piżamę.

Drzwi do pokoju Polińskiego nadal były otwarte. I nic nie wskazywało, że Edward mógł tu być w międzyczasie. Janko miał mimo wszystko nadzieję, że inżynier opuścił już dawno stanowisko i że nie stało mu się nic złego. Na wszelki wypadek podbiegł do telefonu i wykręcił numer Sekcji Alarmowej. Dowiedział się, że ekipy nadal badają okolice zajścia, oraz tego, że nurkowie nie znaleźli niczyjego ciała. Dowiedział się jednak także i tego, że Poliński nie był wyznaczony do Sekcji Alarmowej.

– Może poleciał na weekend do Moskwy lub Władywostoku... Albo do Warszawy... – zastanawiała się głośno Corinne.

– A tak, przypominam sobie. Rzeczywiście mówił coś takiego dwa czy trzy dni temu –

skłamał Janko. Skłamał tylko dlatego, żeby jeszcze bodaj na chwilę odwlec konieczność wypowiedzenia na głos swoich strasznych domysłów. Cudem udało mu się zachować spokój, kiedy mówił:

– Najlepiej idźmy spokojnie spać. Jutro dowiemy się wszystkiego o tym wybuchu w naszej LB...

Wróciwszy do swojego mieszkania mocno zatrzasnął drzwi i bezsilnie oparł się o ścianę. Dla niego było w tej chwili najzupełniej jasne, że Poliński na żaden weekend nie poleciał. To, że nie znaleziono niczyjego ciała, o niczym przecież nie świadczyło. Może tylko o jednym – że władze naczelne firmy jeszcze nie kojarzyły wybuchu gazu z osobą inżyniera Polińskiego, który tym razem eksperymentował samodzielnie.

*

Lot na tej wysokości należał do zdecydowanie nudnych – poza grubymi szklami niewielkich okien stratolotu widać było jedynie grubą poduszkę brudnobiałych chmur. Tylko niekiedy przez dziury w tej monotonnej powłoce przeglądało coś podobnego do krajobrazu, co jednak z tej wysokości także nie było zbyt ciekawe, bo przypominało mapę o dużej skali. Dlatego też Fred Stegenbach przede wszystkim rozglądał się wokoło – po ludzkich twarzach i komfortowym wnętrzu pojazdu powietrznego, skonstruowanego na specjalne zamówienie Syberyjskiego Związku Eksploatacji Pól Naftowych. Zamówiono całą serię podobnych stratolotów po to, by oddać je do dyspozycji pracowników Związku, pragnących na przykład spędzać swoje weekendy w Paryżu, Taszkencie, Rzymie czy Władywostoku – właściwie w dowolnym punkcie kuli ziemskiej.

Fred opuścił oczy i ponownie zajął się uważnym czytaniem dostarczonego mu już w Berlinie sprawozdania, kiedy ostatecznie zapadło postanowienie o dokooptowaniu go do składu komisji, mającej za zadanie ustalenie przyczyn katastrofy na polu roponośnym Nieft'-1. Wprawdzie Stegenbach wolałby pozostać na swoim miejscu, zamiast włączyć się gdzieś aż pod północny biegun tylko dlatego, że uznano go za jednego z najlepszych niemieckich specjalistów od techniki laserowej, ale obowiązek jest obowiązkiem i wypełnić go trzeba. Fred miał tylko cichą nadzieję, że prace komisji nie potrwać długo i znowu będzie mógł wrócić do swojego laboratorium. Przeczynał, że jako członek tej komisji będzie musiał robić wiele, zbyt wiele rzeczy w rodzaju nurkowania pod krami w lodowatej wodzie, co zdecydowanie kłóciło się z jego ustalonymi od dawna upodobaniami. Lodowata woda, ciemność, samotność – brrr!

Bo Fred Stegenbach wcale sobie jeszcze nie wyobrażał że tam – na samym morskim dnie – kipi w tej chwili pospieszna, ożywiona praca. Na razie czytał tylko sprawozdanie, zawierające jedynie ogólne informacje o podmorskim polu naftowym Nieft'-1...

„... Już w 1966 roku przypuszczano, że pod dnem Morza Północnego spoczywają skarby, które przewyższają wszelkie przewidywania najśmielszych nawet geologów.” – czytał Fred.

Potem następował długi opis geologicznego ukształtowania tego obszaru kuli ziemskiej – Stegenbach przeczytał go szybko i pobieżnie. Znał przecież te fakty doskonale, jako że jego drugą specjalnością naukową była właśnie geologia podmorska. O wiele bardziej zainteresowały go dołączone do sprawozdania zdjęcia, obrazujące aktualną pracę na Nieft'-1. Były tam potężne reaktory rozszczepialne, rurociągi i wiertnicze wieże, potem wygodne i jasne kopuły mieszkalne – teraz Stegenbach zaczynał rozumieć fakt, że ponad pięćdziesiąt tysięcy młodych ludzi ze wszystkich krajów świata podążyło na wezwanie do tej – z pozoru nieciekawej i przykrej – pracy pod arktycznym lodem, że była to dla nich najprawdziwsza i najpiękniejsza życiowa przygoda.

Fred spojrzął na zegarek – do planowego końca lotu brakowało zaledwie kilku minut – i w tym właśnie momencie stratolot zakołysał się w powietrzu, opuścił ku ziemi swój ostry,

rozcinający chmury dziób.

Wylądowali o czasie w ostatnich blaskach małego, dalekiego słońca, ustępującego miejsca długiej, podbiegunowej nocy.

Fred zwlekał trochę z wyjściem – już od dłuższego czasu przyglądał się z zainteresowaniem młodej, ładnej kobiecie, która przez cały okres podróży wyglądała przez okno niemalże bez przerwy. Z jej profilu Fred domyślił się, że nie patrzy ona na śnieżną gładź tak, jak inni pasażerowie, którzy widocznie przybywali tu po raz pierwszy i dziwili się rozległym widokom, lecz jak ktoś, kto nareszcie wraca do swojego ukochanego, doskonale znanego domu i wita go radośnie. Jej uśmiech – nie przeznaczony dla nikogo – zdziwił Stegenbacha. Czyżby rzeczywiście można było pokochać tę lodową pustynię?

A potem Stegenbach zobaczył miasto... Wyraźnie, jak linie rysunku technicznego rozciągały się pod nim kontury osady w środku polarnego lodu. Trzy balonowe, przechodzące jedna w drugą kopuły zgrupowane wokół wspólnego centrum. W ich wnętrzach odznaczały się małe, zielone kropki i płaszczyzny – prawdopodobnie były to drzewa i rozległe połacie trawników – między którymi wznosiły się lekkie, przestrzenne bryły kompleksów mieszkalnych. Wszystkie trzy kopuły otoczone były olbrzymim, szerokim pasem biegnącym jak koło zakreślone potężnym cyrklem. W którymś punkcie tego pasa znajdował się również i stratolot, w którym na fotelu przy oknie siedział Stegenbach. Głos stewardesy oznajmił: „Wylądowaliśmy na pasie lotniskowym Sipogrodu – centrum mieszkaniowego i dyspozycyjnego Syberyjskiego Związku Eksploatacji Pól Naftowych i zarazem jednego z największych międzynarodowych kombinatów przemysłowych państw RWPG. Położony na osiemdziesiątym drugim stopniu szerokości geograficznej Sipogrod jest zarazem najbardziej na północ wysuniętym, a więc położonym najbliżej bieguna wielkim miastem świata. W chwili obecnej na zewnątrz, na wolnym powietrzu panuje temperatura minus trzydzieści siedem stopni Celsjusza – dzisiejszy dzień był bardzo ciepły...”

Stegenbach wziął z półki swoją podróżną torbę i poszedł w kierunku tunelu przysuniętego do wyjścia ze stratolotu, prowadzącego wprost do śniegowego autobusu czekającego na pasie na ostatnich podróżnych. Fred znalazł sobie jakieś wolne miejsce przy oknie, przez które mógł widzieć wyraźnie kopułę nad miastem, ale wkrótce podniósł się mielony gąsienicami śnieżny pył i białymi jak mleko obłokami przysłonił całą panoramę – tylko chwilami przez tę zasłonę można było zobaczyć rosnącą z sekundy na sekundę wypukłą, przezroczystą osłonę osady.

*

Przygnębiony Fred powoli szedł wzdłuż drogi – był zmęczony po kolejnym, trzecim już posiedzeniu komisji badawczej. Teraz pragnął przede wszystkim odprężyć się trochę, wybrał się więc na daleki spacer ulicami tego imponującego, podbiegunowego miasta zaplanowanego przez doskonałych architektów tak, że właściwie z każdego jego punktu rozciągał się rozległy widok na całą okolicę. Nie było tu właściwie dróg typowo miejskich, krytych czarnym asfaltem czy też równie przykrym dla oka szarym betonem. Były po prostu szerokie, wysypane miałkim piaskiem aleje między trawnikami, kwietnikami i kępami drzew, ciągnące się pod zakreślonymi śmiało estakadami, opartymi na wysmukłych kolumnach rozrzuconych co pięćdziesiąt czy nawet sześćdziesiąt metrów – cała miejska komunikacja albo odbywała się w podziemiach, albo po tych właśnie estakadach, nic więc nie mąciło krajobrazu tego bajkowego parku. Jeżeli nie patrzyło się w górę, to nawet betonowe kolumny można było omyłkowo wziąć po prostu za pnie ogromnych, wybujałych w niebo sekwoi. A jednak Fred nie mógł w tej chwili podziwiać krajobrazu – zbyt był pochłonięty rozwojem prac swojej komisji.

Dotychczasowe badania wykazały, iż urządzenia techniczne stanowiska wiercenia lase-rowego LB 71 w głębinie Sedova były do chwili katastrofy w najzupełniejszym porządku. A

w każdym razie były najzupełniej sprawne do chwili przekroczenia progu komory wiertniczej przez inżyniera Edwarda Polińskiego...

Aczkolwiek złoża leżały w tym miejscu znacznie płycej pod powierzchnią dna morskiego, niż początkowo sądzili geolodzy, nie sposób było obwiniać Syberyjski Związek o niedopatrzanie czy niedbalstwo, które spowodowało w końcowym efekcie śmierć inżyniera. Natomiast zachowanie zmarłego tuż przed katastrofą – niewyjaśnione przyczyny, dla których bez żadnego porozumienia z dyrekcją kombinatu samowolnie uruchomił stanowisko wiertnicze, jego tajemnicze próby przeprowadzane poza harmonogramem oficjalnych badań, jak również i to, że udał się na miejsce pracy, wbrew obowiązującym przepisom nie zgłaszając tego faktu automatycznemu rachmistrzowi połączonemu bezpośrednio z komputerem koordynacyjnym – sprawiły, że najcięższe podejrzenia skierowały się właśnie na jego osobę. Podejrzewano go o jak najgorsze zamiary względem kombinatu i gdyby żył, czekałoby go długie i męczące tłumaczenie ze swojego postępowania. Syberyjski Związek Eksploatacji Pól Naftowych uważany był powszechnie za wzorowy przykład międzynarodowej współpracy ekonomicznej, zaś bogactwa złóż były tak wielkie, że każdy europejski kraj mógł uczestniczyć w ich wykorzystywaniu, jakąż więc grupa zawistników mogła pragnąć przerwania tej zyskowej dla wszystkich inwestorów współpracy? I dlaczego właśnie Poliński – człowiek obdarzony przez firmę zaufaniem posuniętym aż do ofiarowania mu jednego z najwyższych kierowniczych stanowisk – pozwolił się wciągnąć do tego typu szkodliwej działalności? Było to podejrzenie rzeczywiście okropne. Dywersja na terenie kombinatu mogła w każdej chwili doprowadzić do wzajemnej nieufności, oskarżeń i rozbicia harmonijnej dotychczas współpracy.

W alejach pojawiało się coraz więcej przechodniów – mężczyzn i kobiet poubieranych lekko, jak w strefie śródziemnomorskiej w pełni gorącego lata, a starczyło przecież tylko popatrzeć trochę dalej – za obręb przezroczystej kopuły... Fred spojrzał i aż zatrząsł się mimowolnie – tak olbrzymi kontrast był między wnętrzem a otoczeniem kopuły. Stegenbach zaczął się zastanawiać, ile też stopni różnicy mogło tutaj wchodzić w rachubę. Nie znał wprawdzie szczegółowych pomiarów, ale nawet kiedy uwzględniał najbardziej zanizone przeciętne, wychodziło mu, że byłoby to co najmniej sześćdziesiąt stopni. Aż strach było pomyśleć, co stałoby się, gdyby ktoś podłożył ładunek wybuchowy o dużej mocy zaledwie w jednym czy dwóch miejscach na obrębie kopuły. Mroźne, arktyczne powietrze wdarłoby się do środka, momentalnie ścięłoby kwiaty i drzewa, zbiło z nóg przerażonych, zaskoczonych ludzi. Momentalny, sześćdziesięciostopniowy skok temperatury to coś, co może mógłby wytrzymać organizm jednego na tysiąc, specjalnie zahartowanego człowieka. A pozostali? A ta dziewczyna ze stratolotu, która witała Sipogrod z taką radością? I dopiero teraz tak naprawdę Fred Stegenbach uświadomił sobie, jak niesłychanie ważną rzeczą jest maksymalnie szybkie ustalenie prawdziwych przyczyn katastrofy w wieży wiertniczej...

Fred mijał właśnie grupę ludzi, wśród których musieli być jacyś zagorzali gracze w tenisa i hokeja, nieśli bowiem na ramionach kije i rakiety. – Tenisa? Zgoda... – pomyślał Fred. – Ale hokej? Skąd oni pod tym słońcem wezmą lód?

Dopiero po sekundzie zreflektował się, spojrzawszy ponownie przez ścianę kopuły. Czego jak czego, ale lodu w pobliżu na pewno nie brakowało.

Młodzi ludzie zbliżali się rozmawiając o czymś z ożywieniem, lecz kiedy zbliżyli się jeszcze bardziej, najpierw przycichli, potem zaś umilkli całkowicie – widać rozpoznawali Freda jako członka Komisji Badawczej. Stegenbach domyślał się, o czym mogli rozprawiać, dyskutując tak zaciekle – w całym Sipogrodzie w ciągu ostatnich paru dni nie rozmawiano właściwie o niczym innym prócz zagadkowej śmierci inżyniera Polińskiego. Sądzono powszechnie, że sprawa powinna zostać wyjaśniona w parę dni. Zresztą bardzo podobnie myślał niedawno temu Fred Stegenbach.

Tymczasem przejrzanie wszystkich listów, osobistych notatek i prywatnego dziennika inżyniera jak dotąd dały tylko bardzo nieliczne punkty oparcia dla wszelkich dociekań i

nieślychanie ogólnikowo można było po ich przeczytaniu formułować jakiegokolwiek hipotezy, mające na celu wyjaśnienie tajemniczej, samotnej wyprawy Polińskiego do głębin Sedova i jego dalszego postępowania. Trudno było nawet szczegółowo ustalić przebieg hipotetycznych zdarzeń w wieży wiertniczej LB 71, tak bardzo została ona zniszczona, zdewastowana najpierw wybuchem, później zaś uderzeniem o skamieniały lód. Wprawdzie większa część komisji skłaniała się ku zdaniu, że Poliński opanowany był przez ideę jakiegoś zagadkowego wynalazku, ale nawet ta część podzieliła się na dwie grupy przeciwne, z których jedna utrzymywała, że Poliński usiłował dokonać jakiegoś pożytecznego usprawnienia, druga zaś...

Stegenbach usiłował mimo tych kontrowersji pozostać maksymalnie obiektywnym, choć istotnie bardziej przemawiała do niego wersja o dobrych chęciach Polińskiego, a jego pośpiech i nieostrożność wolałby złożyć przede wszystkim na karb tego odwołania na inne stanowisko, które inżynier tak bardzo nie w porę otrzymał.

Fred spojrzął na trzymany w ręce plan miasta i postanowił kontynuować zwiedzanie. Solarium i Aleję Nansena obejrzał przedwczoraj, teraz przycisnął palcem punkt oznaczony w indeksie jako „Pomnik dryfu”. Na plastikowej płytce ożyły nagle małe światełka, rozbiegły się we wszystkie strony, zawirowały, żeby ułożyć się wreszcie w szczegółową mapę okolicy miasta, w której właśnie znajdował się Fred. Jedna z miniaturowych alejek na płytce pulsowała czerwonymi rozbłyskami. Stegenbach doszedł do najbliższego skrzyżowania dróg, obrócił się dookoła swojej osi, zerkając uważnie na płytkę. W pewnym momencie światełko przygasło i zmieniło kolor na zielony. Tym razem pulsowało już o wiele spokojniej i słabiej na znak, że Fred obrócił się we właściwą stronę i idzie ku poszukiwanemu punktowi. Stegenbach nie zastanawiał się, na jakiej właściwie zasadzie działa trzymana przez niego w dłoni mapa, choć byłoby to niezaprzeczalnie ciekawe. Jego myśli nadal były zaprzątnięte bez reszty domniemanymi motywami działania zmarłego inżyniera. Właśnie obiektywnie biorąc dywersant starałby się przede wszystkim dokonać maksymalnej ilości zniszczeń choćby poprzez uszkodzenie ochronnej kopuły, nie zaś zadowolił się wysadzeniem jednej wieży wiertniczej. I starałby się to zrobić tak, żeby samemu nie ponieść żadnej szkody. Tak więc – choć może brzmiało to paradoksalnie – śmierć Polińskiego przemawiała na jego obronę... Ponadto Stegenbach – jako specjalista od techniki laserowej – podczas badania resztek agregatów i układów ocalałych z katastrofy stwierdził, że nie wszystkie zmiany i zniekształcenia dają się wytłumaczyć skutkami eksplozji. Zrekonstruowane według pozostałych szczątków aparatury działały niby zgodnie z założeniami technicznymi projektantów i pierwotnych wykonawców, ale mimo wszystko Fred wyczuwał jakąś minimalną różnicę między nimi a oryginalnymi częściami z fabryki. Gdyby ocalały większe podzespoły, udałoby się może zrekonstruować bodaj ze dwie istotniejsze części używanej przez Polińskiego aparatury, i wtedy Stegenbach mógłby poprzeć swoje zdanie namacalnymi dowodami. W tej zaś sytuacji nie miał nawet podstaw, żeby forsować swoją własną hipotezę – zarejestrowany przez automaty nadmierny przepływ prądu w kablu zasilania LB 71 był faktem, przemawiającym niestety dwojako. Tak samo mocno za hipotezą uszkodzenia, jak dokonania w układzie świadomych zmian. Podobnie zresztą było z owym prywatnym dziennikiem inżyniera, który z początku wydawał się być głównym kluczem do rozwiązania całej zagadki. Zapisy były dość przypadkowe i bardzo lakoniczne. Lecz mimo to Stegenbach znalazł w nim wzmiankę, która obudziła jego zainteresowanie. Notatka – jak na zwięzłego w słowach inżyniera stosunkowo obszerna – nosiła datę sprzed kilku zaledwie tygodni i brzmiała:

„Poszedłem dziś na spacer w okolice pomnika dryfu posiedzieć trochę na cokole. Właściwie nawet nie wiem, dlaczego jest to moje ulubione miejsce. Może dlatego, że tam mi się najlepiej myśli? Miałem nadzieję, że rozwiązanie „przyjdzie” mi samo. Nie wiem, ile siedziałem, ale chyba nie straciłem tego czasu – wymyśliłem coś takiego, co powinno wreszcie doprowadzić całą sprawę do końca. Wstyd się przyznać, ale przecież i tak nikt tego prócz mnie nie przeczyta – zachowałem się jak pięcioletni dzieciak, wydrapujący gwoździem na

karoseriach pojazdów wszystko, co mu tylko przyjdzie na myśl.”

Fred Stegenbach daleki był jednak w tej chwili od potępiania moralnej postawy wszystkich inżynierów niszczących pomniki w parkach. Nawet wręcz przeciwnie – cieszyłby się bardzo, gdyby właśnie to zniszczenie dokonane przez Polińskiego zachowało się w jak najlepszym stanie. Mogło to wprawdzie być na przykład proste stwierdzenie, że zorza polarna jest piękna, ale mogło również... Fred dziwił się, że nikt w tylekroć przeglądany dzienniku do tej pory nie zwrócił na te słowa uwagi, choć w pierwszej chwili i on sam pominął je przy pobieżnym czytaniu. Może dlatego, że notatka opatrzona tą datą była stosunkowo odległa w czasie od momentu katastrofy? W każdym razie byłoby to naprawdę bardzo ważne, gdyby udało się wreszcie odnaleźć obliczenia Polińskiego, albo choć tę domniemaną formułę na cokole pomnika. Można byłoby wtedy odtworzyć jej związek z wyczutymi przez Stegenbacha zmianami dokonanymi w promienniku, albo choć udowodnić jej bezsensowność i ustalić ostatecznie, że inżynier padł ofiarą własnej tragicznej omyłki. – A jeżeli ktoś szukał już tego przede mną? – pomyślał Stegenbach. – I nic nie znalazł? Bo to chyba przecież niemożliwe, żeby nikt nie przeczytał tego dziennika dokładnie... W każdym razie doszedł do wniosku, że nie warto rezygnować w połowie drogi. Jeżeli nawet nic ciekawego nie znajdzie, to przynajmniej trochę odpocznie.

Kiedy wreszcie do pomnika doszedł, najpierw oglądał go ze wszystkich stron długo i powoli, jak najzwyczajszy przechodzień. Nie tylko dlatego, że tak bardzo chciał odnaleźć na nim to „zniszczenie” dokonane przez Polińskiego i chciał zrobić to jak najprędzej bojąc się jednocześnie, że kiedy tam podejdzie, nic nie znajdzie, ale i dlatego, że pomnik mu się po prostu spodobał. Próbował nawet przypomnieć sobie, co swojego czasu czytał przy jakiejś okazji o badaczach, którym ten pomnik wystawiono. Być może pomogły mu w tym śmiałe, czyste linie poprowadzone ręką doskonałego rzeźbiarza tak, że nasuwały na myśl i heroizm i tragedię jednocześnie, bo tylko tam, gdzie dzieją się rzeczywiste dramaty, ludzie, z pozoru nawet niewytrzymali i słabi, okazują się prawdziwymi bohaterami. To, co kiedyś przeczytał jako jeszcze jedną wiadomość, zwyczajną ciekawostkę sprzed lat, teraz ożyło nagle. Zobaczył kilku ludzi, którzy pod jego powiekami jak w jakimś małym pokoiku siedzieli, dyskutując nad czymś zawzięcie. To tam właśnie rodziły się pierwsze plany ich wielkiej wyprawy po nieznanym ludziom naukowe fakty. Zobaczył ich po sekundzie ponownie – brudnych, zarośniętych, z zaognionymi, przekrwionymi białkami oczu – jak na wielkiej, dryfującej krze lodowej pochylają się z zatroskanymi twarzami nad szczeliną, zwiastującą szybkie rozłamanie się niosącej ich bryły. Inne, otulone w futra, niewyraźne w zadymce postaci wywlekały mozolnie skrzynie i cenne przyrządy z namiotu zagrożonego tym, że pęknięcie może w każdej chwili skierować się wprost pod jego podłogę. A nie opodał, nie bacząc na rosnące niebezpieczeństwo, dwaj inni badacze wypuszczali właśnie radiologiczny balon na uwięzi, bo właśnie nadeszła pora codziennych pomiarów. Jeszcze inni klęczeli w tej chwili przy wyrąbanej w krze przerebli, obserwując wskazania echosondy, notującej na długim wykresie kształt morskiego dna. I ta właśnie scena zamarła w bezruchu, zakrzepła, kiedy Stegenbach otworzył oczy, patrząc na wyciosane z jednego głazu dwie ludzkie sylwetki, zrywające się z przykłąku i w połowie ruchu zamarznięte...

Postawiono im ten pomnik właśnie tu dlatego, że to ludzie tacy sami jak oni przyczynili się do odkrycia pola roponośnego za kręgiem polarnym. Nie opodał stał jeszcze jeden pomnik: postać człowieka na górze lodowej, rzucającego w polarne niebo wielkie, sztuczne słońce. Innym razem Fred i tamtej rzeźbie poświęciłby trochę uwagi, ale w chwili obecnej interesował go cokolwiek pod badaczami dryfu – kilkanaście płaskich, granitowych brył ułożonych na kształt olbrzymiej kry, wystającej nieco ponad powierzchnię trawnika. Stegenbach rozpoczął swoje poszukiwania kucając co chwila, by dokładniej obejrzeć powierzchnię bryły. Po pół godzinie tego schylania się i prostowania bez przerwy spostrzegł, że zbadał już prawie jedną trzecią obwodu kamiennej kry. Przysiadł na chwilę na brzegu cokołu i w tym momencie

dostrzegł idącego w stronę pomnika Walerego Obrigowa – dyrektora socjalnego Związku. Mężczyźni podali sobie ręce na przywitanie, potem Obrigow przysiadł obok Stegenbacha. Gawędzili przez dłuższą chwilę o niczym, tak jak to zazwyczaj w podobnych wypadkach bywa, lecz Obrigow nie na darmo został przecież dyrektorem do spraw pracowniczych, więc też bardzo szybko zauważył, że siedzący obok niego człowiek nad czymś bardzo usilnie się zastanawia i niecierpliwi. Powiedział więc nagle, wykorzystując dłuższą chwilę przerwy w rozmowie:

– A wie pan, nadal jakoś nie mogę uwierzyć w to, że Poliński miałby być czymkolwiek agentem. To mi po prostu do niego nie pasuje. Ten jego dziennik... Czy znalazł w nim pan coś ciekawego? Bo ja chyba tak.

– Jeszcze nie wiem, czy to, co wyczytałem, okaże się ciekawe, czy nie... – mruknął zamyślony Fred.

– Odnoszę wrażenie, że przyszedł pan tutaj w określonym celu. Ja też... A może spróbowalibyśmy razem?

– Oczywiście. Tak będzie o wiele szybciej... Stegenbach wskazał Obrigowowi miejsce, od którego zaczął, i po chwili obaj mężczyźni podjęli dalsze poszukiwania. Nie minęło nawet piętnaście minut, kiedy Fred na ziarnistej powierzchni przełomu bryły dostrzegł coś, co wyglądało jak na wpół zatarte znaki. Poczul, że serce podskoczyło mu do gardła gwałtownie. Przyjrzał się szeregowi niewyraźnych liter i liczb, przesunął po nich opuszkami palców – wyglądało, że ktoś stosunkowo niedawno wydrapał ten napis na granicy końcem szczyryka czy gwoźdźcia. Przywołał ku sobie Obrigowa, potem wyciągnął notes i starannie, znak po znaku, przerysował napis do swojego notatnika. Stojący obok Obrigow spytał:

– Czy to właśnie jest wynik rozmyślań Polińskiego?

– Nie wiem, ale sądzę, że tak, bo kto inny mógłby...?

– A czy to w jakiś sposób oczyści go od podejrzeń? Wie pan, mnie na tym osobiście zależy. Ceniłem go bardzo...

– Tego nie wiem, dyrektorze. Sam fakt, że nie jest to na przykład pogrożka pod czyimś adresem, lecz właśnie matematyczno-fizyczna formuła ustala na razie jedno – że Poliński istotnie zajmował się jakimiś eksperymentami. Ale czemu te jego badania miałyby służyć, po prostu nie wiem, bo zapisane są tu jedynie symbole literowe, które mogą mieć niesłychanie wiele znaczeń i liczby, co do których nie wiadomo, jakimi jednostkami należałoby je mierzyć.

– Czy widzi pan jakieś wyjście?

– A czy pan nadal sądzi, że eksperymenty Polińskiego miały prowadzić do usprawnienia pracy przy wierceniach?

– Tak – zdecydowanie powiedział Obrigow.

– Więc chyba jest możliwość... – Stegenbach przerwał na chwilę, potem po zastanowieniu się podjął:

– Oczywiście możliwość ta w gruncie rzeczy daje dosyć nikłe szanse rozwiązania sprawy jednoznacznie, więc nie mogę panu nic konkretnego obiecać...

– Ważne, że w ogóle są jakiejkolwiek szanse! Jeżeli mógłbym panu dopomóc...

– Pańska pomoc bardzo mi się przyda. Po prostu powinienem chyba przez parę dni popracować w zespole, w którym uprzednio był Poliński. Skoro poznam lepiej jego pracę, może łatwiej mi będzie rozszyfrować ten zapis.

– Ależ oczywiście! Rzecz jest do zrobienia nawet jutro rano! Niech pan przyjdzie do mojego gabinetu, a resztę sam załatwię – obiecał wyraźnie ucieszony Obrigow.

*

Człowiek z niezadowoleniem zmarszczył brwi – jego ubranie, jak wszystkie zresztą ubrania polarne pracowników Związku, było czarne, bo zwiększało to zdecydowanie szansę

odnalezienia kogoś zaginionego, jeżeli już doszłoby do takiego wypadku. Czarny ubiór wyraźnie odcinał się od jasnego tła lodowych połaci, tymczasem człowiek najwyraźniej pragnął za wszelką cenę pozostać nie zauważonym przez nikogo. Dlatego też ominął szerokim łukiem ludzi, krzątających się w świetle reflektorów u podnóża kopuły Sipogrodu. Przemykał się więc ostrożnie od jednego lodowego złomu do drugiego, tak długo, aż ostatecznie przekroczył nie tylko zasięg reflektorów, ale i granice łuny, padającej od jasno oświetlonych ulic i budynków miasta. Potem wyprostował się i pomaszerował wprost w gęstniejącą ciemność.

Przez długie dwie godziny przedzierał się przez śnieżną zadymkę, która rozpoczęła się niedługo po przekroczeniu przez niego granicy kombinatu. Męczył się coraz bardziej, narty coraz częściej zahaczały o chropowatą, wyboistą powierzchnię lodowca, aż wreszcie przykleknął na moment, zwolnił sprężyny wiązań, przerzucił deski i kijki przez ramię. Wydawało mu się, że powinien już osiągnąć swój cel – lodową barierę, popularnie nazywaną „Trębaczami”. Usiłował to sprawdzić i dopiero wtedy zorientował się, że wyruszając zapomniał o zabraniu kompasu. Rozejrzał się, opanowując rosnące zdenerwowanie – dookoła była jedynie długa, arktyczna noc, lodowaty wicher i kłęby maleńkich grudek zamarznętego śniegu, smagające jego twarz z zaciekłością moskitów. A przecież, zgodnie z prognozą była to noc wyjątkowo ciepła i spokojna...

Mężczyzna ruszył dalej, usiłując trzymać się wytyczonego uprzednio kierunku. Szedł już o wiele wolniej, niż na początku – coraz większą trudność sprawiało mu stawianie oporu porywistemu wiatrowi, coraz częściej poprawiał wrzynające mu się w ramiona pasy niewielkiego, płaskiego plecaka. I kiedy wydawało mu się, że już dawno minął właściwe miejsce, usłyszał z daleka słabe dźwięki. Trzymając się tego odgłosu jak ratunkowej liny szedł, zmuszając się do maksymalnego wysiłku. Mniej więcej po kwadransie dźwięki stały się o wiele mocniejsze. Były podobne do przeciągłego szczekania, do potępieńczego wycia, kiedy wiatr się wzmagał, i do chóru trąb, grających każda na swoją nutę, kiedy podmuchy słabły na dłuższą chwilę. Od tych dźwięków właśnie wzięła się nazwa lodowej, podziurawionej jak sito bariery, stojącej uparcie od dobrych kilku dziesiątków lat, mimo że dookoła waliły się i rozpryskiwały góry lodowe o wiele od „Trębaczy” potężniejsze i z pozoru trwalsze. To zresztą była jedna z przyczyn, dla których człowiek obrał sobie właśnie to, a nie inne miejsce. Po następnych pięciu minutach znalazł się nareszcie u podnóża wysokiej na dwadzieścia metrów ściany pełnej dziur wypłukanych przez wody roztopów, oraz pęknięć i szczelin wybitych tu przez gwałtowne huragany i sztormy. Mężczyzna bywał tu parokrotnie za dnia razem z wycieczkami, bardzo chętnie udającymi się w stronę tej osobliwości. Tyle tylko, że wtedy była ładna pogoda, świeciło – blade bo blade – słońce. I... wtedy nie był sam. A teraz noc i przekłety, porywisty wicher wygwizdujący w dziurach opętancze melodie, wywrzaskujący przeciągłe, niezrozumiałe przekleństwa pod adresem mizernego człowieczka, który odważył się pokazać tutaj w taką noc.

Mężczyzna poczuł, jak po skórze wzdłuż kręgosłupa przebiegają mu lodowate ciarki. Ruszył się wreszcie, przecisnął przez jakąś większą dziurę na drugą stronę ściany tam, gdzie wiatr dochodził już o wiele słabszy, z ulgą zrzucił plecak. Rozpakował go szybko i ogrzawszy twarz i dłonie w pobliżu płomienia z niewielkiej gazowej butli turystycznej przełknął szybko parę kęsów zabranego ze sobą jedzenia. Popił gorącą kawą z termosu, która w tej temperaturze, jeśli nie wypięło się jej duszkiem, stygła niemal momentalnie. A potem z samego dna plecaka wyciągnął mały, wodoszczelny pojemnik podobny do krótkiej, grubej rury zasklepionej na obydwu końcach. Położył go obok siebie w zagłębieniu tak, żeby jakiś niespodziewany podmuch wiatru nie porwał mu go spod stóp, a potem zaczął ryc długim nożem skamieniałą ścianę.

Kiedy udało mu się nareszcie wygrzebać odpowiednio głęboką i szeroką jamę, wepchnął do niej pojemnik, zakrywając go znalezionym w pobliżu kawałkiem lodu pasującym rozmiarami na tyle, by dało się go mocno wepchnąć do dziury. Potem wyprostował się zado-

wolony i po raz pierwszy od tygodnia uśmiechnął. Po raz pierwszy dokładnie od tej chwili, w której usłyszał o śmierci inżyniera Polińskiego...

Już na drugi dzień po katastrofie w głębinie Sedova po całym Sipogrodzie zaczęły krążyć niesamowite pogłoski, że nie był to zwyczajny wypadek przy pracy. Ktoś miał go podobno spowodować, by zawładnąć opracowanym przez inżyniera wynalazkiem. Tym bardziej, że wszystkie plany i obliczenia Polińskiego zaginęły bezpowrotnie. Te same plany, które spoczywały w tej chwili ukryte w hermetycznym pojemniku pod strażą „Trębaczy”...

Mężczyzna obtopił zwiększonym do maksimum płomieniem maszynki gazowej krawędzie jamy i zatykającej ją bryły lodu, potem szybko spakował plecak i ruszył w powrotną drogę do miasta. Zadymka słabła z każdą chwilą, tumany rozpylonego śniegu stawały się coraz rzadsze, a ponadto z dali padał słaby odbłask łuny nad Sipogrodem, więc mężczyzna szedł tym razem o wiele pewniej i szybciej tak, że już po upływie półtorej godziny wszedł na wygładzoną powierzchnię pasa startowego dookoła kopuły...

*

Białą, damską torebkę zawieszoną na oparciu krzesła po drugiej stronie stołu dostrzegł dopiero wtedy, kiedy już usiadł. Zastanawiał się, czy właścicielka zapomniała zabrać ją odchodząc, czy też zostawiła na moment i zaraz wróci, kiedy do stolika podeszła młoda kobieta. Fred rozpoznał ją momentalnie – była to ta sama dziewczyna, która z okna stratolotu z taką radością spoglądała na kopułę Sipogrodu. Poderwał się z krzesła mruczając jakieś niezręczne usprawiedliwienia, ale dziewczyna uśmiechnęła się do niego jak do starego znajomego i poprosiła, żeby sobie nie przeszkadzał.

– Cieszę się, kiedy spotykam niedawnego towarzysza podróży – powiedziała – który okazuje się jednym z nas, Polarskim...

– Jak, jak, proszę? Polarskim?

– Tak się nazywamy...

– Nie bardzo rozumiem. Kto to jest Polarski?

– Każdy. Pan, ja, pozostali koledzy...

– A czy „Polarscy” chodzą po mieście w specjalnych uniformach? – pytanie Freda zbiło dziewczynę na moment z tropu, ale szybko odpowiedziała:

– Noo, raczej nie...

– Więc nie rozumiem – zaśmiał się Stegenbach. – Nie mam na sobie codziennego ubrania Polarskich, nie noszę również plakietki z odpowiednim napisem, a pani mimo to tak łatwo mnie rozpoznała...

Dziewczyna potraktowała jego żart nieoczekiwanie poważnie:

– Człowiek uczy się tego bardzo szybko. Wkrótce i pan od pierwszego rzutu oka będzie odróżniać Polarskich i zwyczajnych turystów – jest jakaś, dla niewprawnego oka mało uchwytna, różnica w zachowaniu, w głosach, w spojrzeniach... A pan nie zachowuje się jak przeciętny turysta.

– Pani wyraźnie nie lubi turystów...

– Bo ja wiem? Może nie to. Zraża mnie do nich tylko ich natręctwo i to, że wszystko, co tutaj widzą uważają za oczywiste, a jeśli im się coś powie ciekawego, i tak wiadomo, że za pięć minut o tym całkowicie zapomną. Szkoda trudu – tacy nigdy nie pojmą, dlaczego jesteśmy dumni ze swojego miasta. Dla nich to tylko atrakcja z folderów – miasto położone najbliżej bieguny.

– A dla pani?

– Dla mnie? Dla mnie to przede wszystkim olbrzymia ilość pracy i trudu.

– Jest pani bardzo młoda... Z powodzeniem mogła się pani tu urodzić. Czy tak?

– Nie. Urodziłam się daleko stąd. Na południu. Ale mój dom jest właśnie tu...

Stegenbach przypomniał sobie w tej chwili, że zapomniał nie tylko o kolacji. Poderwał się z krzesła, podając dziewczynie rękę;

– Przepraszam bardzo. Zapomniałem... Moje nazwisko Fred Stegenbach.

– Irina Obrigowa.

– To zabawne.

– Co?

– Sądząc po typie urody uważałem panią za Skandynawkę. Zaraz, zaraz... Obrigowa... Czy pani ma coś wspólnego z dyrektorem...

– To mój brat. Ale wie pan co? Tego też się pan wkrótce nauczy, że żaden Polarski nie podkreśla swojej narodowości. Przecież to w gruncie rzeczy wcale nie jest takie istotne, czy ktoś jest Szwedem czy Polakiem, a inny Włochem czy Francuzem. Pan jest Niemcem, ja Rosjanką – ale przecież najważniejsze jest to, że możemy się ze sobą dogadać jak starzy, dobrzy znajomi. Prawda? – Obrigowa uśmiechnęła się przyjaźnie, Fred odpowiedział jej podobnym uśmiechem. Dziewczyna nagle zmieniła temat, pytając wprost:

– Czy pan wierzy w to, że Poliński był jakimś wrogim agentem? Albo w to, że ktoś go zamordował? Bo ja...

– Cóż – odpowiedział Fred – bywają różni ludzie. Mogło może być i tak, ale odnoszę wrażenie, że trafiłem na ślad, który powinien doprowadzić do rehabilitacji Polińskiego. Pani brat sądzi zresztą podobnie. Być może mylimy się obaj...

– Wie pan, zastanawiałam się nad różnymi możliwościami. Usiłowałam sama siebie przekonać, że to mogło być samobójstwo czy coś w tym rodzaju...

– Hmm... Z tego, co słyszałem i wyczytałem w dzienniku, to Poliński nie był typem człowieka ze skłonnościami do samozatraty.

– Więc nie zna pan jeszcze działania tutejszego mrozu na ludzki organizm.

– Mrozu? O ile wiem, technicy zatrudnieni przy wierceniach nie wychodzą zbyt często na lód, bo nie mają tam wiele do roboty. A tutaj jest przecież tak, jak w każdym innym mieście.

– Tak. Udało nam się przewyciężyć mróz tutaj, w obrębie kopuły. Ale to nie zmienia faktu, że on istnieje nadal.

– Tam? – Stegenbach wykonał ręką nieokreślony ruch.

– Nie. Właśnie tu. Nawet w tej sali...

– Nie bardzo rozumiem...

– I to pojmie pan po jakimś czasie. Mróz i arktyczna noc są bardziej uparte, niż mogłoby się nam wydawać. Potrafią tak niepostrzeżenie zakraść się do ludzkiej podświadomości...

– Chyba zaczynam rozumieć. Czy chce pani powiedzieć, że Poliński na coś podobnego zachorował? Może jego zachowanie tuż przed katastrofą istotnie świadczyło...

– Nie, to nie to. Poliński chciał być sam. A człowiek chory na lodowatą samotność ucieka przede wszystkim między innych ludzi, choć wie, że wcale mu to specjalnie nie pomoże.

– Ludzie reagują przecież na te same bodźce bardzo różnie...

– Ale nie Poliński. Może mi pan wierzyć. Żyję tu na tyle długo, żeby wyczuwać coś takiego momentalnie.

Dziewczyna mówiła z zapałem i wiarą, że Poliński mimo poszlak i kierowanych ku niemu podejrzeń był po prostu uczciwym człowiekiem, który ryzykował swoje życie dla dobra innych ludzi, a nie dla jakichś prywatnych interesów czy wrogich idei. Stegenbach słuchał tego z przyjemnością, bo i jemu zaczęło się wydawać, że inżynier nie mógł być złym człowiekiem, ale w pewnym momencie zrodziła się w nim nowa wątpliwość – oprócz tego wszystkiego, co Irina mówiła, była jeszcze sprawa dobrego imienia firmy na świecie... Powiedział to wprost:

– Prawdopodobnie dyrekcja Związku wołałaby, żeby w żadnym wypadku nie obciążać firmy winą za wypadek. Chyba byłoby lepiej, żeby uznano to wszystko za czyjaś złą wolę czy

po prostu niezależne od nikogo zrządzenie losu, czy tak?

– Nie – rzuciła Irina twardo i zdecydowanie. – Najważniejsza jest prawda, jakakolwiek by ona była.

Stegenbach zauważył, że dziewczyna jest trochę oburzona jego podejrzeniem i zabiera się do odejścia, więc szybko usiłował zmienić temat:

– My tak sobie gadamy, a ja nawet nie wiem, co pani robi i gdzie pracuje? – zapytał.

Dziewczyna wstała, zabierając torebkę z oparcia krzesła.

– We flocie podmorskiej – rzuciła. Pożegnała się ze Stegenbachem krótko i odeszła ku drzwiom restauracji...

*

W budynku Dyrekcji Syberyjskiego Związku odbywała się ostatnia konferencja komisji powołanej do zbadania wypadku w głębinie Sedova. Zaproszono na nią przedstawicieli załogi, zespół techników wiertniczych z LB 71 i dyrekcję przedsiębiorstwa, jako pierwszy mówił geolog ze Szwajcarii – obwiniał on kombinat o tyle, że zgodnie z dokładnymi badaniami dyrekcja powinna przewidzieć, iż w głębinie o wiele prędzej wiercenia doprowadzą do pokładów ropy, niż w innych punktach pola Nieft'-1. Gdy w piątek po południu ekipa opuściła miejsce pracy, szyb sięgał niemal do górnej granicy pokładu gazu. Tyle tylko, że nikt tego nie podejrzewał, bo obliczenia sugerowały inną głębokość złoża. Ponadto ogólnie określił typ użytej w głębinie Sedova komory wiertniczej jako zbyt lekki w stosunku do panujących tam warunków – dlatego sprężonym gazom udało się zerwać za słabe kotwy. Natomiast tajemnicze postępowanie Polińskiego powinno zostać wyjaśnione przez psychologów, co oczywiście nie zmienia faktu, że poniósł on śmierć z własnej winy. Być może w normalnych warunkach pracy całego zespołu nie doszłoby wcale do tragicznego wypadku, natomiast jeden, zmęczony pracą od rana człowiek nie był w stanie prawidłowo oceniać wskazań przyrządów i reagować należycie szybko. Mniej więcej wszyscy eksperci wypowiadali się w tym samym duchu. Firma jako taka została od odpowiedzialności zwolniona, lecz zobowiązano ją do ściślejszej kontroli przebiegu prac i podwojenia patroli w dni wolne od pracy. Jedynie Stegenbach, który w ogólnych zarysach podporządkował się ustalonej przez komisję wersji uważał, że należałoby mimo wszystko dokładniej zbadać motywy Polińskiego i zastrzegł, iż ma zamiar to uczynić, dlatego też prosiłby o zwolnienie go od składania podpisu pod ustalonym protokołem końcowym. Potem jako usprawiedliwienie swojego postępowania przedstawił zebrany notatkę z dziennika Polińskiego i odnalezioną przez siebie formułę, którą Poliński wydrapał na cokole pomnika. Szwajcarski geolog poprosił ogłoś ponownie:

– Czy pan uważa, panie kolego, że Poliński był geniuszem? Przecież wszystkie opisy jego osoby prezentują go jako człowieka w gruncie rzeczy przeciętnego. Jako normalnego pracownika zwyczajnego kombinatu przemysłowego...

– Wcale nie twierdzę, że Poliński był nienormalny – lekki śmiech skwitował natychmiastową ripostę Stegenbacha.

– Ja też nie – obruszył się Szwajcar. – Wręcz przeciwnie, uważam, że Poliński był pracownikiem o jednej jedynej zalecie. Mianowicie umiał wykonywać swoją pracę tak, żeby nikomu nie rzucać się w oczy. Dowiodła tego chociażby jego samowolna wyprawa, której nikt nie zauważył.

Te ostatnie zdania wyraźnie nie spodobały się uczestniczącym w posiedzeniu polarnikom. Dał się najpierw słyszeć głuchy szmer na sali, a potem poderwał się ze swojego miejsca naczelny dyrektor Związku.

– Wykonywać swoją pracę niezawodnie, a tak z pracą Polińskiego zawsze było, to jedno z najważniejszych uzdolnień człowieka. Nie można całego jego życiowego dorobku przekreślać w ten sposób. Kolega Stegenbach ma najzupełniejszą rację uważając, że

Polińskiego należy zrehabilitować, jeżeli tylko jest to w jakiś sposób możliwe. Ze swej strony dyrekcja naszego przedsiębiorstwa pójdzie mu pod wszystkimi względami na rękę.

*

Następnego dnia rano Fred Stegenbach w roboczym kombinezonie jechał do pracy w komorze wiertniczej na podmorskim polu naftowym. To znaczy wychodził już ze swego pokoju, gdy po drugiej stronie drzwi usłyszał czyjeś niepewne, ciche stąpnięcia. Zastanowił się chwilę, potem gwałtownie otworzył wejście. Na korytarzu stało dwóch mężczyzn i kobieta.

– Pan Stegenbach, prawda? – słowa mężczyzny za brzmiały bardziej jak stwierdzenie, niż pytanie. – Chcieli byśmy z panem porozmawiać...

– Proszę. Ale... – Fred cofnął się trochę, mężczyźni posunęli się za nim w głąb pokoju.

– My też się śpieszymy, ale to jest konieczne... Widzi pan – mężczyzna potarł ręką podbródek – cieszymy się bardzo, że postanowił pan mimo wszystko udowodnić uczciwość Edwarda. I spodobało nam się, że jednak nie podpisał pan wczoraj tego krzywdzącego protokołu.

– Ale...

– Jesteśmy współpracownikami inżyniera Polińskiego. Widział pan nas wczoraj na posiedzeniu.

– Tam było tyle osób... – Stegenbach zmarszczył brwi.

– Więc zacznijmy może od początku – uśmiechnął się mężczyzna. – Nazywam się Aleksy Turbojew... – podał rękę Fredowi i wskazał nią potem:

– Corinne Alraude...

– Po prostu Corinne – uśmiechnęła się do Freda dziewczyna.

Drugi mężczyzna przedstawił się sam:

– Janko Kaprovič – jego spojrzenie uważnie spoczęło na twarzy Stegenbacha.

W międzyczasie Aleksy przestał się śmiać i jego twarz ponownie przybrała ten sam srogi wyraz, co przed chwilą na korytarzu – być może wrażenie to sprawiały dwie głębokie bruzdy, biegnące od nasady jego nosa do kącików ust. Dalej mówił już poważnie:

– Przez najbliższy czas, zgodnie ze swoją prośbą, będzie pan pracował w mojej ekipie jako technik laserowy. Mamy w tej chwili nowe stanowisko – LB 72. Zresztą dość blisko poprzedniego – objaśnił zwięźle.

– Myślałem, że będzie panu przyjemniej, kiedy przyjdziemy tu i razem potem pojedziemy na stanowisko – powiedziała Corinne. – Nie wiem, może wolałby pan jednak...

– Ależ nie, nie. Strasznie się cieszę:– powiedział z przekonaniem Fred. – To co, idziemy?

Corinne poszła przodem, mówiąc przez ramię:

– Wie pan? Aleksy i Janko chcieli na pana czekać dopiero przy promie podwodnym, ale ja się uparłam. Czy dobrze?

– Doskonale, Corinne.

– To się cieszę... Ale chodźmy szybciej, bo robi się późno.

Cała czwórka przyspieszyła kroku. Już po chwili doszli „do windy, zjechali na właściwy poziom i pośpieszyli w stronę podmorskiego portu.

Przy automatycznym kontrolerze było cokolwiek więcej ludzi, niż na korytarzu, ale kolejka sprawnie posuwała się do przodu – po chwili Corinne, Janko, Aleksy i Fred przytknęli swoje znaczki osobiste do czytników automatu i weszli na pokład promu. Gdyby teraz w ciągu ośmiu godzin nie zgłosili automatowi swego powrotu do miasta, to po dodatkowym kwadransie zwłoki zaczęłyby się pierwszy cichy alarm, a po pół godzinie oficjalnie ogłoszono by początek poszukiwań i przygotowanie do akcji ratowniczej.

Czekając na odpłynięcie statku Fred uważnie rozglądał się przez iluminator.

Port podwodny stanowiły szerokie, tunelowe kładki ładownicze, wystające poza właściwy obręb miasta na pięćdziesięciometrowej głębokości pod lodem. Wszystkie szykujące się do odjazdu promy spoczywały przy końcach kładek, zessane z nimi hermetycznie na czas postoju tak, że pasażerowie nie musieli ani na moment stykać się z wodą o ustalonej na tej głębokości, niezmiennej temperaturze czterech stopni Celsjusza.

Nagle ktoś lekko dotknął jego ramienia. Fred obrócił się i zobaczył przed sobą Irinę Obrigową, ale jak bardzo od wczoraj zmienioną przez dopasowany zgrabnie, marynarski mundur.

– Powiedziała mi pani, że pracuje we flocie, ale nie zdradziła pani ani słowem, że tutaj kapitanami statków są kobiety – żartobliwie powitał ją Fred.

– Mnie osobiście wcale nie wydaje się to aż takie dziwne – uśmiechnęła się Irina w odpowiedzi. – Chciałby pan obejrzeć mój statek?

– Oczywiście – Stegenbach poszedł obok Obrigowej na mostek kapitański, potem wspólnie obejrzelі pomieszczenia dla pasażerów – nawet w samolotach renomowanych firm lotniczych na świecie Fred nie widział takiego komfortu, jak tu – i zawrócili ku miejscu spotkania.

– Ten prom – powiedziała Irina na odchodne – kursuje na najdłuższej trasie. Pan i pańscy koledzy macie około półtorej godziny jazdy do swojej LB 72...

*

Przewód odprowadzający do ogólnego obiegu gazy wiertnicze ze wszystkich stanowisk pulsował w takt rozbłysków laserowego działka zainstalowanego w nowo wytapianym szybie. Tylko mała część rozżarzonego obłoku specjalnym przewodem docierała do komory wiertniczej, gdzie automaty poddawały ją ciągłej spektrograficznej kontroli. Potem resztką gorących par obiegała rury grzejne wieży i ostatecznie uciekała ze szczytu stanowiska do morza, gdzie stygła, ulatując ku niewidocznemu niebu oddzielonemu od ludzi nie tylko dwustumetrową warstwą wody, ale i ponad metrową skorupą skamieniałego lodu. Płaskie pęcherze uwolnionej pary nie dopływały nawet do połowy drogi – zaledwie w parę sekund po opuszczeniu wentyli zaczynały kurczyć się i znikać, roztopiać w morskim bezmiarze.

Na razie Turbojew sam obsługiwał działko, pragnąc dać Stegenbachowi czas na zapoznanie się ze specyfiką tej pracy oraz naukę obsługiwanego urządzenia. Fred patrzył w skupieniu, jak Aleksy, z napiętą twarzą i zmarszczonymi brwiami, obracał delikatnie palcami pokręta dopływu mocy do działka i mechanizmów nastawczych, obserwując przy tym czujnie i uważnie obraz na ekranie kontrolnym.

– Dopiero pół metra? – zapytał zdziwiony Fred.

– Na razie pracujemy na dziesięciu procentach ogólnej mocy – wyjaśnił Aleksy – dopiero kiedy przebijemy się przez groźące zawaleniem pokłady piachu i zmurszałych skał, zaczniemy wwiercać się w głąb trochę szybciej.

Gdzieś z tyłu nieprzerwanie krzątał się Janko przy pozostałych agregatach wieży, zaś nie opodal siedziała Corinne, obserwująca w napięciu wskazania spektrografu.

Fred pochylił się nad nią i spytał półgłosem:

– O ile wiem, to do pokładu ropy dostaniemy się dopiero za kilka miesięcy, więc czemu patrzysz tak uważnie?

– W tej chwili interesuje mnie przede wszystkim woda – odpowiedziała dziewczyna, widząc zaś zdziwione spojrzenie Stegenbacha dorzuciła:

– Jeżeli na ekranie spektrografu zobaczą charakterystyczne prążki wody, będę wiedziała, że nasz szyb w którymś miejscu przecieka, a to mogłoby doprowadzić do zawalenia się którejś ze ścian i odchylenia promienia laserowego od pionu. To jest taka dodatkowa kontrola, ale wiele od niej może zależeć. Gdyby Aleksy – a przecież i tak może się zdarzyć – nie

dostrzegł niebezpieczeństwa na swoim ekranie, wtedy zawsze jeszcze jest w wieży ktoś, kto zorientuje się w porę. Myślę, że właśnie z podobnego powodu Edward... – urwała raptownie, jakby nie chcąc sobie tego przypominać. W każdym razie Stegenbach poczuł, że chyba miał rację, pragnąc zapoznać się z rodzajem pracy Polińskiego. Zaczynał powoli rozumieć, w jaki sposób mogło dojść do tego tragicznego wypadku...

*

Minęło kilkanaście dni. Fred Stegenbach codziennie wyruszał do pracy i wracał wieczorem ze świadomością, że coraz lepiej poznaje zakres obowiązków inżyniera Polińskiego. Tyle tylko, że nadal był równie daleki, jak na początku, od poznania motywów jego postępowania.

Wyszedł właśnie na swój cwieczorny spacer po alejach miasta – parku popatrzeć na usypiające pomалу osiedle. Stał obok filaru estakady, podziwiał widok i ani przez chwilę nie podejrzewał, jak bacznie jest przez kogoś obserwowany. Przez kogoś, dla kogo mógł stanowić bezustanne zagrożenie...

Patrzący na Freda człowiek ukrywał się w cieniu drzew – jego ciemne ubranie i smagła, opalona twarz były w półmroku niemal niewidoczne. Zastanawiał się długo, czy warto ryzykować w tej chwili. Zbyt długo...

Na końcu alei zamajaczyła dziewczęca sylwetka w jasnej sukience, szmer jej kroków przybliżał się szybko. Mężczyzna cofnął się w cień jeszcze głębszy, bo dziewczyna była już o parę metrów od niego. Człowiek rozpoznał w niej widywaną codziennie Irinę Obrigową. Zaklął sam do siebie cicho – w tej sytuacji dalsze wyczekiwanie nie miało już sensu, wycofał się więc między drzewami jeszcze dalej do miejsca, w którym uznał, że stojący pod filarem nie powinni go zobaczyć. Wszedł na alejkę i spokojnie, krokiem najzwyczajszego, trochę zapóźnionego spacerowicza powędrował w kierunku swojego domu. Dochodził już do drzwi swojego pokoju, kiedy nagle zawahał się i najwidoczniej zmienił zdanie, bo ponownie zawrócił w stronę wyjścia. Tym razem jednak nie opuścił budynku – minawszy zaledwie kilkoro drzwi stanął przy jednych i zadzwonił.

Drzwi uchyliły się, wyjrzała zza nich twarz Aleksego.

– A, to ty, Janko! Wchodź...

Kaprovič przeszedł za Aleksym do pokoju i skinął głową Corinne, siedzącej z podwiniętymi nogami w głębokim fotelu i trzymającej w obu dłoniach filiżankę gorącej, aromatycznej herbaty.

– Siadaj. Chcesz się napić? Zaraz woda się zagotuje... No? Czemu nic nie gadasz? Co ci jest? – zaniepokoił się Aleksy.

– Widzisz, to nie takie proste – mruknął Janko. – Pozwól mi zebrać myśli...

Przez chwilę w pokoju panowało jakieś dziwne, napięte do ostatnich granic milczenie, potem Janko zaczął:

– Poszedłem dzisiaj za Fredem...

– To znaczy? Co w tym dziwnego? Przecież codziennie rano... – zdziwiła się Corinne.

– Ale ja przed chwilą...

– Nadal nie rozumiem. Po co?

– Bo... Ale spóźniłem się... – jękał Janko.

– Gadajże wreszcie po ludzku – pochylił się ku niemu Aleksy. – Poszedłeś za nim i co? Gdzie się spóźniłeś?

– Noo... Poszedł na randkę...

– Nie przyszedłeś tu chyba specjalnie po to, żeby nas o tym niezwykłym fakcie powiadomić?

– Nie, ja chciałem z nim pogadać, ale się rozmyśliłem...

– W porządku, ale co to ma do rzeczy? – Corinne po patrzyła na niego wzrokiem, który

mówił wyraźnie, że nadal nic nie rozumie. – O czym chciałeś z nim porozmawiać?

– Bo, widzicie... – znowu na moment Janko się zaciął – bo ja wiem, gdzie są te dokumenty, których on szuka...

Corinne i Aleksy aż podskoczyli, zawołali jednocześnie:

– Dlaczego mówisz to dopiero teraz!?

– Bo... ja nie wiem, czy wy to zrozumiecie... ja się bałem...

– Czego?

– Tyle było gadania w mieście... A przecież on sam mi dał.

– Ale co? Kto?

– No, on. Poliński...

Janko zaczął opowiadać, jak poszedł do pokoju Polińskiego w dzień katastrofy, jak czekał na niego do późnej nocy. Opowiedział również o ukryciu przez siebie dokumentów, bał się bowiem najbardziej, że zostanie posądzony o spowodowanie śmierci inżyniera.

Aleksy słuchał i tylko kręcił głową, a potem powiedział:

– Nie ma co, narozrabiałeś niezgorzej. Ale na całe szczęście nie jest przecież jeszcze za późno...

– Wręcz przeciwnie – wtrąciła się Corinne. – Jutro przecież upływa dwutygodniowy termin udzielony Stegenbachowi przez pozostałych członków komisji. I będzie to ostatnia szansa zrehabilitowania Polińskiego.

– Bez przesady – mruknął Aleksy. – Z tego, co nam tu Janko opowiedział wiadomo, że w tej chwili będzie to zadanie bardzo proste. No, już – zwrócił się do Kaproviča – wskakuj w polarne ubranie, bierz narty i idziemy!

– Wariaci! – Corinne stanęła w progu zdecydowana żadnego z nich nie wypuścić. – Zdaje się, że nie słyszeliście prognozy pogody.

– Słyszałem – spokojnie powiedział Aleksy.

– Głupiec! Masz zamiar dać radę cyklonowi!? Przecież w taką pogodę nawet „Mamuty” uciekają do kopuły. Ostatnią zmianę przed czasem ściągnięto ze stanowisk pracy, flota w stanie pełnej gotowości. A wy co? Na spacer?

– Owszem... – flegmatycznie stwierdził Aleksy. – Bez względu na to, co jeszcze powiesz.

Janko i Aleksy pośpiesznie szli przez park, obserwując początek przygotowań do ewakuacji – mieszkańców uprzedzono już wcześniej, że może dojść do takiej konieczności – potem zaczęli biec.

– Zdążymy przed burzą? – wysapał Janko.

– Musimy. – Zabrzmiało to tak pewnie, że Janko uwierzył i uspokoił się. Nie mógł przecież wiedzieć, że Aleksy wcale nie jest aż tak bardzo pewny swego.

Dobiegli do tej samej bocznej śluzy w kopule, z której tydzień temu korzystał Janko. Po chwili byli już na zewnątrz. Zdążyli przemaszerować szerokość pasa startowego, a już – bez żadnego wcześniejszego znaku – zerwał się porywisty wicher, smagający ich twarze tumana-
mi lodowego pyłu. Przez zawieję nie przedzierały się już żadne odblaski z miasta, kiedy nagle przed twarzami mężczyzn błysnęło oślepiająco jasne światło. Odruchowo zasłonili oczy rękami, przypadli za lodowe bryły, ale było już za późno – zbliżał się ku nim ślizgacz lodowy, na którego dachu obracała się powoli antena infralokatora. Dalsze ukrywanie się nie miało sensu, więc Aleksy podszedł do maszyny, potem zwinnie prześliznął się przez otwór włazu.

Dowódcą patrolu okazała się kobieta. Aleksy nawet nie dopuścił jej do głosu, prosząc o natychmiastowe połączenie z dyrekcją Związku. Najlepiej z naczelnym albo z Obrigowem. Kobieta zmierzyła go lodowatym spojrzeniem mówiąc:

– Nawet sam Głównodowodzący Admirał Arktycznej Floty nie miałby w tej chwili wiele do gadania. W czasie stanu wyjątkowego tylko ja decyduję o tym, co tylko żywego napotkam poza pasem startowym. A jestem obowiązana i pana i pańskiego towarzysza w

waszym własnym interesie odstawić z powrotem do miasta.

Po chwili, kiedy Aleksy nalegał nadal, zdecydowała się jednak spełnić jego prośbę – niestety ani naczelnicy, ani Obrigow nie byli w tej chwili radiofonicznie uchwytani. Nie było rady – Aleksy musiał choć pobieżnie opowiedzieć, co zmusiło go do wyjścia poza kopułę mimo nadchodzącego cyklonu. Kobieta zainteresowała to wyraźnie, wreszcie zdecydowała się:

– Dobrze. Niech pan zawoła swego towarzysza, a ja poproszę o zezwolenie na jazdę poza swój odcinek i czasowe zastępstwo.

Wkrótce też zgodę otrzymała i ruszyli jak na wyścigu. Aleksy mówił jeszcze, że zrobiliby to zapewne jutro rano, gdyby nie zapowiadany cyklon, który mógłby zawalić chwiejną ścianę Trębaczy i pod zwałami lodu na zawsze pogrzebać wynalazek inżyniera Polińskiego, ale kobieta wyjaśniła mu po prostu, że ona również była na sali podczas pamiętnego posiedzenia komisji. Że jej tak samo, jak każdemu Polarskiemu z Sipogrodu zależy na rehabilitacji inżyniera. Nie rozmawiali więcej do końca trwającej dwadzieścia czy trzydzieści minut podróży...

*

Po czterech dniach wszystko było gotowe – agregat stanowiska LB 72 przerobiony według pomysłu Polińskiego przez Stegenbacha pomyślnie przeszedł wstępne próby i oto nareszcie przyszedł czas próby praktycznej. Fred z bijącym sercem pociągnął do siebie dźwignię zasilania działła laserowego – pierwsza wiązka promieni trysnęła w głąb wierconego szybu. Czerwone strzałki wskaźników na skałach odchyłały się powoli do położenia roboczego, koła zamachowe zaworów wirowały coraz prędzej, popychając mimośrodowo przy wentylach.

Fred na moment oderwał oczy od przyrządów, zerknął na Corinne, pochyloną czujnie przy swoim stanowisku. Pochyloną tym razem na wszelki wypadek, bo udoskonalone przez Polińskiego promienniki oddawały część ciepła na boki, powodując tym samym spieczenie ścianek szybu w jednolitą, twardą masę tak, że niebezpieczeństwo obwałów zostało ograniczone do minimum. Spojrzał w drugą stronę – przy swoim pulpicie Aleksy porównywał napływające nowe dane o stanie i przebiegu wiercenia.

Dwie głębokie bruzdy, nadające jego twarzy wyraz groźnej surowości wyglądały się powoli w miarę, jak rosło ciśnienie gazów wiertniczych nad promiennikiem i głowica coraz szybciej przesuwawała się w dół. – Ten Poliński miał jednak głowę nie od parady. Ileż jeszcze dobrego mógłby zrobić, gdyby żył – pomyślał Fred. – W tej chwili, przy poborze zaledwie trzech czwartych nominalnej mocy głowica posuwa się dwa razy prędzej, niż przedtem...

*

Pół roku później w Sipogrodzie pojawił się nowy pomnik, bardzo na pierwszy rzut oka podobny do wieży wiertniczej. Lecz na jej szczycie zamiast kopuły umieszczono kokon ratunkowy...

TANIEC POTWORÓW

Radiotelegrafista Werner Wagenburg wykrzywił się i zaklął:

– Przeklęta, wstrętna, czarna czarcia hołota!

Jednym susem znalazł się przy iluminatorze, wciągnął do środka kajuty radiowej długą różgę anteny i szybko zatrzaskał okrągłe okno opatrzone mosiężnymi okuciami. Na zewnątrz

przed iluminatorem kołysało się długie, elastyczne ramię. Po chwili były już cztery, a w końcu cała wiązka, wijąca się tysiącem oślizgłych splotów. Jedno z ramion naparło mocno na grube szkło okna – Werner mógł zobaczyć teraz wyraźnie dwa rzędy niewielkich, lejkowatych ssawek na jego spodzie.

– Brrr! – otrząsnął się. – Czyżby to bydlę chciało zmiażdżyć iluminator?

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie warto byłoby uchylić na moment okno, by rozgrzaną kolbą lutowniczą trochę przepłoszyć potwory, lecz nagle ponton farmy morskich wodorostów zakołysał się pod uderzeniem fali przyboju, spieniona woda uderzyła o ścianę kajuty i w tej samej sekundzie ośmiornica zniknęła.

Werner uważał dotychczas całą tę inwazję potworów za interesującą, ale niezbyt niebezpieczną osobliwość – miał nadzieję, że za parę godzin obrzydliwe ścierwa znikną tak, jak to w ciągu ostatnich paru miesięcy bywało – wszystko jednakże wskazywało na to, że tym razem farma została przez wędrowkę potworów bardziej dotknięta, niż w poprzednich wypadkach.

Nagle za jego plecami zabrzmiał głośny dzwonek. Werner Wagenburg podskoczył – jego zmysły były przez tę inwazję potworów tak wyczulone, że niespodziewany dźwięk za plecami odczuł jak uderzenie pejcem.

– Przekleństwo! Więcej zimnej krwi, chłopie... – zagadał sam do siebie. – Telefon jeszcze długo nie będzie żadnym diabłem morskim...

W słuchawce rozległ się głos Petera Skaagena – pierwszego oficera:

– Halo, Werner! Jak tam u ciebie?! Udało ci się w międzyczasie nawiązać kontakt z łądem?

– To niemożliwe, Peter. Ta czarna banda zdemolowała mi prawie wszystkie anteny nadawcze. Założę się, że u was jest tak samo. Przed chwilą widziałem, jak ośmiornice zrobiły sobie karuzelę z waszego masztu radarowego...

– No, no, no, Werner... Widzę, że humor wcale cię nie opuścił. Ale może przestań już sobie pokpiwać – położenie jest na to trochę za poważne – dobrodusznie zbeształ go oficer. – Łąd, Werner. Musisz za wszelką cenę uzyskać nareszcie to połączenie. Wszystko jedno, z kim je uzyskasz...

– Rozumiem, oczywiście – Wagenburg mówił już po ważnie. – Radiostacje morskie na Teneryfie i na Bermudach wołają nas bezustannie. Odbiór mam dobry bez anteny, ale nadawanie... Te bestie piekielnie uważają, a mnie została już tylko jedna sztuka.

– W porządku! Skoro musisz koniecznie dostać nową antenę...

– Co najmniej cztery!

– To w takim razie zaraz pošlę ci sprzęt, jednego radio telegrafistę do pomocy i kilku marynarzy do ochrony.

– Zwariowałeś? – podskoczył Werner. – Przecież one otoczyły mnie jak fortecę. Nikt się tutaj nie dostanie. Te bestie warują nawet pod moimi drzwiami!

*

Szef radiostacji na Teneryfie obracał w palcach trzy kartki papieru, kręcąc przy tym głową i mrużąc:

– Co tam się dzieje, u licha?

Wszystkie trzy radiotelegramy przyszły w ciągu ostatniej godziny od niemieckiego poławiacza sargassu Kelb-2, który zakotwiczył na morzu oddalony od lądu o tysiąc sześćset mil, a więc nad podmorskim zboczem skalnym północnoatlantyckiego progu.

Pierwszy, urwany w połowie zdania meldunek przeznaczony był dla niemieckiego armatora: „Tu radiostacja Kelb-2 do bazy dyspozycyjnej! Burza słabnie, ale przeróbka włókien wodorostów niemożliwa z powodu zbyt wysokiej fali – brak materiału. Dzisiaj ponownie

pojawiły się wodorosty ośmiornic – około dwadzieścia polipów osiadło na pokładzie. Zachowują się na razie łagodnie, ale z każdą chwilą stają się coraz bardziej niespokojne. Kierownictwo farmy liczy na wzro...”

Druga kartka była stenogramem nagrania na taśmę, dokonanego w oddziale radiotelefonii morskiej. Radiotelegrafista był najwidoczniej pod olbrzymim wpływem świeżo zaszytych zdarzeń, bo radiodepesza miała bardziej charakter spontanicznego monologu, nie zaś oficjalnego meldunku: „Halo, Teneryfa! Tu Kelb-2, stacja B. Bądźcie z nami w kontakcie przez cały czas. Tu dzieją się piekielnie dziwne rzeczy...”

Po krótkiej przerwie w tekście stenogramu, spowodowanej zanikiem fali nośnej, tekst rozpoczynał się od słów: „... druga grupa ośmiornic przyległa do farmy – w tym momencie na naszym pokładzie toczy się zawzięta walka obu grup. Obie strony wykazują przy tym zadziwiającą inteligencję. Pierwsza grupa cofnęła się aż do nadbudówki i sformowała obronne półkole, druga naciera klinem. Do tej pory nie sądziłem, że te potwory potrafią być tak zaważające i z taką wściekłością na siebie następować. Nawet mi to w głowie nie powstało, bo przedtem zachowywały się bardzo spokojnie. Oho! Do pierwszej grupy dołączyły się teraz gumowe ośmiornice. Niech to wszyscy diabli! Te bestie znowu huśtają się na kablach antenowych. Mają wręcz zadziwiające zamiłowanie do techniki. Te cholerne bydlęta zachowują się tak, jakby doskonale wiedziały, w jaki sposób najłatwiej unieszkodliwić każdą radiostację. Przed chwilą połamały obudowę pelengatora i oberwały kabel anteny dalekopisu, teraz dobiegają się do kabla głównego. Jeżeli uda im się...”

Od tego miejsca kartka była pusta. – Widocznie „im” się udało – pomyślał szef radiostacji i podniósł do oczu trzecią kartkę, dostarczoną mu tym razem z sekcji łączności posługującej się konwencjonalnym alfabetem Morse’a:

– Uwaga, uwaga! Akcja „Potwór”! Inwazja ośmiornic rozpoczęła się przed trzema minutami. Tysiące głowonogów opanowały sytuację na pokładzie! Tu stacja A na Kelb-2! Tu stacja A na Kelb-2! Wejście na pokład jest niemożliwe! Między trzema pontonami farmy nie ma już połączenia! Akcja „Potwór”! Uwaga! Zostałem sam – za chwilę będę już całkowicie otoczony. Mam jeszcze tylko kontakt z mostkiem kapitańskim. Także stacja B została zaatakowana! A ten cholerny sztorm znowu się nasila! Została mi tylko jedna antena – wszystkie poprzednie są już dawno zniszczone... Halo, Teneryfa! Ośmiornice zaczynają się grupować w oddziały. To wydaje się niemożliwe, ale one nauczyły się już nawet tego, jak należy otwierać drzwi. Te drańskie polipy Morrisa są piekielnie inteligentne – działają tak sprawnie i szybko, że nie starcza nam w ogóle czasu na przygotowanie jakichkolwiek środków dla powstrzymania inwazji! Doktor Marlies van Treddenkamp sama na pokładzie. Usiłuje przeciwdziałać. Sytuacja staje się krytyczna! Komendant prosi o dodatkowe środki zwalczania ośmiornic. Konieczne zrzuty! Powtarzam: konieczne zrzuty! Sytuacja krytyczna!”

– No, tam chyba rzeczywiście jest teraz gorąco – pomyślał szef radiostacji na Teneryfie. – Całe szczęście, że mają jeszcze dwie stacje radiowe i mogli wezwać pomoc. Szybko napisał kilka zdań na kartce papieru: „Uwaga! Uwaga! Ogólne ostrzeżenie stacji radiowej Teneryfa dla wszystkich statków pasażerskich i frachtowców. Ugrupowania ośmiornic u progu północnoatlantyckiego. Zdolne do ataku i obez władnienia jednostki pływającej! Punkt najniebezpieczniejszy w chwili obecnej to 27° szerokości północnej, 49° długości! Koniec komunikatu.

Złożona kartka wpadła w przewód poczty pneumatycznej i po naciśnięciu guzika z napisem „pilne” znikła. Potem szef chwycił mikrofon i połączył się z lotniskiem na Maderze, by zawiadomić ich o sytuacji Kelb-2, ale sztab lotniska znał już cały problem i wydał odpowiednie rozkazy.

*

Długa, kołysząca się sztaba metalowa działała na potwory jak magnes. Werner podnosił

ją i opuszczał jak wędkę, by po kilku próbach rzeczywiście złowić kolejnego polipa. Naraz na korytarzu załomotały pospieszne kroki – Werner nie wierzył własnym uszom, bo zwątpił już, że otrzyma jakąkolwiek pomoc. Tymczasem ktoś walił pięścią w drzwi kajuty krzycząc:

– Otwieraj! Wzmocnienie wachty!

Wagenburg przez dłuższą chwilę nie mógł trafić kluczem w otwór zamka. Po głosie rozpoznał jednak, kto stoi pod jego kabiną. Peter Skaagen rzeczywiście dotrzymał słowa i przysłał do niego Kurta – radiotelegrafistę ze stacji B.

– Jak się tu do mnie przedostaliście? – krzyczał przez drzwi, które otworzyły się nagle. Kurt posunął się ku nim, za nim podążył towarzyszący mu marynarz, ale nie zdążyli jeszcze przestąpić progu, kiedy Werner zrobił taki ruch, jakby chciał ponownie zatrzaskać wejście – w półmroku za plecami obu ludzi dostrzegł wijące się, czarne ramiona. Zreflektował się jednak, szarpnął wyciągniętą ku sobie dłoń Kurta tak, że radiotelegrafista wpadł do kajuty jak bomba. Marynarz nie śpieszył się jednak wcale, więc Werner ze strachem wychylił trochę głowę za próg, żeby go ostrzec i dopiero wtedy dostrzegł trzy białe pierścienie i jakieś cyfry na czarnym kadłubie głowonoga – była to po prostu jedna z gumowych ośmiornic. Uspokojony Wagenburg roześmiał się:

– A ja myślałem przez chwilę, że to prawdziwe bydlę...

Jeszcze dwaj marynarze weszli do kabiny.

– Jak się przedostaliście przez to cholerne kłębownisko? – powoził swoje pytanie Werner.

– Przyholowała nas tutaj Marlies van Treddenkamp.

– A gdzie ona? Została na pokładzie? – zdziwił się radiotelegrafista.

– Nie. Chyba już teraz wraca...

– Co!? Sama przez tę hordę potworów?

Werner rzucił się do drzwi, wybiegł na korytarz, potknął się o mackę gumowej ośmiornicy, potem wytknął głowę na pokład, rzucając naokoło szybkie spojrzenia, czy nie kryje się w pobliżu jakaś niemiła niespodzianka. Najbliższa ośmiornica znajdowała się od niego o jakieś dwadzieścia czy trzydzieści metrów, więc w razie czego zawsze zdążyłby uciec. Wyszedł na pokład i o parę metrów dalej zobaczył Marlies van Treddenkamp, trzymającą się liny, by nie zostać przez falę przyboju strąconą do morza. Miała na sobie lekki, wodoszczelny strój płetwonurka. W ręce trzymała bicz elektonowy, a w pochwie u pasa zakrzywiony kris malajski. Główną jej ochronę stanowiła jednak przede wszystkim osobliwa straż przyboczna: dwie gumowe i dwie żywe tresowane ośmiornice. A nie opodał kotłowała się w zaciętej walce grupa wściekłych głowonogów. Żaden ze stworów nie zwracał na Marlies uwagi, ale starczyłoby przecież, żeby któryś wyciągnął długie ramię...

Beztraska, z jaką dziewczyna obserwowała zmagania ośmiornic, wydała się Wernerowi nie do pojęcia. Uważał również, że Peter Skaagen jest najzupełniej nieodpowiedzialny, pozwalając Marlies na tego typu wycieczki, kiedy reszta załogi siedzi sobie bezpiecznie w kajutach. Marlies obróciła się, zobaczyła Wenera i krzyknęła coś, czego ten dokładnie nie zrozumiał, ale brzmiało to jak: „Uciekaj, głupcze!” Wzruszył ramionami, obrócił trochę głowę i w tym momencie poczuł, że coś chwyta go za kołnierz i zaczyna wlec po pokładzie. Udało mu się obrócić głowę trochę bardziej i zobaczył nad sobą twarz marynarza, wciągającego go z powrotem pod pokład w samą porę, bo oto jakaś mocniejsza fala przebiegła szumiąc przez burty i cofnęła się, zostawiając kilkanaście nowych ośmiornic. Po chwili Werner patrzył już przez okno kajuty na Marlies, która stała po kostki w wodzie na kładce łączącej pontony wykonując rękami jakieś dziwne ruchy. Na ten znak ruszyły się wytresowane potwory, rozciągnęły swoje ramiona na wszystkie strony i zaczęły wykonywać nimi nieuchwytnie, płynne drgania i znaki – po chwili tej niesamowitej „rozmowy” pierścień potworów otaczający Marlies rozpadł się i zwierzęta spokojnie rozlażyły się po pokładzie. Tylko trzy wyjątkowo wielkie i uparte polipy zostały w pobliżu Marlies, niepokojąco groźnie zmieniając kolory.

Wtedy dziewczyna schyliła się szybko nad łbami gumowych potworów, które ożyły nagle, skoczyły ku upartym polipom – potężne macki zetknęły się na parę sekund. Było to wystarczająco długie zetknięcie, by ramiona żywych ośmiornic, rażone prądem wysokiej częstotliwości dopasowanej do oscylacyjnej wibracji neuronów głowonoga, opadły nagle jak podcięte.

– Ta to ma nerwy, co? – spytał zachwycony Kurt, kiedy Werner ocierał pot z czoła wyczerpany samym przyglądaniem się tej scenie. – I że się tych cholernych bestii nie boi...

– Założę się – wtrącił jeden z marynarzy – że natychmiast wskoczyłaby z krzykiem na stół, gdyby zobaczyła w pokoju najzwyczajszą mysz...

A Werner Wagenburg dopiero teraz uwierzył, że ta dwudziestosześcioletnia kobieta o figurze osiemnastoletniej dziewczyny nie za swój wygląd otrzymała stopień naukowy, lecz za naprawdę rzetelną znajomość przedmiotu swojej pracy doktorskiej. Na początku podróży zachowywała się rzeczywiście zwyczajnie, ale potem... Cała załoga gapiała się na nią, kiedy na przykład wychodziła na spacer po pokładzie z dwiema żywymi ośmiornicami, albo kiedy wraz z nimi skakała do morza. Mówiono, że oba te potwory pochodziły z laboratorium morskiego prowadzonego przez ojca Marlies, który poddał je specjalnym operacyjnym zabiegom tak, że się przez czas dłuższy obyć mogły bez wody. Jakże to mogły być zabiegi nikt właściwie nie wiedział – oczywiście oprócz Marlies i jej ojca Janna Huizen van Treddenkampa – człowieka, który przepowiedział wielką wędrówkę ośmiornic w Atlantyku. Była to zresztą osobistość i sławna – doskonały hipnotyzer i biochemik – i tajemnicza zarazem. Przed dziesięciu laty założył laboratorium morskie w Delaware Bay, kilka lat później w dramatycznych okolicznościach uszkodził sobie kark, co spowodowało, że wrócił do Europy do swojej ojczyzny, a potem umarł nagle i niespodziewanie w zagadkowy sposób, pozostawiając po sobie jedynie zadziwiająco mało notatek, z których sporą część później opublikowano. Początkowo wyśmiewano się ze starego dziwaka, ale kiedy przed rokiem stwierdzono pierwsze wędrówki polipów, wtedy przypominano sobie o Treddenkampie. I – o jego córce Marlies. Powołano ją – przez Międzynarodowe Konsylium Rozbrojeniowe – do wyjaśnienia tego fenomenu.

Tymczasem ona sama okazała się fenomenem dla marynarzy z Kelb-2, choć może nie w tym sensie, w jakim by tego pragnęli.

Po pierwsze okazało się, że zna ona – z dawnych lat najwidoczniej – ich pierwszego oficera Petera Skaagena. Nagabywany Skaagen nie chciał jednak nic na ten temat zdradzić.

Drugą sprawą był skandal trochę innego rodzaju, niż spacer z ośmiornicami po pokładzie. Otóż od pewnego czasu marynarze zaczęli samorzutnie zgłaszać się na najgorszą, psią wachtę tuż przed świtem. Wkrótce było tylu chętnych, że na służbie mogłoby stawać naraz i po pięciu marynarzy. Wkrótce też wyjawiono prawdziwą przyczynę tej zadziwiającej służbiowości marynarzy. To po prostu Marlies van Treddenkamp miała zwyczaj tuż przed świtem wychodzić na pokład. Tam zrzucała z siebie swój kostium płetwonurka i w stroju składającym się jedynie z zawieszzonego na szyi malajskiego krisa dla ochrony przed rekinami skakała wprost z pokładu do morza, by przez pół godziny popływać. Któregoś ranka kilku marynarzy zebrało się przy porzuconym przez nią kostiumie. Dziewczyna zgodnie ze swoim zwyczajem kilkakrotnie opłynęła statek dookoła, potem jak co dzień weszła na pokład, przeszła między ogłupiałymi marynarzami, ubrała się spokojnie i poszła do swojej kajuty. Następnego ranka ci sami ludzie postanowili powtórzyć zaczepkę, ale zaledwie podeszli do leżącego na pokładzie ubrania, poruszyło się ono i wylazła spod niego małeńka ośmiornica. Wyglądała na tyle nieszkodliwie, że marynarze zbliżyli się jeszcze bardziej, żeby ją złapać i wyrzucić do morza, ale cienkie macki potworka okazały się zdecydowanie nieprzyjemne w dotyku – porażeni silnym prądem marynarze uciekali przed goniącym ich małeństwem po całym pokładzie, wreszcie z krzykiem schronili się do swoich kajut. Od tej chwili znowu zaczęło brakować chętnych do pełnienia psiej wachty... Kolejna sprawa wynikła któregoś ranka, kiedy obie tresowane ośmiornice wśliznęły się w porze śniadaniowej do stołówki i zaczęły ściągać ze stołów obrusy wraz z zastawą. Kiedy przerażeni marynarze zaczęli wypędzać je kijami, wtedy

dopiero zaczęła się prawdziwa zabawa. Potwory kilkoma naraz ramionami chwyciły kubki i dzbanki z kawą ciskając je w marynarzy. A kiedy powiadomiona Marlies pojawiła się w jadalni, jej podopieczni właśnie dobierali się do bułek i pomidorów przygotowanych dla załogi. Tylko ser i marmoladę pozostawiły po spróbowaniu, bo widać tego typu pożywienie im nie odpowiadało. Wspominając wszystkie te – bardziej zabawne, niż groźne – zdarzenia Werner uśmiechał się do siebie. Aż wreszcie Kurt dał mu porządnego kuksańca pod żebro:

– Radiotelegrafisto! Znajdź sobie lepszą porę na marzenia, a teraz powiedz, co mamy robić?

Werner wysłał przede wszystkim dwóch marynarzy i gumowe ośmiornice na górny pokład, jako ochronę anteny nadawczej. Tymczasem na pokładzie głównym zbierały się coraz większe ugrupowania polipów Morrisa, znających się doskonale na niszczeniu wszelkich urządzeń technicznych – obserwujący je Werner ucieszył się na myśl, jaka niespodzianka je czeka, skoro tym razem ponownie spróbują oberwać mu antenę. Potem telefon zadzwonił znowu i Peter Skaagen zapytał:

– Halo, Werner. Dasz radę połączyć się bezpośrednio ze stacją Konsylium, nie korzystając z połączenia przez Teneryfę?

– Nie – odpowiedział radiotelegrafista. – Nasz sprzęt ma zbyt mały zasięg.

– W takim razie bardzo mi przykro, stary, ale będziesz musiał nadawać szyfrem.

– Cholerna robota...

– Wiem, ale nic na to nie poradzę. Komandor chce przekazać wiadomość o sytuacji w ten sposób, żeby nic nie przeciekło do gazet. Po cholere całą prasę na świecie ma się rozpisywać na temat Konsylium Rozbrojeniowego, które nie umie sobie poradzić nawet z głupimi ośmiornicami.

– Niby racja. Ale to naprawdę piekielna robota...

– Daj znać, kiedy będziesz gotów.

– Oczywiście,

– I jeszcze jedno, Werner. Połącz się z meteorologami. Niech podadzą ci jak najdokładniejszą prognozę pogody.

– Tyle to i ja ci mogę powiedzieć, że kiedy sztorm się skończy, to znowu będziemy mieli ładną pogodę...

– Znowu zaczynasz te swoje żarty? A potem złap sejsmologów i zażądaj informacji o tektonicznej sytuacji dna w rejonie Azorów.

– A to niby znowu po co? – to ostatnie żądanie zdziwiło Wagenburga rzeczywiście.

– Marlies przypuszcza, że przyczyną wędrówki ośmiornic może być groźące w każdej chwili trzęsienie dna morskiego.

– O, do diabła – tym razem Werner przejął się naprawdę. – Azory to przecież nieprzyjemnie blisko. Miejmy nadzieję, że do tego wcale nie dojdzie. Czy masz do mnie coś jeszcze?

– Nie. Kontaktuj się ze mną natychmiast...

Jeden z wysłanych na górny pokład marynarzy wrócił przed chwilą na tyle wcześniej, by usłyszeć o trzęsieniu ziemi. Powiedział teraz:

– A może to nie trzęsienie ziemi, ale to, co powiedział Treddenkamp?

– To znaczy?

– Że są amerykańskie ośmiornice kenionowe i ośmiornice pełnomorskie, na które w chwili obecnej te amerykańskie napadły – mówiąc to marynarz podciągnął do góry rękaw grubego swetra i Werner zobaczył na skórze jego przedramienia kilka fioletowych plam, które nie wyglądały na ślady walki z normalną ośmiornicą. Widząc spojrzenie Wernera marynarz rzucił:

– Zagapiłem się i podszedłem trochę za blisko naszej gumowej pomocnicy, no i... usiadłem tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. W każdym razie to naprawdę wspaniała konstrukcja, ten robot-bestia. Treddenkamp projektował je podobno jako wielofunkcyjne układy

dyspozycyjno-wykonawcze zdolne zastąpić każdego nurka przy najtrudniejszej robocie...

Na słowa o najtrudniejszej robocie Werner Wagenburg westchnął ciężko, oderwał się od okna i siadłszy przy stole zabrał się do powtarzania aktualnie obowiązującego szyfru...

*

Jann Huizen van Treddenkamp siedzący przy migających w głębi kominka pomarańczowo i czerwono płomieniach patrzył obojętnie na stojącego przy oknie człowieka – nigdy go jeszcze przedtem nie widział. Było jednak dla Janna najzupełniej oczywiste i jasne, że to człowiek doskonale zorientowany w tym, co swojego czasu zaszło w Delaware Bay i, że nie bez powodu wysłano go zza Atlantyku właśnie tu – do Den Hoorn przy Waldensee. Czyżby liczone na to, że Jann van Treddenkamp cofnie decyzję podjętą po wykryciu nadużyć jego pracy w laboratorium? Czy ten człowiek rzeczywiście miał nadzieję otrzymać pozytywną odpowiedź? Wniosek z tego, że nikt tam jeszcze nie domyślił się prawdziwej przyczyny katastrofy w Delaware Bay...

– Dlaczego wycofał się pan tak nagle, panie Treddenkamp? Miał pan przecież świetne, doskonale urządzone laboratorium, a czegoż więcej trzeba do szczęścia prawdziwemu badaczowi? Tylko pan może pomóc nam w wyjaśnieniu tajemnicy katastrofy w laboratorium, połączonej z równoczesnym zatonięciem dwu atomowych łodzi podwodnych... A same badania? Przecież asystenci bez pana – założyciela hipnometyki – nie dojdą w tej chwili do niczego... No, niechże pan pomyśli o krytycznej sytuacji świata, o niezliczonych problemach, które bez pańskiej pomocy są nie do rozwiązania.

Uczony uśmiechnął się do płomieni w kominku, spytał:

– Ciekawe, jaki świat ma pan na myśli?

– Oczywiście nasz, cywilizowany...

– Czy chciałby pan może przez to powiedzieć, że ja – jako Europejczyk – jestem barbarzyńcą?

– Ależ nie, panie Treddenkamp. Przecież wie pan doskonale, że nie to miałem na myśli.

– Taak – powiedział z namysłem Jann Treddenkamp. – Mówi pan „świat”, ale rozumie pan przez to słowo tylko jego nie największą część. A wie pan – jakoś nigdy nie wpadło mi do głowy, że hipnometyka powinna być – zgodnie z pana sądem – nauką służącą tylko kilkunastu przedstawicielom jednego kraju. Moja hipnometyka nie jest przecież niezrozumiałym cudem świata. Ogólne zasady znacie – rozwijajcie je sobie jak tylko umiecie i chcecie. Ale od moich badań szczegółowych trzymajcie się z daleka – zastosowanie, które ma na celu wasza flota jest dla mnie ordynarnym nadużyciem. A do tego nigdy nie dopuszczę...

– Czy mam przez to rozumieć, że przez jedną noc stał się pan komunistą? – zirytował się tamten. – Orientuje się pan przecież, że wśród ludzi o naprawdę wysokiej kulturze te ich mrzonki są niesłychanie niepopularne.

– Nie powiem, żebym w pańskim kraju widywał specjalnie często przykłady tej wysokiej kultury, o której pan mówi. A przecież miałem do czynienia przede wszystkim z waszą kadrą uniwersytecką i przedstawicielami władz, a nie z mieszkańcami najbiedniejszych dzielnic. Zresztą wolno panu myśleć wszystko, co pan tylko chce, co oczywiście nie zmieni mojego zdania na temat nadużycia nauki. Choć chyba tracę w tej chwili czas – pan i tak do końca życia nie pojmie, że podjąłem swoją decyzję jako najzupełniej odpowiedzialny człowiek. Jako mieszkaniec tej planety.

– Mówi pan tak, jakby nasza Komisja Morska nie czuła się za nic odpowiedzialna. Przecież my również myślimy o całym świecie. To znaczy – sprecyzował – o całej planecie. Niech pan zrozumie, mynheer van Treddenkamp, że wyłącznie od pana postawy zależy w tej chwili, czy nasz świat odzyska w najbliższym czasie dawną świetność i wielkość i czy cała ludzkość – ludzkość prawdziwie wolna – wstąpi śmiało w nowy, złoty wiek.

Treddenkamp ponownie uśmiechnął się patrząc w płomienie.

– Nawet pan nie wie – mruknął – jak wielką prawdę wypowiedział pan przed chwilą. Tę samą, w imię której nie chcę mieć do czynienia z Komisją Morską.

– Nie rozumiem, mynheer Treddenkamp. Pan chyba wcale nie pragnie rozwoju nauki. Przecież nasz rząd zapewni panu najlepszą opiekę. Panu i pańskiemu odkryciu w dziedzinie biocybernetyki. Jediną ochroną praktycznych zastosowań pańskiego hipnometrycznego modulatora będzie postanowienie naszej Rady Bezpieczeństwa o ścisłej kontroli produkcji tych przyrządów.

– Myląca, jakże myląca nazwa – pomyślał van Treddenkamp. – Przecież w rzeczywistości ta Rada Bezpieczeństwa powinna nazywać się Ministerstwem Wojny...

– Mamy wielką, naprawdę wielką nadzieję – ciągnął tamten – że przekaże nam pan swoje obliczenia i szkice, oraz założenia próbnej serii modulatorów, które pan zaczął konstruować. Wtedy, w przypadku pańskiego powrotu do naszego kraju cała opinia publiczna stanie za panem. A ponadto sam pan doskonale wie, jak wysoko nasz rząd ceni sobie dobrych naukowców. Radzę panu wrócić, bo inaczej...

– A ja radzę panu nie wypowiadać tej pogroźki do końca, młody człowieku – przerwał mu Treddenkamp – i nie myśleć, że dam się przekupić. Jeżeli w ciągu dziesięciu sekund nie opuści pan mojego domu, to zrobię z pana w ciągu następnych dziesięciu sekund imbecyla lub idiotę takiego, na jakiego pan już w tej chwili wygląda. Niech pan nie myśli, że nie spodziewałem się podobnych odwiedzin i że nie przygotowałem się do nich odpowiednio.

Człowiek przy oknie zbladł i wsunął rękę pod marynarkę, lecz nagle poczuł, że jego dłoń nawet nie jest w stanie objąć kolby rewolweru, nie mówiąc już o jego wyciągnięciu.

– Pan, pan ma w tym domu modulator? – wyjąkał oszołomiony. – Pan go nie użyje. Przecież to niezgodne z prawem. Rozgłosimy po całym świecie, że robi pan doświadczenia na ludziach, którzy są na tyle nierozsądni, by przyjść do pana w odwiedziny. Zabierzemy ten pana piekielny wynalazek siłą! I wszystkie plany! – krzyczał jeszcze wybiegając przez frontowe drzwi.

– Bezczelny typ – mruknął rozżłoszczony Treddenkamp, ale jego złość trwała krótko. Już po chwili uśmiechnął się, przypominając sobie minę tamtego, kiedy zmartwiła mu ręka. Było to tym zabawniejsze, że profesor van Treddenkamp wcale nie włączał modulatora...

Za oknem rozległ się krzyk najwyższej grozy. Treddenkamp zerknął przez szybę i zaśmiał się znowu – człowiek wrzeszczał przeciągle uciekając aleją ogrodu w stronę prywatnej przystani profesora. Tam wskoczył do motorówki tak gwałtownie, że omal jej nie zatopił i szarpnięciem rozrusznika uruchomił silnik, oglądając się co chwila ze strachem na nabrzeże, do którego zbliżały się właśnie dwie wielkie, czarne ośmiornice.

Po wyrzuceniu niepożądanego gościa Treddenkamp postanowił ogłosić wszem i wobec o zniszczeniu wyników swoich badań, jak również sporządzić tajne notatki, które zamierzał jak najlepiej ukryć – chciał choć ostatnich parę miesięcy życia przepędzić nareszcie spokojnie.

Z tego, że jego koniec jest coraz bliższy, zdawał sobie sprawę bezustannie – podczas dramatycznej nocy w Delaware Bay jedna z rozwścieczonych ośmiornic nie rozpoznała go w porę i lekko ścisnęła ramieniem. To sprawiło jednak, że w efekcie profesorowi pękła wątroba. Od tej pory z tygodnia na tydzień jego zdrowie pogarszało się – tylko dzięki niemal cudotwórczym umiejętnościom pewnego znanego lekarza amsterdamskiego utrzymywał tyle sił, by móc jeszcze pracować.

Treddenkamp uporządkował swoje szkice i włączywszy pisak wysokiej częstotliwości spróbował skoncentrować się nad pewnym fragmentem notatek, lecz jego myśli bezustannie powracały do tego dnia sprzed lat, w którym przedstawił radzie badawczej przy Komisji Morskiej swoje hipotezy. Zyskał wtedy poparcie ponad połowy rady i mógł wkrótce potem wprowadzić się wraz ze swymi eksperymentami do olbrzymiego, nowoczesnego laboratorium

w Delaware Bay.

Jann Huizen był tak pogrążony w myślach, że niemal nie zauważył Marlies – wtedy szesnastoletniej – wprowadzonej do gabinetu przez Lena Helderera. Dziewczyna postawiła przed ojcem świeżo zaparzoną herbatę i wyczyściła popielniczkę stojącą na biurku, potem podeszła do stolika przy oknie i sięgnęła po jedną z dwóch leżących tam książek. Tę o Beebe'em przeczytała już, wzięła więc do ręki opracowania Piccarda i w parę minut później zapomniała o całym świecie, podążając piccardowskim batyskafem w głąb oceanu.

Jann Huizen westchnął, wspominając:

– Do najmądrzejszych zwierząt morza należą wieloryby, delfiny i ośmiornice – mówił wtedy do przedstawicieli rady badawczej. – Każda wyżej zorganizowana istota żywa, choć jej stosunek mózgu do wagi ciała według ludzkich miar jest niesłychanie mały, ma jednak swoją rezerwę, tak jak dzieje się to w mózgu człowieka. Moje badania wykazały, że rezerwy te są największe u ośmiornic. A ponieważ reagują one ponadto najlepiej na stymulowanie bioprądami, byłbym skłonny uważać, że nadają się one do eksperymentów najbardziej ze wszystkich morskich stworzeń. Na nich może, i powinna być badana i rozwijana hipnometryczna biomodulacja, a więc po prostu uczenie ich ludzkiej wiedzy, poprzez odciskanie jej w ich mózgach.

Wyobraźcie sobie, panowie, że po takim przygotowaniu można wykorzystać ośmiornice na przykład do rozładowywania zatoniętych statków bez pomocy nurków. A przecież na świecie co roku tonie ponad dwa tysiące okrętów. Rozumne ośmiornice są w stanie posługiwać się narzędziami, potrafią otwierać nimi zamknięte luki, szafy i drzwi. Nawet kasy pancerne. Można ich również używać jako bioroboty i w innych przypadkach. Jedna modulacja wystarczy, by przez kilka miesięcy zastąpić głowonogami doki i portowe urządzenia do czyszczenia kadłubów okrętów obrosniętych osadem pierwotniaków i muszel. Inną możliwością byłoby zastosowanie polipów do wielkich połowów ryb, zwalczania rekinów i prac pomiarowych w oceanografii na nieosiągalnych dla człowieka głębokościach.

– A czy nadają się one, podobnie jak delfiny, do minowania i niszczenia po uprzednim wytropieniu wszelkich podmorskich baz i urządzeń wojennych? – zapytał któryś z oficerów marynarki, biorący udział w naradzie.

– Delfin ma tylko pysk i mało sprawne płetwy, natomiast moje polipy po osiem całkowicie sprawnych, długich ramion. To chyba jasne. Natomiast niejasne jest dla mnie co innego. Skąd takie pytanie, skoro całkowite, totalne rozbrojenie jest przecież na porządku dnia i lada chwila stanie się faktem dokonanym? – Treddenkamp zirytował się, ale usiłował nadal mówić najzupełniej spokojnie.

– Odpowiedź jest równie oczywista, jak pańskie stwierdzenie. Po prostu chcemy wykorzystać pańskie stymulowane ośmiornice do przeprowadzenia naszej akcji rozbrojeniowej.

Słowa oficera brzmiały naprawdę poważnie. Aż za poważnie. Brzmiały tak, jakby za tą powagą kryła się piekielna, niezgłębiona ironia. Tyle tylko, że Jann Huizen van Treddenkamp był tak pochłonięty rozpatrywaniem w myśli jeszcze innych aspektów swego – pomyślanego dla dobra ludzkości – wynalazku, że nie zauważył tego dziwnego tonu oficera. Zresztą dlaczego niby miałby podejrzewać całkowicie cywilną Komisję Morską o jakieś powiązania z Ministerstwem Wojny?

Mówił więc dalej:

– Oprócz wyżej wymienionych możliwości, istnieje jeszcze także i to, że metody hipnometryki zostały pomyślane nie tylko do uczenia ośmiornic. Mianowicie może już za sto lat, a może nawet o wiele wcześniej uda się je zastosować w telesprężeniu ludzkich mózgów przez biomodulację. Cały system kształcenia na naszej planecie jest oparty na mozolnym zapamiętywaniu przy wykorzystaniu konwencjonalnych dróg receptorowych poprzez oczy i uszy do mózgu, gdzie wiadomości ulegają utrwaleniu bądź... zapomnieniu. Natomiast przy bezpośrednim oddziaływaniu mózgu na mózg dochodzi do swoistego przelewania się informacji w

czystej formie. Jak korzystnie wpłynie to na ogólny poziom ludzkiej wiedzy, nie muszę panom tłumaczyć. Dzięki biopromieniowaniu sterowanemu przez mój modulator człowiek jest w stanie materiał nauczania zawarty w programie kilkuletnich studiów opanować w ciągu zaledwie kilku dni! A poza tym muszę dodać, iż moje przedsięwzięcia naukowe nie mają nic wspólnego z hipnozą.

Mówił jeszcze, dość długo, ale już wtedy wiedział, że Komisja Morska bez zastrzeżeń uwierzyła w możliwości biomodulacji. Nie wiedział tylko, że przedstawicielom Komisji chodzi o zainstalowanie potężnych biomodulatorów na satelitach Ziemi, by w ten sposób spełnić swe zamiary zapanowania nad całym światem...

Oczywiście przyznano mu olbrzymie kredyty, dostosowano do jego potrzeb i rozbudowano laboratorium w Delaware Bay, pozwalając mu prowadzić badania dla dobra całej ludzkości.

Lecz za jego plecami oficerowie-asystenci przydzieleni mu przez Komisję Morską prowadzili nieoficjalne badania i eksperymenty z bionadajnikami, aż w końcu przez swoją niewiedzę doprowadzili do katastrofy. Wtedy dopiero Treddenkamp zrozumiał zamiary Komisji i wykorzystując to, że nie wygasły jeszcze ostatnie pożary, skutecznie postarał się powiększyć rozmiary i zasięg zniszczeń. Żałował, że kiedykolwiek zwracał się o pomoc do Komisji Morskiej, że przez dwanaście lat pracował, nie ukrywając swoich osiągnięć. A były one przecież duże.

Już w dwa lata po owej pamiętnej naradzie nad wielkim zbiornikiem akwarium eksperymentalnego wisiał pierwszy modulator Treddenkampa. Kilka głowonogów z pierwszej eksperymentalnej serii zdechło, bowiem zastosowano zbyt wielkie natężenie pola, które zagłuszyło wszelkie instynktowne hamulce. Zwierzęta poddane działaniu biomodulacji początkowo spełniały polecenia wyrzucając na brzeg z dna basenu kamienie, opony samochodowe i stare łańcuchy, potopione tam przez asystentów. Kiedy jednak zabrakło czegokolwiek do wyrzucania, ośmiornice wryły się w muł i szlam na dnie basenu, a potem zaczęły wyrwać kafle i betonowe płyty. Ta ich praca trwała tak długo, aż zwierzęta zdechły z wyczerpania. Po mniej więcej sześciu latach Treddenkamp wynalazł wreszcie odpowiedni system modulacji dostosowany do organizmów ośmiornic.

Drugim znamienym faktem było natomiast to, że właśnie w owym okresie pojawił się w Delaware Bay kapitan Morris, mianowany z ramienia Marynarki nowy zleceniodawca Komisji Morskiej, mający za zadanie przejąć część badań programowych prowadzonych w laboratorium. Od tej chwili Jann Treddenkamp miał zajmować się teorią, zaś kapitan Morris – praktycznym zastosowaniem jego badań.

Już po kilku tygodniach dały się słyszeć w okolicach Delaware Bay pierwsze potężne podwodne detonacje, którym towarzyszyły słupy wytryskującej ku niebu wody. To poddane modulacji ośmiornice wykorzystywano do rozminowywania podwodnych obszarów. Podczas pierwszych tego typu prób ginęły niejednokrotnie całe tuziny zwierząt, jednak potem system modulacji został na tyle ulepszony, że obywało się bez tego typu strat. Zaczynały krążyć pierwsze pogłoski o tym, że Delaware Bay stało się obszarem całkowicie podporządkowanym Marynarce. A jednak profesor Treddenkamp – podobnie jak to często bywa ze znamienitymi uczonymi – wydawał się w to nie wierzyć. Zafascynowany swoimi teoretycznymi badaniami nie zwracał uwagi na to, co w gruncie rzeczy robi kapitan Morris, uczący ośmiornice nie tylko rozminowywania, ale wręcz przeciwnie. Nie zauważał, że dzięki jego wynalazkowi głowonogi umiały już zatapiać statki poprzez otwieranie zaworów dennych, oraz uszkadzać w sposób niemożliwy do naprawienia urządzenia portowe, jak również unieszkodliwiać radiolokatory i przyrządy hydroakustyczne. O tym wszystkim dowiedział się profesor najzupełniej przypadkowo, a ileż jeszcze podobnych „badań” zostało przeprowadzonych przez oficerów tak, że nigdy się o nich nie dowiedział? No cóż, w tym czasie i on, i grupa jego współpracowników pochłonięci byli zupełnie innym zagadnieniem. W efekcie ich pracy przez cały sezon kąpieli-

sko w Miami było najbezpieczniejszą plażą na świecie – ponad osiemdziesiąt ośmiornic strzegło granic plaży przed rekinami, zaś kąpiących się – przed utonięciem. Natomiast rybakom i połowiaczom ostryg i żółwi z Cap Sable wydawało się, że śnią, kiedy widzieli potężne ośmiornice słuchające każdego skinienia ludzi w białych fartuchach, a nawet pomagające we wszystkich połowach. Potem dokonywano prób przeładunków i wydobywania bogactw z zatopionych wraków – i znowu eksperymenty powiodły się wysmienicie. Mądre zwierzęta w lot pojmowały polecenia przekazywane im za pomocą biomodulatorów...

Tu zaznaczyły się już wyraźnie pierwsze rozbieżności celów prowadzonych równoległe badań – podczas gdy kapitan Morris preferował przede wszystkim używanie do prac samodzielnych i energicznych kenionowych ośmiornic z szelfu Hudsona, profesor Treddenkamp wolał poświęcić się pracy z potulnymi i mniejszymi ośmiornicami głębinowymi, po które wyprawiał się swoją łodzią podwodną aż w okolice podmorskiego, północnoatlantyckiego progu skalnego. Wykorzystane do prac zwierzęta trzeba było po jakimś czasie wypuszczać do morza, ponieważ nie nadawały się one do powtórzenia doświadczeń – w trakcie jednego procesu biostymulacji okazywało się, że oddziaływanie modulatora ustępowało samoistnie po kilku miesiącach, a w organizmach zwierząt powstawała jakaś bariera obronna, która powodowała, że głowonogi nie poddawały się powtórnemu napromieniowaniu i reagowały niezgodnie z programem. Ale po pewnym czasie profesor Treddenkamp dokonał pewnego odkrycia, które go zaniepokoiło. Mianowicie spokojne zazwyczaj ośmiornice stawały się, nawet po ustąpieniu skutków modulacji, trochę inne, niż – przed badaniami. Wykazywały wzmożoną pobudliwość, połączoną ze skłonnościami do wędrówek. Co więcej – zaczął się u nich po jakimś czasie swoisty biorezonans. Powracały im przyzwyczajenia nabyte w laboratorium. Jedne z nich strzegły granic swojej gromady (zaczynały bowiem żyć w niewielkich początkowo grupach, co było do tej pory zjawiskiem nieznanym) przed atakami rekinów, inne imitowały stare prace przy połowach ryb i żółwi, jeszcze inne udawały zajęcia przy rozładunku wraków. A co najważniejsze – w każdej z grup coraz wyraźniejszy stawał się podział prac i zadań. A potem małe grupy zaczęły łączyć się w większe...

Profesor żałował, że nie może sprawdzić teraz, co dzieje się wśród jego głowonogów. Daleko za nim pozostało laboratorium w Delaware Bay – siedział obecnie w swoim domu przy Waldensee i na kilkanaście miesięcy przed śmiercią układał sprawozdanie z przebiegu swych prac, przeznaczone do „Kart Naukowych Uniwersytetu Utrecht”. Był tym tak zajęty, iż zaledwie zauważył, że zaczęło się lato. Nawet nie wiedział dokładnie, co w chwili obecnej porabia Marlies. To, że dziewczyna jest bardzo samodzielna zauważył już od czasu śmierci jej matki, a nie chciał w niczym ograniczać jej swobody, wiedząc doskonale, że oprócz samodzielności dysponuje ona dużą dozą zdrowego rozsądku. Pomimo nawału pracy znajdował dla córki trochę czasu, ale było to – wiedział dobrze – zbyt mało. Jak na swój wiek Marlies była osobką wiedzącą i umiejącą zrobić o wiele więcej, niż jej rówieśnice – zaccarowany podmorski świat bardzo oddziaływał na nią, podziaływała również praca ojca. Już po tamtej stronie oceanu zaczynała znać na wylot problemy, które młodzi ludzie po studiach byłiby w stanie zaledwie niejasno pojąć. Po przeprowadzeniu się do ojczyzny, czując zbliżającą się śmierć, zapracowany profesor stracił trochę z oczu swoją córkę – nawet nie byłby w stanie powiedzieć dokładnie, czym ona się zajmuje, kiedy wychodzi z domu. Aż któregoś dnia wyszedł na spacer i zobaczył swoją Marlies wychodzącą na brzeg morza wattowego. Ubłocona, oblepiona szlamem jak nieboskie stworzenie dziewczyna ciągnęła za sobą ośmioramienne, niewielkie zwierzę, zaś za nią po chwili wygramolił się z wody równie umorusany chłopak, niosący coś w rodzaju małego radiotornistra. Dziewczyna podbiegła ku ojcu i powiedziała, wskazując za siebie:

– To jest Peter Skaagen, ojczu. Przyjechał tu na ferie, żeby we własnym zakresie poduczyć się nawigacji wattowej.

– Tak, chciałbym zostać pilotem – dorzucił chłopak.

– Żeby potem przepuszczać wielkie statki przez Kanał Sueski... – zaśmiała się Marlies.

Wszyscy troje znajdowali się w tej chwili niedaleko wąskiego przesmyku wodnego między dwoma piaszczystymi ławicami. Profesor Treddenkamp dopiero teraz uważniej przyjrzał się stworowi trzymanemu przez Marlies i rozpoznał bardzo dobrą, gumową imitację ośmiornicy. Potem ponownie spojrzął na tornister niesiony przez Petera. Początkowo chciał zapytać: „W co wy się tutaj bawicie?” ale sam nawet nie wiedział, dlaczego jego pytanie zabrzmiało zupełnie inaczej:

– No, i jak przebiegła wasza próba?

– Muszę trochę zmienić elektromechaniczne układy wykonawcze – odpowiedział najpoważniej w świecie wcale nie zdziwiony pytaniem Peter. – A poza tym zaskoczył nas przyływ i musieliśmy przerwać.

– Hmm... Gumowe ośmiornice... – zamyślił się Treddenkamp. – To wcale nie jest takie głupie, jak by się wydawało...

– A ja twierdzę, że to zbyt kosztowne – wtrąciła Marlies. – I w dodatku gumowe ośmiornice są mniej sprawne...

– Poczekaj, poczekaj – obruszył się chłopak. – Jeszcze sama zobaczysz, że wcale nie są gorsze od biorobotów...

– Peter ma rację – powiedział profesor. – Zapominasz, Marlies, że naturalne ośmiornice nie znoszą na przykład wody Morza Północnego. Nie mogą tam żyć. A wtedy roboty Petera mogą okazać się niesłychanie użyteczne.

– Skoro tak, to dobrze – zdecydowała się dziewczyna. – Od dziś grupa badawcza Treddenkamp-Skaagen rozpocznie wspólne rozwiązywanie tego problemu...

Profesor Jann Huizen van Treddenkamp uśmiechał się serdecznie nawet wtedy, kiedy już po upływie godziny ponownie zasiadał do swoich notatek.

*

Atomowa łódź podwodna leżała nieruchomo na dnie kenionu Georg Bank, oddalonego o trzysta mil od Bostonu i ponad dwieście od Nowego Jorku. W czasie tych manewrów służyła ona za „nieprzyjacielski obiekt przenoszący głowice jądrowe”, a obecnie skryła się w ciemnościach podmorskiego kenionu przed tropiącymi ją okrętami. Kapitan uciekającego okrętu czuł się tu najzupełniej bezpieczny, kiedy nagle zadzwonił telefon, i radarowiec przekazał mu pilny meldunek o zbliżaniu się ku łodzi jakichś nie rozpoznanych na razie obiektów. Ogłoszono alarm, podejrzewając zbliżanie się jakichś nowych środków wynalezionych ku zwalczaniu obiektów podmorskich – udoskonalonych torped głębinowych czy czegoś w tym rodzaju. Zapalono reflektory i oczom załogi ukazało się nierealne widowisko. U wejścia do kenionu sunęła grupa ośmiornic, która z chwili na chwilę z beładnej gromady formowała się w regularny, równoramienny krzyż. Początkowo nikt nie rozumiał tego dziwnego zachowania się zwierząt, ale wyjaśnienie nadpłynęło po chwili pod postacią olbrzymiego płetwala, który spadł jak piorun z górnych warstw morza, żeby porwać jedną z ośmiornic. Kapitan i załoga łodzi patrzyli z zapartym tchem, jak „nierozumne” bydlęta zamiast rozproszyć się w panice momentalnie zagięły ramiona krzyża do góry i potężnymi mackami oplotły płetwala od ogona po łeb.

W łodzi podwodnej widok ten wywołał ogromne zdziwienie – zachowanie się ośmiornic nosiło wszystkie cechy zorganizowanej i przemyślanej działalności. A na pokładzie łodzi przypadkowo znajdował się podporucznik korpusu naukowo-badawczego, który zetknął się kiedyś z badaniami profesora Treddenkampa. Skojarzył on sobie postępowanie ośmiornic z nauką w laboratorium i rozumiał, że są to zapewne polipy wypuszczone po próbach jako nie nadające się do kontynuacji badań. Obecnie nikt nie był w stanie ocenić zmian w rozumowaniu ośmiornic tym bardziej, iż żadnego z tych zwierząt nie poddano obserwacji, ale wypu-

szczono je na wyraźny rozkaz kapitana Morrisa natychmiast po stwierdzeniu niezdolności do dalszego wykonywania pracy.

Lecz niewiedza ta nie trwała zbyt długo. Wkrótce po zdarzeniu mającym miejsce obok łodzi podwodnej zauważono inne znaki ostrzegawcze. Już w kilka dni potem gruchnęła po całej flocie wiadomość, że do lichtugi wypełnionej mrożonymi rybami wtargnęło stado ośmiornic, które otworzyły wentyle zbiorników pływowych i zatopiły obciążony nadmiernie statek. Jeszcze inne meldunki z późniejszych dni donosiły o napadach ośmiornic na kutry rybackie i żaglówki, oraz o uszkodzeniu kilkudziesięciu radioboi, przez co kilkanaście statków zamiast trafić do portów wpakowało się na przybrzeżne skały. I we wszystkich wypadkach dało się stwierdzić, iż sprawcami były ośmiornice z kenionu Georg Bank...

Światowa opinia publiczna, poruszona uprzednio kilkunastoma wypadkami tragicznymi w skutkach, wielkich trzęsień ziemi, oraz ujawnionymi przypadkami przekroczenia umów i porozumień rozbrojeniowych niezwykle ostro i żywo zareagowała na wieść o inwazji ośmiornic.

Zmuszona do maksymalnie szybkiego działania Komisja Morska widziała tylko jedno wyjście z sytuacji – poddać biomodulacji kilkaset ośmiornic, które miałyby za zadanie zniszczyć zbliżające się ośmiornice uwolnione niebacznie spod kontroli...

*

Profesor Treddenkamp przypominał sobie podczas tych kilku ostatnich miesięcy, jak to w końcowym okresie pobytu w Delaware Bay z zepsutego łącza poczty pneumatycznej kapsułka, przeznaczona dla sektora drugiego laboratorium, skręciła w przewód wiodący wprost na jego biurko. Początkowo zamierzał oddać ją właściwym adresatom, ale potem dostrzegł na pakiecie napis „ściśle tajne”. Co mogłoby być ściśle tajnego w badaniach, które sam prowadził? Podejrzał wprawdzie, że Morris prowadzi za jego plecami jakąś ożywioną działalność, ale dotychczas sądził, że tamtemu chodzi po prostu o objęcie jego stanowiska kierownika laboratorium. Tak więc Treddenkampowi zdarzyła się okazja poznania podłoża tego, co czynił Morris.

W miarę czytania owego rękopisu, podpisanego przez Morrisa, coraz lepiej zdawał sobie sprawę z tego, ku czemu kapitan Morris zmierza. Dostatecznie spokojnie czytał o uczeniu ośmiornic działań o charakterze unieszkodliwiania urządzeń technicznych, bo było to przecież niezbyt istotne, ale nagle zerwał się od biurka i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. W sektorze numer dwa rozpoczęto eksperymentowanie na ludziach!

Profesor doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że za jakieś kilkadziesiąt lat – wraz z rozwojem bioniki oraz nauk społecznych – będzie można podejmować pierwsze próby biomodulacji skierowane ku ulepszeniu cech ludzkiego charakteru. Nie podejrzewał jednak, że oto znajdzie się ktoś, kto jego pomysł wykorzysta w celach militarnych. Sam fakt, że bez jego wiedzy założono laboratorium hipnometryczne w Fort Fox nie poruszył go nawet, ale to, że program badań obejmował doświadczenia na umysłowościach ochotników ze wszystkich formacji wojsk lądowych, morskich i powietrznych...

Treddenkamp pomyślał smutnie, że na każdego naukowca przychodzi taki czas, że jego odkrycia wykorzystywane są przeciwko ludzkości. Przypominał sobie teraz opowieść o Leonardzie da Vinci – opowieść, która mogła być tylko legendą, ale równie dobrze mogła być prawdą. Podobno mistrz Leonardo w swoim dzienniku zamieścił notatkę, która brzmiała tak:

„Mailand 1502. Mój wielki plan jest już gotowy – konstrukcja łodzi, która może pływać pod wodą. Prawdopodobnie będę musiał jeszcze co nieco udoskonalić i na nowo obliczyć podczas prób praktycznych, ale nie ulega wątpliwości, że łódź taką można bardzo łatwo zbudować. Siedzę teraz i myślę o korzyściach, jakie wszyscy marynarze odnieśliby z podobnego odkrycia – bezpieczni od burz i wichrów będą mogli pędzić pod wodą bezpiecznie i spokojnie

na podobieństwo ryb. Nagle jakaś okropna wizja przerywa moje rozmyślenia. Jeszcze przez chwilę zwlekam, ale potem sięgam po swoje plany i przedzieram je na części. Wyobraziłem sobie oto, jak ludzie w moich podmorskich nawach podpływają pod inne okręty i uderzeniami od spodu niszczą, dziurawią ich kadłuby, topią przerażonych marynarzy nie spodziewających się żadnej groźby. Dlatego zostawię tylko notatkę, iż zbudowanie takiego statku powinno być możliwe. Kiedyś ludzie przecież zmagają się i przestaną walczyć ze sobą. Żył już wtedy nie będę, ale już teraz cieszę się na myśl, że moje dzieło nie będzie przez nikogo nadużywane.”

Profesor Treddenkamp ocknął się z zamyślenia. Wstał, podszedł do szafki i wyjętym z niej aparatem zrobił kilka fotokopii dokumentu, który przypadkowo wpadł w jego ręce...

*

Frachtowy katamaran „Bratsk 4” ciągnął za sobą podwójny ślad na morzu. Obserwator na jego pokładzie wyliczył, że w ciągu trzech dni statek osiągnie port na Sachalinie. Tym razem pobyt w porcie miał trwać dłużej, niż zwykle, ponieważ stan urządzeń siłowych katamaranu wymagał dłuższego pobytu w doku, a to oznaczało opóźnienie w wykonaniu zadania. A ponadto narost glonów i muszli na zanurzonej części kadłuba okazał się większy od przewidywanego. Z tego właśnie względu przeciętna szybkość podróży statku okazała się o wiele mniejsza od przewidywanej, a zużycie paliwa zastraszająco wzrosło ponad normę.

Około południa statek zmienił kurs i skierował się w stronę brzegu, bo kapitan otrzymał lakoniczny telegram:

„Dok zajęty, spróbujcie zawinąć do wybrzeża przy stacji doświadczalnej Hydro-Test opodal Władywostoku”.

Co to była za stacja, domyślili się oficerowie statku w ciągu kilku miesięcy, choć marynarze nadal uważali plotki o ośmiornicach spełniających wszystkie zadania wykwalifikowanych nurków jedynie za legendę. Faktem jednak było, iż od pewnego czasu w biuletynach naukowych najrozmaitszych akademii owe plotki wymieniane były niejednokrotnie i stanowiły potwierdzenie postępu prac w dziedzinie hipnometrycznej bioniki. Dlatego też wiadomość o zmianie kursu stała się dla załogi wręcz sensacją. Gdy „Bratsk” wpłynął wieczorem do zatoki, wszyscy wolni w tej chwili od służby marynarze stali przy relingach wypatrując ośmiornic, które powinny według nich zapełniać po brzegi okoliczne morze. Lecz spragnieni sensacji nie dostrzegli ani cienia ośmiornicy w wodzie, więc z tym większym rozczarowaniem przyglądali się budynkom na brzegu i małemu molu, które było ze wszech stron otoczone bojami i pontonami. W tym tle zapomnianej małej stacji hydrologicznej – czy jakiegokolwiek innej – obco wyglądał jedynie wielki i nowoczesny, stutysięczny dok, przy którym zdecydowanie brakowało zwykłych urządzeń portowych, takich, jakie widzieli w innych stocznicach. Wokół tego doku kilka statków stało na redzie, ale ich załogi były widocznie na lądzie, bo nikogo nie było widać na pokładach. Z tym większą więc ciekawością marynarze z „Bratska” przyglądali się mężczyźnie, który podpłynął motorówką ku ich trapowi, zacumował, a teraz właśnie stał na ich pokładzie.

Borys Sledow – naukowy pracownik tej stacji – przyzwyczajony był do tego, że wszyscy marynarze wszystkich zawijających do stacji statków przyglądają się mu wnikliwie. Właściwie tylko on uważał nową metodę czyszczenia kadłubów za najzupełniej naturalną. Wiedział zresztą z doświadczenia, że mimo odczytów wygłaszanych dla załóg zawijających do stacji statków, wśród marynarzy i tak krążyły najzupełniej niedorzeczne opisy tego, co się na stacji dzieje.

Westchnął więc tylko widząc pełne ciekawości spojrzenia marynarzy z „Bratska” i zwrócił się do czekającego nań drugiego oficera:

– Proszę polecić, żeby na czas pobytu w zatoce trap był stale wciągnięty, pozostałe liny cumownicze zwinięte, a wszystkie iluminatory, schodnie i grodzie wodoszczelne jak najdo-

kładniej zamknięte. Przy służbie kotwicznej trzeba postawić uzbrojonych wartowników. Kąpiel w zatoce jest surowo zabroniona. Wprawdzie te kilka tysięcy głowonogów znajdujących się w naszym akwenie jest pod ścisłą, fachową kontrolą, ale wymagają tego względy bezpieczeństwa. Załoga w ciągu najbliższej godziny zostanie helikopterem przetransportowana na brzeg i tam spędzi noc. Aha. I proszę mi jeszcze powiedzieć, gdzie mogę znaleźć kapitana...

Tymczasem z wody zaczynały już dolatywać pierwsze odgłosy rozpoczętej przez ośmiornice pracy – ostatnio zastosowano cokolwiek za duże natężenie pola modulacyjnego, więc głowonogi rzuciły się do pracy od razu, od kiedy tylko w okolicy doku znalazł się nowy obiekt wart zainteresowania. Odgłos, dla Borysa tak zwyczajny i codzienny, musiał wydać się marynarzom niesamowity, bo nasłuchiwali czujnie, pochyliwszy głowy. Jak wszyscy ludzie współczesnego świata, przyzwyczajeni byli do techniki w każdym calu zastępującej człowieka, tu zaś mieli do czynienia z czymś, co zdecydowanie poza ramy tej techniki wykraczało.

Ich zdziwienie było jednak o wiele większe następnego dnia, kiedy zobaczyli, że w ciągu jednej nocy oba kadłuby katamaranu zostały oczyszczone z utrudniającego podróż narostu...

*

Po zrobieniu ostatnich zdjęć profesor Treddenkamp chwycił słuchawkę interfonu i poprosił kapitana Morrisa do swojego gabinetu – w ciągu wielu lat istnienia laboratorium w Delaware Bay nie zdarzyło się jeszcze, by wyznaczony przez władze kierownik tego obiektu był tak ostro i bez możliwości dyskusji przywołany do naukowego dyrektora laboratorium.

Z niesłuchaniem kwaśną miną Morris wszedł, usiadł, lecz momentalnie zerwał się z miejsca i lodowatym tonem zapytał:

– Skąd pan wziął te papiery? – kiedy Treddenkamp podsunął mu pod nos zdobyte dokumenty.

– Nieważne – mruknął profesor. – Ważne natomiast, że nie zgadzam się na kontynuację tego typu badań prowadzonych przez was na ludziach.

Morris opanował się momentalnie. Wziął dokumenty z biurka, podpalił zapalniczką i kiedy na podłodze dopalały się ostatnie szczątki kompromitujących pism, ironicznie zapytał:

– To o czym właściwie pan mówił, profesorze? Nie bardzo pana rozumiem...

Treddenkamp uśmiechnął się równie uprzejmie jak kapitan:

– Ja? O niczym szczególnym... Tylko o tych zabawnych dokumentach, których fotokopie znajdują się już poza moim laboratorium...

W pierwszej chwili wyglądało na to, że Morris jest niezdecydowany, czy skoczyć do telefonu, czy do gardła profesora. Potem opanował się i przez zaciśnięte zęby powiedział:

– To będzie pana drogo kosztowało, Treddenkamp...

– Bynajmniej. Natychmiast zwracam się do Komisji Morskiej, aby powiadomić ją o pańskich nielegalnych i niedozwolonych eksperymentach. A jeżeli będzie trzeba, podam tę wiadomość Radzie Rozbrojeniowej i prasie całego świata.

– Jeżeli pan tak twardo obstaje przy swoim stanowisku – powiedział Morris – to martwię się trochę o zgodę między panem a naszym rządem. Nie chciałbym być zmuszony do energicznego przeciwdziałania, dlatego dam panu jeszcze czas na zrewidowanie swego poglądu...

Treddenkamp chciał natychmiast opuścić laboratorium na znak protestu, ale zrozumiał grożące niebezpieczeństwo. Doszedł do wniosku, że o wiele rozsądniej będzie tu, na miejscu, podjąć walkę o swoje prawa odkrywcy, mogącego dysponować swoim wynalazkiem.

– Tak czy tak miałem z panem dzisiaj porozmawiać – kontynuował Morris – i zapoznać pana z postanowieniami naszych władz odnośnie wykorzystania największego promiennika do poszczucia na siebie ośmiornic, które już sprowadziliśmy do walki z tymi, co udawały

niezdolność do dalszych prac.

W tym momencie Jann Huizen zdał sobie sprawę, że oto sam daje mu w ręce upragnioną szansę skończenia nielegalnych badań raz na zawsze. A w każdym razie do ostatecznego ukończenia procesu rozbrojenia... Było to o wiele więcej, niż mógłby uzyskać, dochodząc swoich praw drogą poprzez władze tego kraju od instancji do instancji, od jednego kapitana Morrisa do drugiego...

Dlatego też pozwolił się uspokoić, wysłuchał uważnie projektu kapitana, a nawet podsunął mu kilka nowych pomysłów dotyczących planowanej walki ośmiornic.

Morris doszedł do wniosku, że profesorowi przeszła już złość. Głupio wyszło z tymi papierami, ale na przyszłość będą się o wiele lepiej zabezpieczać, by tej wagi dokumenty nie trafiały w niepowołane ręce.

Tymczasem właściciel owych „niepowołanych rąk” zdecydował się już, że w ciągu najbliższego czasu z laboratorium w Delaware Bay nie pozostaną nawet ruiny, w których mógłby zamieszkać przygodny włóczęga. On sam zaś zabierze wyniki swojej pracy i przekazuje je uczynom, co do których będzie miał pewność, że nie nadużyją ich na zgubę ludzkości. Tym razem postanowił ująć swe badania od zupełnie innej strony...

*

Kierownik stacji „Silawar 1” Grigorij Rustikow wyszedł z biurka machając kartką papieru.

– Pismo tym razem skierowane jest nie tylko do mnie – powiedział. – Komitet Międzynarodowy składa życzenia z okazji dziesięcioletniej działalności naszej stacji na oceanicznej boi, oraz życzy dalszych sukcesów, takich jak do tej pory. Aha, jest jeszcze radiogram. Od pani doktor van Treddenkamp. Z polecenia Rady Rozbrojeniowej zatrzymała się na razie na niemieckiej farmie morskiej na Atlantyku i pyta teraz, czy nie mogłaby nam pomóc przy wykonaniu specjalnego zadania. Co byś powiedział, Borys, gdybym polecił ci pojechać i podpisać z nią kontrakt? Słyszałem, że pani doktor jest młoda i ładna...

Borys Sledow roześmiał się.

– Skoro tak, to lecę tam jeszcze dziś. – Ale potem spowaźniał i zapytał:

– Mimo wszystko wydaje mi się to trochę dziwne, że Rada poleciła jej pobyt na Atlantyku...

– Sam tego nie rozumiem. Co może mieć wspólnego nasza stacja z działaniami Rady Rozbrojeniowej? Chodzi zdaje się o jakąś tajemniczą sprawę, więc dopiero na miejscu będziesz mógł osądzić, czy i jak możemy pomóc. Aha! Doktor Treddenkamp jest znakomitym fachowcem, więc czasem nie wygaduj głupstw – Grigorij żartobliwie pogroził przyjacielowi palcem. – Czytałem jej rozprawę naukową o związkach bioniki z cybernetyką. Wiesz co? Najlepiej zabierz ze sobą nasz nowy model przenośnego modulatora i pokaż jej. Możliwe, że da nam kilka dodatkowych wskazówek, jak moglibyśmy go ulepszyć.

– W porządku. O ile cię znam, przygotowałaś już dla mnie wszystkie niezbędne do wyjazdu papiery.

– Widzę, że znasz mnie całkiem nieźle. Proszę...

*

Marlies siedziała na relingu i przyglądała się, co porabiają Traxel i Arbazis, które wybrały się na niewielką wycieczkę. Na farmie panował zupełny bezruch i spokój – stępiły się wielkie noże na walcach, służących do przemiału wyłowionych z morza wodorostów. Marlies zazdrościła trochę kierownikom technicznym fabryki, którzy przerwę w pracy aż do czasu wymiany stępionych ostrzy traktowali jak urlop i spokojnie opalali się na rozstawionych

leżakach. Ona musiała przede wszystkim myśleć o zadaniu powierzonym jej przez Radę Rozbrojeniową.

Nauczyła się dużo od swego ojca, ale kiedy umarł, miała dopiero siedemnaście lat. Wiele od tego czasu zapomniała, a teraz zapewne przydałyby się jej bardzo owe zapomniane wiadomości. Niedawno poczyniła pewne, godne uwagi obserwacje: od niedawna niektóre ośmiornice, zamiast jak do tej pory żyć w załomach i jamach skalnych na grzbietach podmorskich gór, przeniosły się do najwyższych warstw...

Właściwie mogło tu chodzić przede wszystkim o wypuszczone z Delaware Bay octopy i architypy, na których najczęściej prowadzono badania. Powróciły one w swoje strony, ale najwidoczniej utraciły przez czas spędzony w niewoli swoją zdolność do życia w oceanicznych głębinach. W stosunku do ludzi ośmiornice te zachowywały się w gruncie rzeczy obojętnie i pokojowo, pod warunkiem, że się ich nie drażniło. Natomiast olbrzymie niebezpieczeństwo dla ludzkiego życia przedstawiały ośmiornice kenionowe z Georg Bank, które swego czasu modulował kapitan Morris. Dowiodły tego liczne wypadki napadów ośmiornic na nie spodziewające się niczego złego statki i ich załogi.

Ze wszystkich obserwacji Marlies wyciągnęła pewien interesujący wniosek. Postawiła mianowicie hipotezę, że ośmiornice posiadają nie tylko uwarunkowaną biologicznie zdolność regeneracji utraconych części ciała, ale mogą też wytwarzać w swoich organizmach blokadę przeciw powtarzanej modulacji.

Ale na razie najważniejszy był problem wędrówek ośmiornic i ustalenie, gdzie w tej chwili znajdują się ośmiornice Morrisa...

Marlies podskoczyła raptownie – w trakcie rozmyślań zupełnie zapomniała o obserwacji Traxel i Arbaxis. Powinny przecież powrócić już ze swej wycieczki.

Dziewczyna popędziła ku słuzie, którą zwykle ośmiornice dostawały się do przeznaczonego dla nich zbiornika, i tam, w falującej niespokojnie wodzie zobaczyła swoje podopieczne otoczone dookoła ośmiornicami żyjącymi na swobodzie. Wyglądało to tak, jakby toczyła się tutaj jakaś burzliwa narada. Po chwili ruszył ku niej Traxel – po drgających, wibrujących nie normalnie ramionach ośmiornicy Marlies poznała, że zwierzę opanował jakiś nieoczekiwany niepokój. Potem w owych drganiach wyłowiła znany jej rytm, mówiący, że gdzieś w pobliżu znajdują się wędrownie głowonogi. To był właśnie ten sygnał, na który doktor van Treddenkamp od kilku tygodni niecierpliwie czekała...

*

Borys Sledow czekał w porcie lotniczym na Maderze na przyłot wynajętego wodolotu, który miał dowieźć go do farmy na Morzu Sargassowym. Grał właśnie w szachy z jednym z techników gdy wszedł dyspozytor portu i powiedział coś kilku siedzącym tu ludziom z obsługi. Tamci zerwali się z miejsc i natychmiast wyszli. Potem dyspozytor podszedł nieoczekiwanie do stolika grających i odezwał się na pół żartobliwie:

– Senhor Sledow... Jeżeli chce pan szybko dostać się na Kelb-2, to ma pan okazję. Może pan polecieć z nami i skoczyć ze spadochronem. Za godzinę startujemy na specjalny rozkaz Rady Rozbrojeniowej. Pan zajmuje się trochę ośmiornicami, prawda? Czeka tam na pana dość ciekawe zajęcie.

– Jakież?

– Zauważono wielkie skupiska wędrownych ośmiornic.

Dookoła stolika zebrała się tymczasem grupa lotników, słuchających z niedowierzaniem rewelacji przyniesionych przez dyspozytora. Gdyby nie ów rozkaz Rady, uznano by całą tę historię za wymyśloną przez człowieka, który dostał porażenia słonecznego – tak nieprawdopodobnie brzmiała relacja o walce ośmiornic na morskiej farmie, przekazana za pośrednictwem radiostacji na Teneryfie.

Borys Sledow wstał od swego stolika...

*

Marlies van Treddenkamp forsowała kipiel przyboju, zalewającą śliski i bez tego pokład głównego pontonu farmy.

Okazało się, że prawidłowo zinterpretowała zachowanie się Traxel. Od tego czasu niemal nie spała, lecz pracowała gorączkowo nad odpowiednim do sytuacji przeprogramowaniem swoich gumowych potworów.

– Co się stało? – krzyknął Peter Skaagen, kiedy ociekająca wodą Marlies weszła na mostek kapitański. Ze zdziwieniem zauważyła, że oficer przyciska ucho do ekranu, na którym wyraźnie widać było twarz poruszającego ustami człowieka, ale nie słychać było jego głosu przez piekielne świsty i trzaski.

– To wina tego cholernego sztormu – zaczęte mówić Marlies. – Z jednej strony pomógł nam, bo spędził wszystkie ośmiornice Morrisa w okolice far...

– Tu maszynownia! – przerwał jej czyjś głos z interfonu.

– Uruchomić pompy! – krzyknął Peter. – Woda wdarła się do sektora siódmego w pontonie C!

Potem ponownie pochylił się w stronę ekranu wołając:

– Zachować spokój! Zabarykadować grodzie wodoszczelne. Możecie je nawet zaspawać, jeśli dzięki temu macie się czuć bezpieczniej! Zatoniecie nie grozi wam na pewno!

Potem odetchnawszy głęboko obrócił się w stronę czekającej dziewczyny:

– Marlies, to cholernie ważne. Otworzył się wentyl pływowy w siódmym sektorze. Jak do tego doszło, do diabła!?

– To musiała zrobić któraś z ośmiornic – odpowie działa Marlies. – Przecież mówiłam ci już, że powinniśmy być na takie przyjemności i niespodzianki przygotowani. Znasz przecież historię polipów Morrisa...

Peter westchnął. Czuł się zdecydowanie nieswojo.

– Nigdy się z tymi cholernymi bydlętami nie uporamy – powiedział. – Trzeba było od razu nadać S-O-S. Niezbyt po prostu rozumiem ten twój cudowny plan obrony. Zaufałem ci ślepo, ale tu chodzi przecież o całą farmę i o życie tych ludzi na pokładzie – oparł się ciężko o autopilota i zapatrzył się ponuro na szalejące morze. Marlies nie odpowiadała...

Po chwili ponownie zgłosił się człowiek z maszynowni:

– Pompy uruchomione. Mniej więcej za dwie godziny...

Ostry, przenikliwy sygnał zagłuszył jego ostatnie słowa, na tablicy kontrolnej migąło jedno ze świateł, opatrzone napisem: „Śruba numer 4”.

– Czyżby znowu te polipy z piekła rodem? – Peter obrócił się ku dziewczynie.

– Prawdopodobnie.

– Jeżeli pójdzie tak dalej, to staną wszystkie śruby i utracimy możliwość trzymania się pod wiatr. Chyba sama wiesz, co się tutaj będzie wtedy działo...

– Za cztery minuty wydaj rozkaz „stop” wszystkim maszynom. Kotwy powinny przez jakiś czas utrzymać statek bez wspomaganie śrubami, a przez to umożliwisz Traxel i jednej z gumowych ośmiornic usunięcie zagrożenia.

– Aha! Za mniej więcej dziesięć minut będziemy mieli gości z Madery. Pomoc i zrzut broni, którego zażądałem rano.

– W porządku. Wezmę swój ręczny modulator i oczyszczę kawałek deku. Nie byłoby dobrze, żeby polipy zniszczyły broń.

*

Samolot musiał kilkakrotnie okrążyć farmę, żeby z jego pokładu ustalono najlepszy kąat podejścia do zrzutu. Po testach przeprowadzonych za pomocą worków z piachem na pokład farmy runęły pierwsze opakowania zawierające broń, lekarstwa i żywność. Tylko dwa tępo zakończone walce zamiast na dek spadły do morza. Kiedy na pokładzie farmy sądzono, że samolot już odlatuje, ten zawrócił raz jeszcze i spod jego kadłuba oderwał się kolejny zrzut – przezroczysta, balonowa kabina, w której siedział jakiś człowiek...

Borys Sledow o wiele szybciej, niż myślał, poczuł uderzenie swojej kapsuły o pokład statku i jednocześnie szarpnięty wszystkie nerwy ból zatargał jego prawą nogą. Widocznie jakiś silniejszy podmuch odchylił stożkową kabinę ładowniczą od pionu tak, że upadła trochę bokiem, a siła uderzenia była tak wielka, że szarpnięty nią Borys wykręcił sobie stopę, zaklinowaną między skrzynką z amunicją a ścianą kapsuły. Po chwili ból minął i Borys pomyślał z ulgą, że jednak uderzenie nie było tak groźne, jak mu się w pierwszej chwili wydawało – wszystkie ścięgna miał trochę naciągnięte, ale całe...

Rozpruł nożem powłokę kapsuły, wyszedł i...

Niespodziewany przechył pokładu obrócił go trochę, tak, że Borys znalazł się niemal nos w nos z wielką ośmiornicą, sunącą powoli w stronę relingu. Gorączkowo sięgnął po swój, zawieszony na piersiach, modulator i z przerażeniem zobaczył, że zwierzę wcale nie reaguje na wyemitowane przez niego sygnały. W tej samej chwili ktoś zawołał:

– Halo! Gumową ośmiornicę mógłby pan zostawić w spokoju. Ma za zadanie pilnować wejścia do radiostacji!

Werner Wagenburg podszedł, schwycił utykającego Sledowa pod ramię i wciągnął go do kajuty radiowej. Po chwili wywołał mostek kapitański. Na ekranie pojawiła się twarz Petera Skaagena, który pytał:

– Halo, Werner! Wszystko w porządku?

– Nie bardzo. Facet podczas skoku złamał sobie co najmniej pięć żeber! Takie lądowanie w kapsule jest cholernie niebezpieczne!

Borys uśmiechnął się pod nosem, potem przechylił mikrofon ku sobie i zapytał:

– Czy wasz radiotelegrafista stale ma takie poczucie humoru? To jest jeszcze niebezpieczniejsze, niż moje lądowanie. Oczywiście nic mi się nie stało. Moje nazwisko Borys Sledow. Jestem pracownikiem naukowym radzieckiej stacji oceanograficznej Silawar-1 na Pacyfiku. My także zajmujemy się tam ośmiornicami. Dlatego przyleciałem...

– Moje nazwisko Peter Skaagen. Pierwszy oficer Kelb-2. Ponieważ nasz kapitan jest chory, więc czasowo pełnię jego obowiązki. Czy można znać cel pańskiego przyjazdu?

– Oczywiście. Pragnąłbym skontaktować się z doktor Treddenkamp...

*

Z głośników hydrofonów wydobywały się dziwne szmery i trzaski.

– Co to jest? – spytał któryś z mężczyzn z obsługi technicznej.

– Imitacja głosu kaszalotów – powiedziała Marlies. Polipom Morrisa wydaje się w tej chwili, że są ze wszystkich stron otoczone wielorybami. Widzicie, jak wyłażą na pokład? Niech mi się tylko nikt nie waży strzelać w tej chwili. Jeżeli je spłoszycie, cały nasz plan będzie na nic. Najważniejsze teraz to spędzić je w zwarte stado, a potem skończymy z nimi za jednym zamachem.

– Czy Traxel i tamta gumowa już wróciły? – zapytał Peter. – Już najwyższy czas. Śruby od dawna powinny się obracać...

Zaniepokojona Marlies uniosła głowę.

– Racja. Sama nie wiem, co się stało. Pójdę do śluzu i zobaczę...

Trzy minuty później wróciła.

– Śruby wolne. Możecie je uruchomić.

Trzymała teraz w ręku pożółkłą kartkę, opatrzoną napisem:
„Kod modulacyjny stosowany przez kapitana Morrisa i zakodowany sposób demodulacji.”

Potem następowały długie szeregi cyfr, zakończone zamaszystym podpisem profesora Janna Huizen van Treddenkampa...

Ojciec dał jej to na parę dni przed śmiercią, mówiąc że jest to jedyna możliwość naprawienia jego błędu. I miało się to stać właśnie teraz – dziesięć lat po śmierci profesora.

W tej chwili oba przenośne modulatory – Marlies i Borysa Sledowa – były już odpowiednio nastrojone. Jeszcze chwila i z głośnika padł meldunek: imitowany pierścień kaszalotów dookoła farmy zamknięty!

Marlies popatrzyła na zgromadzone na pokładzie głowonogi, które przyniosły ludziom tyle zła wbrew zamierzeniom jej ojca. Przez chwilę żałowała serdecznie, że tam, na pokładzie wśród spłoszonych polipów, które miała w tej chwili unieszkodliwić, nie ma kapitana Morrisa...

A potem powiedziała do Borysa:
– Zaczynamy...

BARIERA KSIĘŻYCOWEGO PYŁU

Ziemia ma miliardy mieszkańców. Znaczy to, że jest na niej mniej więcej tyle samo odbiorników stereowizyjnych, które dzięki systemowi sprzężonych przekaźników satelitarnych na orbitach Ziemi mogą patrzącemu ukazać wszystko, co aktualnie dzieje się w granicach opanowanego przez ludzi kosmosu. Na kilkunastu zakresach nadaje się jednocześnie wszystko – od wiadomości codziennych, aż po programy rozrywkowe. Każdy ogląda to, co interesuje go najbardziej... Lecz przyszedł taki dzień w historii, że wszyscy co do jednego mieszkańcy Ziemi i jej okolic dokładnie o tej samej godzinie włączyli swoje odbiorniki. Co więcej – ustawili je dokładnie na ten sam program.

A potem z zapartym tchem patrzyli, jak nad rozległą kotliną krateru w księżycowym porcie kwarantanny SELENA ukazał się kulisty, świecący przedmiot. Działo się to podczas księżycowego dnia, lecz nie z powodu jaskrawych promieni słońca, zalewających okoliczne skały, za statkiem nie było widać ani śladu odrzutowych płomieni. Mimo to ów dziwny dla ludzkiego oka pojazd obniżył się wyraźnie i zdecydowanie powiększył. Było go widać już tak dobrze, że można w nim było rozpoznać dzieło istot, które swoją psychiką i techniką są od poziomu ludzkiej wiedzy bardzo odległe. Kształt statku był zdecydowanie obcy.

Ale na jego pokładzie byli ludzie – dwunastu członków ekspedycji Trans-Sol, którzy ponad trzydzieści lat temu polecili do sąsiedniego systemu słonecznego Epsilon Eridani na trzech wypróbowywanych podczas tego lotu, wadliwie działających rakietach fotonowych. Misja była uwieczniona czymś więcej, niż tylko powodzeniem – kosmonauci spotkali u celu swej podróży rozumne istoty, od których otrzymali na drogę powrotną ogromny gwiazdolit. Właśnie tę olśniewająco białą kulę...

Lekarz Klaus Heise stał obok profesora Halldorna i obaj w napięciu obserwowali potężne, teleskopowe łapy gwiazdolotu coraz bardziej zbliżające się do powierzchni księżycowego gruntu. Na ekranie wyglądało to tak, jakby statek miał zetknąć się z podłożem lada moment, ale w rzeczywistości dzieliła go od Księżyca jeszcze spora odległość. Statek zwalniał wyraźnie – coraz bliżej i łagodniej podsuwało się ku niemu dno krateru – aż wreszcie pierwsze pola nieznaną energią dotknęły podłoża. Pod białą kulą zakotłowały się

szalone wiry pyłu i kamieni, potem poderwany żwir trysnął szerokimi kaskadami na boki. Klausowi wydawało się, że wyją i skowyczą sprężone gazy, strzelające z ukrytych pod kadłubem, niewidocznych dysz, ale wiedział, że to tylko złudzenie. Ten dziwny rodzaj napędu wcale nie wymagał zastosowania konwencjonalnego paliwa podczas lądowania. Ten statek nie posiadał reaktora, akceleratorów ani dysz.

Dookoła lądującego gwiazdolotu budził się ożywiony ruch – zaczynały grać basem pierwsze silniki opancerzonych, opatrzonych wielkim czerwonym krzyżem transporterów, ruszających w stronę lądowiska.

W podziemiach portu SELENA – w mieście położonym na zboczu krateru Area – profesor Halldorn nerwowo miał w ręku otrzymany przed czterema dniami radiotelegram. Tuż przed wejściem na orbitę ponownie zgłosiła się do bazy transsolarna ekspedycja. Ostatni członek załogi – kosmonautka Pal Torsen – przekazała następujący meldunek:

– „Mnie również ogarnęła gorączka. Przypinam się mocno do fotela i włączam swój system krwionośny do obiegu automeda”.

Tylko tyle. Ani słowa, ani próby wyjaśnienia, co to właściwie może być za choroba. Czyżby była to zaraza pochodząca skądś z gwiazd, taka, że nie było dla niej nazwy w żadnym ludzkim języku? Albo coś jeszcze gorszego...?

Po tym ostatnim meldunku AZYMUT (bo tak ludzie z transsolarnej ekspedycji ochrzczili swój nowy, kulokształtny statek) zmierzał wprost ku Księżycowi nie reagując na żadne radiowe nawoływania i ostrzeżenia. A była to przecież najtrudniejsza, najbardziej skomplikowana część drogi, która normalne ludzkie statki zmuszała do wykonywania zawiłych i szybkich manewrów, by – czasem wręcz w ostatniej chwili – uniknąć kolizji z jakimś zabłąkanym wrakiem czy satelitą, który wbrew obliczeniom zboczył o paręset kilometrów ze swojego kursu. Najpojemniejsze komputery na Ziemi i Księżycu współdziałały wtedy synchronicznie, ustalając dla statku optymalną trajektorię lotu, dyktując załodze każdy skręt i konieczne przyspieszenie. Tak więc zagadką graniczącą z cudem było dla techników i inżynierów z portu kwarantanny – nie wspominając już o ziemskich uczonych – jak poruszający się po linii prostej statek prowadzony przez swój pokładowy komputer, bez porozumienia i pomocy ze strony czuwających bez przerwy namiarowców z Centrum Koordynacji, zdołał przebyć tę trasę bez najmniejszego skrętu i wylądować dokładnie pośrodku krateru Area.

Przed czterema miesiącami gwiazdolot wyłonił się z głębi kosmosu i gnał w stronę Ziemi, wysyłając jedynie sygnały pozycyjne, aż wreszcie przyszła pierwsza krótka wiadomość od Pal Torsen; wiadomość mówiąca o gorączce, nazwanej przez członków ekspedycji „gorączką SIXTA”. Nieliczni, jeszcze przytomni uczestnicy wyprawy opisywali symptomy i przebieg swoich dolegliwości. Lecz „zdalne” diagnozy, stawiane przez najlepszych lekarzy Ziemi, wciąż nie mogły ukazać jakiegoś jednolitego obrazu choroby, który choć w części pasowałby do któregośkolwiek ze znanych na naszym globie schorzeń. W efekcie nie można było poczynić żadnych konkretnych przygotowań, a jedynie ogłosić ogólny alarm biologicznego zagrożenia. Z rozpoczęciem akcji ratunkowej trzeba było czekać aż do przybycia eridańskiego gwiazdolotu – o ile oczywiście po lądowaniu na ratunek jeszcze nie byłoby zbyt późno.

Pokładowy komputer AZYMUTU – Sem 3 Set – początkowo próbował – według przekazanych przez Pal informacji – leczyć chorych albo przynajmniej zminimalizować zagrożenie ich życia. W końcu jednak musiał oddać ludzi pod nadzór automedów, a te zamknęły kosmonautów w komorach hibernacyjnych, aby poprzez zredukowanie tempa funkcji życiowych ich organizmów spowodować opóźnienie rozwoju choroby. Wydłużyło to niemal trzykrotnie czas do ostatecznego kryzysu, ale w tej chwili nie było już wiadomo, czy na pokładzie gwiazdolotu są jeszcze jacyś żywi ludzie. Dlatego doktor Klaus Heise z takim napięciem obserwował lądujący statek i dlatego odetchnął tak mocno, kiedy AZYMUT stanął nareszcie na księżycowym gruncie.

Powoli skurczyły się teleskopy łap, które przed chwilą zamortyzowały uderzenie. W parę chwil potem na skraju tumanów poderwanego w czarne niebo pyłu zatrzymały się opancerzone transportery. Wyskoczyli z nich ludzie, którzy pobiegli w obszar wiszących nad gruntem skalnych okruchów, znikli z ekranu przed lekarzem. Klaus przestraszył się, kiedy nagle z głośnika buchnął dziwny, świszczący głos:

– „Lądowanie zakończone. Grawitron zablokowany regwintem, główna śluza gotowa do natychmiastowego użytku. Na pokładzie jedynie anabiotycznie uśpieni Ziemianie, zdeponowani w automedzie. Osiągalni przy pomocy dźwigu numer dwa.”

Heise wsłuchał się uważnie w to, co mówi głos. Wszystko było niby najzupełniej jasne, a przecież mimo to piekielnie zagadkowe. Pytał teraz sam siebie, jak długo technicy z Inżynieryjnej Służby Kontroli dostawać się będą do środka statku.

Trwało to nie dłużej, niż dziesięć minut – zapewne tylko dzięki pomocy ze strony świszczącego komputera.

Wszyscy zgromadzeni wokół profesora Halldorna lekarze pochylili teraz głowy, obserwując w ogromnym napięciu, jak po rampie ze śluzy eridańskiego kosmolotu zjechał pierwszy, rozpędzony do maksymalnej szybkości transporter sanitarny, zmierzający ku tunelowi wjazdowemu do portu SELENA.

Był to moment rozpoczęcia przez wszystkich gorączkowej pracy – usilnych prób wyznalezienia leku przeciw nieznanej gorączce, którą astronauta przywieźli z szóstej planety układu Epsilon Eridani...

Klaus cofnął się o parę kroków od łóżka Pal Torsen, uważnie obserwując jej wychudłą, plamistą od gorączki twarz. Od czasu do czasu drgała jej powieka lub minimalnie poruszały się kąci ust. I więcej nic, jakby wszystkie mięśnie mimiczne zostały sparaliżowane. Lecz był to paraliż pozorny, bo od czasu do czasu chorych ogarniał raptowny, podobny do amoku szał. To również było charakterystyczne dla gorączki SIXTA. Początkowo takie napady zdarzały się co kilka dni, ale z biegiem czwartego tygodnia stały się o wiele częstsze – nie mijało kilka godzin bez ponowienia się ataku. A Klaus czuł, że im krótszy cykl, tym bliższy koniec...

Organizm Pal Torsen znosił chorobę najwytrwalej – ataki następowały jeszcze co dwa dni – ale większość członków ekspedycji przeżywała to co godzinę. Wczoraj zmarł pierwszy astronauta z AZYMUTU...

Lekarz zmarszczył brwi – cały personel lekarski w porcie kwarantanny ryzykował swoim życiem, byle tylko udało się uratować wycieńczonych ludzi, ale jak do tej pory żaden lek i żadne serum nie miało na tę piekielną gorączkę najmniejszego wpływu.

Klaus wyszedł z izolátky. Ściągnął maskę, rękawice ochronne i kitel, cisnął to wszystko do pojemnika spalarki, potem przez szkło kontrolne długo, długo patrzył, jak zwija się, skręca i czernieje lizana płomieniami tkanina. Potem wyszedł z komory i skierował się ku sali treningowej. Po drodze po raz setny, czy może nawet tysięczny usiłował przeanalizować i zrozumieć słowa, które Pal wykrzykiwała w malignie. Chodziło jej o jakiegoś skorpiona, którego ktoś jej najwidoczniej zabierał czy nawet zabrał, a teraz Pal prosiła, żeby go jej z powrotem oddano.

Szło tu na pewno o niewielkie, do złudzenia podobne do ziemskiego skorpiona stworzenie, przywiezione wraz z innymi okazami fauny i flory z Szóstej Eridana. Było w tym coś niepojętego – pełna wyrazu podczas ataku twarz Pal najintensywniejszy niepokój zdradzała właśnie wtedy, kiedy dziewczyna zdawała się najmocniej odczuwać brak zabranego jej skorpiona. Zachowanie tym dziwniejsze, że zazwyczaj każdy człowiek boi się skorpionów. Tylko nie Pal i jej towarzysze...

Klaus zamyślił się tak bardzo, że nawet nie zauważył podchodzącej ku niemu Reili – dziewczyny urodzonej już tu, na Księżycu. Dopiero gdy dotknęła jego ramienia, powoli obrócił głowę.

– O czym tak uparcie dumasz? – zapytała.
– Przecież wiesz. Tamci umrą wszyscy na naszych oczach, jeżeli w ciągu paru dni nie znajdziemy odpowiedniego antidotum...

– Oczywiście – skinęła głową dziewczyna. – Ale nie wyleczysz ich swoją ponurą miną. A wcale to nie podnosi nastroju wśród załogi portu... No, co byś powiedział na spacer po powierzchni?

Klaus zgodził się bez oporu. Było mu obojętne, czy będzie teraz przez dwie godziny ćwiczyć na przyrządach w sali treningowej, czy wyjdzie na zewnątrz stacji obciążony kilkoma metalowymi prostopadłościanami tak, by jego ciało ważyło mniej więcej tyle samo, co na Ziemi. Tego typu zajęcia obowiązywały wszystkich bez wyjątku mieszkańców Księżyca.

Zaledwie wyszli na powierzchnię, olśniło ich słońce – jego światło było zdecydowanie jaskrawsze, niż na Ziemi – więc ustawili przesłony wizjerów na maksimum czerni. Widzieli jednak wyraźnie – dziewiczy nawet mimo wieloletniego pobytu ludzi – krajobraz Księżyca. Szczyty skalnego wału dookoła kotliny krateru rzucały na jej dno długie cienie, na czarnym niebie wisiała nieruchoma, podświetlona z boku tarcza Ziemi.

Reila rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem ciężarków. Zobaczyła je po chwili, wskazała Klausowi. Każde z nich doczepiło do swego pasa kilka prostopadłościanów, a potem ruszyli długą serpentyną w stronę dna krateru.

Klaus szedł powoli, nie śpiesząc się – z przyjemnością czuł, jak mięśnie jego nóg napięły się pod dodatkowym ciężarem. Reila była lepiej od niego wysportowana, więc pobiegła do przodu, a teraz czekała na niego przy barierce na skalnym gzymsie. Oparta obydwoma łokciami o poręcz stała nieruchomo, patrząc na migające na lądowisku światła uwijających się pojazdów. A tam, gdzie światła było najwięcej, stał podobny do olbrzymiej, marmurowej kuli AZYMUT.

– Co się stało z tymi wszystkimi okazami, które ekspedycja przywiozła z Szóstej Eridana? – spytał Klaus stając obok dziewczyny. – Może wśród tych roślin i zwierząt znalazłby się... – urwał, jakby jeszcze nie był pewien swojej myśli.

– Wszystko zostało zawieszono do stacji Dion – powiedziała Reila. – To taka stacja na uboczu, z dala od wszystkich osad i kosmoportów, na brzegu jeziora Trantabis.

– Zgodnie z zasadami kwarantanny wszystko powinno być od dawna zniszczone – mruknął Klaus.

– Owszem. Ale profesor Halldorn doszedł do wniosku, że materiał wymaga zbadania, a tam okazy nie powinny spowodować żadnej szkody. Mimo ryzyka zakażenia udało się do Dion kilkunastu naukowców. Patrz... – Reila schwyciła Klausa za ramię, wskazując mu dłonią ognistą lunę nad skałami horyzontu.

– No, co? – zdziwił się Klaus. – Zwyczajny zachód słońca. Widziałas to przecież niejednym razem...

– Ale za każdym razem wydaje mi się równie piękny.

– Mnie nie. Noc, która przyjdzie za chwilę, będzie trwać piętnaście ziemskich nocy.

– I co z tego?

– Nic. I tak nie zrozumiesz. Urodziłaś się na Księżycu i ta ponura, długa noc wydaje ci się czymś najzupełniej normalnym. Ale tylko dlatego, że nie znasz Ziemi...

Ruszyli teraz ku przełęczy, która ostatecznie miała ich doprowadzić do dna krateru, lecz po chwili Reila stanęła znowu, śledząc wzrokiem niewielki, ognisty punkt, który przeciął czarne niebo i znikł gdzieś za skałami. – Pewnie automatyczna rakietka pocztowa z Luna Gor... – pomyślała. – Dlaczego właściwie one nazywają się „pocztowe”, choć wożą przecież wszystko – od zapasów żywności i tlenu po części zamiennie – oprócz listów?

Zamyślony Klaus spostrzegł nagle, że nie ma obok niego Reili. Obrócił się i zobaczył dziewczynę, stojącą z zadartą jeszcze głową.

– Co się znowu stało? – zapytał, zwracając.

– Aa, nic. Rakieta pocztowa...

Klaus podniósł głowę, usiłując dojrzeć chociaż ślad rakiety, ale patrzył w zupełnie innym kierunku, więc Reila obróciła jego głowę w tę stronę, gdzie sama przed chwilą widziała sunący szybko punkt.

– Tam? – zdziwił się Heise, – Musiało ci się coś przywidzieć. Żadna rakieta z Luna Gor nie lata na północny wschód. Na tym kursie nie ma żadnej stacji.

– Widziałam tak, jak ciebie w tej chwili – upierała się.

– Może jakiś zabłąkany promień słońca...

– Nigdy nie widziałam krzywoliniowego promienia. Za to teraz przez moment widziałam wydłużony kadłub rakiety, zanim zmaląła w odległości.

Klaus zaśmiał się:

– No, tak. Sama dałaś się złapać. Albo miałaś halucynacje, albo po prostu chcesz mi zrobić kawał. Przecież żadna rakieta pocztowa nie schodzi tak nisko, żeby można było dostrzec gołym okiem zarysy jej kadłuba, bo wtedy nigdy nie dotarłaby do celu, ale rozwalila się o skały.

– Nie wierzysz, to nie – obraziła się dziewczyna.

Klaus spoważniał, coś sobie nagle przypomniawszy:

– Chyba że istotnie była to rakieta pocztowa, która nad SELENĄ obniżyła lot do lądowania, ale ją odwołano z Luna Gor. To możliwe. Podobno udało się wyprodukować pierwsze kilkaset gramów serum o bardzo obiecujących właściwościach. Miano je przysłać właśnie dziś. Halldorn będzie niepokieszony, że rakieta została mimo wszystko skierowana do Luna Gor, a nie do nas bezpośrednio...

Poszli dalej. Po kilkunastu zakrętach wydeptana ścieżka zawiodła ich ku oświetlonemu wejściu do tunelu na poziomie pola kosmodromu. Byli już trochę zmęczeni marszem, więc szybko przekroczyli słuzę, odpinając przed wejściem ciężarki. Po chwili zdjęli już próżniowe skafandry, zadowoleni, że mają za sobą codzienną porcję ćwiczeń, mających utrzymać ich organizmy w normie i kondycji. Przywitało ich łagodne światło długiego korytarza wiodącego przez podziemia aż do centrum SELENY, oraz ciche, przyjazne brzęczenie wentylatorów.

Zaledwie zdążyli dojść w okolice swojego rejonu mieszkalnego, kiedy ktoś głośno zawołał Reilę po imieniu. Była to Sandra Peghu – specjalistka od techniki klimatyzacyjnej – niesłychanie czymś zdenerwowana.

– Co ci jest? – zaniepokoił się Klaus.

– Rozbiła się rakieta pocztowa, którą wysłano lekarstwa!

– Co!?! – skoczył ku niej Klaus. – Kiedy?

– Przed chwilą...

Heise zrozumiał teraz, dlaczego Reila rzeczywiście mogła widzieć raketę pocztową, zmierzającą w nieprzewidzianym kierunku. Sandra tymczasem ciągnęła ich już za rękawy, mówiąc:

– Chodźcie szybciej! U profesora Halldorna jest właśnie narada. Wszyscy mają być...

Kiedy zdyszana trójka ludzi wpadła do pomieszczenia, przy stole obok Halldorna stał kapitan Floty Kosmicznej Andro Zieliński – obecny komendant portu SELENA. Trzydzieści par oczu lekarzy, techników i inżynierów z obsługi patrzyło na obu stojących mężczyzn. Halldorn podniósł rękę, niepotrzebnie prosząc tym gestem o ciszę, bo w pomieszczeniu słychać byłoby nawet tupanie kulawej stonogi.

– Koledzy – powiedział. – Rakieta pocztowa z próbną serią leków zboczyła z kursu w niewiadomym kierunku... Prawdopodobnie rozbiła się gdzieś niezbyt daleko stąd a więc od nas już w ciągu pięciu minut powinna wyruszyć pierwsza ekspedycja ratunkowa. Podaję wytypowany skład: Rene Negrais, Klaus Heise, Sandra Peghu, Achmed Khalid jako dowódca grupy. Proszę przygotować się...

– Panie profesorze... – Reila przepchnęła się do przodu. – Chciałabym...

– Nie przewidywano udziału ochotników – sucho stwierdził Halldorn.

– Kwadrans temu byłam na zewnątrz – Reila nie dała zbić się z tropu – i widziałam raketę, która zniżyła się, jak do lądowania, ale potem poleciała mniej więcej na północny wschód od naszego krateru.

– Do składu wyprawy zostanie dokooptowana Reila Minetti. Dojdzie ona wraz z grupą do stacji Dion – Halldorn znany był z umiejętności szybkiego podejmowania trafnych decyzji – i tam pozostanie. Oczywiście do składu wyprawy dochodzą technicy i kierowcy transporterów. Uwaga. Ponieważ najszybsza rakietka z Ziemi może dotrzeć do nas z drugą serią leku dopiero za pięć dni, a kryzysu u chorych spodziewamy się najpóźniej pojutrze, macie więc tylko trzydzieści sześć godzin na odnalezienie szczątków rakiety pocztowej, wydobyć zawartość, o ile oczywiście cenna przesyłka ocalała, i dostarczenie jej tutaj. Jeżeli kierunek podany przez Reilę jest prawidłowy, to miejsce katastrofy powinno znajdować się gdzieś w okolicach brzegu jeziora Trantabis. Ułatwia to poszukiwania o tyle, że w owym rejonie noc nastąpi dopiero jutro. Dokładne dyspozycje na temat marszruty major Achmed Khalid otrzyma już po wyruszeniu wyprawy, kiedy dokonamy niezbędnych obliczeń.

Opancerzony transporter księżycowy, wśród lunonautów nazywany pieszczotliwie „Bully” trząsł się szaleńczo, wioząc całą grupę coraz dalej poza stację Dion. Wbrew początkowym obawom podróż jak do tej pory przebiegała nawet cokolwiek szybciej, niż zaplanowano w SELENIE, tak więc z każdą godziną coraz bliższy stawał się cel podróży – jezioro Trantabis. Obszar, cieszący się wśród mieszkańców Księżyca nie najlepszą sławą, ze względu na duże anomalie magnetograwitacyjne.

Za małymi, okrągłymi iluminatorami przemykała czarno-biała mozaika światła i cieni.

Na stacji Dion nastąpiło dokompletowanie załogi. Dołączył Norweg Olaf Thursend, zaś Reilę Minetti zastąpiła radiotelegrafistka Ingrid Jahde. Dwa niewielkie łaziki zostały tam właśnie zastąpione przez transporter, prowadzony przez Clarka Grossmanna – znakomitego kierowcę, który potrafił podobno dojechać nawet tam, gdzie dojście na piechotę ze względu na trudności terenowe uważane było za wręcz niemożliwe. A rzeczywiście z każdym kilometrem podróż w ciasnym, kolebiącym się na wszystkie strony pojeździe stawała się coraz bardziej uciążliwa. Do tego stopnia, że wreszcie Klaus zaproponował nadmuchiwanie dwóch pneumatycznych hamaków, w których wypoczywaliby na zmianę. Jako pierwsze położyły się Sandra i uskarżająca się na nieoczekiwany ból głowy Ingrid Jahde. Mniej więcej po pół godzinie na hamaku Sandry wyciągnął się wygodnie Rene Negrais. Achmed Khalid, który zbliżył się, by obudzić Ingrid cofnął się raptownie, obudził potrząśnięciem drzemiącego w fotelu Klause, podprowadził go ku hamakom. Heise długo, w milczeniu patrzył na twarz dziewczyny. Nie mogło być wątpliwości – plamy, rozpalone czoło, szkliste oczy... A profesor Halldorn uważał, że na stacji Dion przywiezione przez ekspedycję zbiory nie spowodują żadnych szkód... „Bully” tymczasem parł wciąż do przodu przez płaszczyznę jeziora Trantabis, kolebiąc się z boku na bok i podskakując na nierównościach gruntu. Zastanawiający się, co uczynić, Heise słuchał jednocześnie, jak Clark tłumaczy Thursendowi, na czym polega niebezpieczeństwo, oraz dlaczego powinni za wszelką cenę przebyć ten obszar tam i z powrotem przed nastaniem nocy:

– Widzisz te pełne pyłu przeręble i rozpadliny? Diabli wiedzą, czym to tłumaczyć, że w ciągu księżycowej nocy ten piasek i pył „puchnie”. Wyłazi to świństwo z brzegów przerębli i rozpełza się po całej okolicy.

– Słyszałem o wędrujących piaskach – powiedział Olaf Thursend. – Ale nikt nie umiał mi powiedzieć, dlaczego tak się dzieje...

– Jedni tłumaczą to gwałtownym stygnięciem i kurczeniem się okolicznych skał – mówił Grossmann – inni resztkową działalnością wulkaniczną, a jeszcze inni jakimiś bliżej nieokreślonymi anomaliami magnetograwitacyjnymi i zmianami wzajemnych oddziaływań między Księżycem, Ziemią a Słońcem. Ja osobiście sądzę, że ta ostatnia teoria może być

prawdziwa, bo ten cholerny pył składa się w głównej mierze z drobin szlachetnych metali i sproszkowanego magnetytu...

Całym ciałem Ingrid wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Klaus przestał słuchać objaśnień Clarka, ale z nagłym strachem pomyślał, co będzie, jeżeli nie zdążą. Albo, jeżeli lekarstwo, którego resztki usiłują w tej chwili odnaleźć okaże się nieskuteczne. Myślał ze strachem tym większym, że zauważył mimowiedny ruch Clarka Grossmanna, trącego sobie ręką czoło, jakby zaczynała go boleć głowa. To zaczynało wyglądać na katastrofę – i radiotelegrafistka i kierowca transportera dołączyli przecież do wyprawy na stacji Dion. A do tej pory uczonym nie udało się ustalić, jaką drogą przenoszone jest zakażenie gorączką SIXTA... Czy tylko przez bezpośrednie zetknięcie się z okazami flory i fauny Szóstej Eridana, czy też przez kontakt z osobami uprzednio zarażonymi.

Sandra zauważyła pełne troski spojrzenie Klause. Odruchowo zerknęła na Clarka i jej pełna spokoju twarz zmieniała się raptownie. Dziewczyna poruszyła się, jakby chciała wstać z fotela i podejść do kierowcy, potem jednak zabrakło jej na to siły, jakby bała się tego właśnie, co Klaus przed chwilą dostrzegł w twarzy Grossmanna.

Heise uprzytomnił sobie raptownie, że zgodnie z krążącymi wśród załogi portu SELENA plotkami, Sandra od dawna jest w Clarku zakochana.

Po całej godzinie tej milczącej jazdy zbliżyli się nareszcie do końca pierwszego etapu całej wyprawy – północno-wschodniego brzegu jeziora Trantabis. Rene Negrais ustąpił swego miejsca na hamaku Achmedowi, sam zaś wspiał się do umieszczonej na szczycie transportera kopuły obserwacyjnej. Olaf tymczasem zajął fotel Ingrid i nadał meldunek, że osiągnęli brzeg jeziora i od tej chwili zaczynają wzmożoną obserwację okolicy, a także o stwierdzeniu objawów gorączki u Ingrid.

Odpowiedź ucieszyła wszystkich członków ekspedycji ratunkowej:

– Tu port SELENA! Mówi Zieliński. Stacja Orbitalna Luna 4 dopomogła w ustaleniu obrazu sytuacji. Rejon, do którego dotarliście, musicie ominąć maksymalnie wielkim łukiem, bowiem tam odpadł człon napędowy rakiety wraz z reaktorem. Wykazały to radiometryczne badania tego obszaru przeprowadzone z orbity. Po uwzględnieniu wszystkich znanych nam czynników komputer wyliczył, że pojemniki z ładunkiem poleciały kilkanaście kilometrów dalej na północny wschód. Musicie pojechać tam bez straty czasu. Koniecznie odnaleźć ładunek – zarażone gorączką SIXTA psy doświadczalne wykazały zatrzymanie przebiegu choroby. Uwaga! Nie znamy kształtu ani wielkości paczek, w które lekarstwo zostało zapakowane. Wiemy tylko, że powinno być sto opakowań. To znaczy było ich tyle przed katastrofą. Powtarzam: psy doświadczalne po podaniu im tego leku wykazały zatrzymanie procesu chorobowego.

Achmed Khalid porównał dane z Luny 4 ze swoją mapą, potem cyrklem zakreślił niewielki krąg wokół jakiegoś szczytu, pochylił się ku Klausowi, mówiąc:

– To prawdopodobnie będzie gdzieś w tym rejonie. Jeżeli mamy szczęście, to chyba znajdziemy szczątki rakiety na południowej stronie zbocza. Tej od nas...

– A jeżeli nie?

– Wtedy będziemy musieli objechać wzgórze dookoła i szukać za nim. Będzie to strata czasu, ale i tak rejon do przeszukania mamy stosunkowo niewielki.

Transporter szarpał na brzdach tak mocno, że musieli przypiąć bezwładną Ingrid pasami do rozkołysanego hamaka.

Wszyscy w napięciu przyglądali się teraz okolicznym wzgórzom, jedynie Sandra co chwila odrywała wzrok od wizjera, żeby pełnym niepokoju spojrzeniem ogarnąć twarz pochylonego nad kierownicą Clarka. Potem znowu obracała się w stronę okna. W pewnym momencie krzyknęła nieoczekiwanie: „Stop!”, a kiedy kierowca zahamował gwałtownie, dorzuciła wyjaśniająco:

– Widzicie ten szczyt, gdzie skały układają się w schodkowane tarasy? Tam chyba

będzie najłatwiej wspiąć się, żeby obejrzeć z góry cały teren...

Po chwili Sandra z Olafem wyszli na zewnątrz i zwinnie wspięli się na pagórek. Przez chwilę lustrowali okoliczne zbocza, potem Sandra opuściła swoją lornetkę, wskazała coś ręką; Olaf patrzył w to miejsce długo, by wreszcie skinąć potakująco głową. Sandra rzuciła w mikrofon zamontowany w hełmie skafandra:

– Uwaga, Achmed. Kierunek nord-nord-ost, trzecie wzgórze. Dziób rakiety zaryty w południowy stok zbocza, ale komory ładunkowe rozprute, więc zawartość prawdopodobnie leży w skalnym obwale u stóp stoku.

– Niech to diabli! – zaklął Khalid. – Droga do trzeciego wzgórza zajmie nam co najmniej pół godziny, a to oznacza opóźnienie względem planu Zielińskiego. Tym bardziej, że ładownie są rozwalone. Wracaj szybko z Olafem. Za chwilę ruszamy. Aha! Postarajcie się wypatrzeć i zapamiętać najłatwiejszą trasę...

Po niespełna kwadransie Sandra dyktowała już Clarkowi, jak powinien jechać. Nawet nie wchodzili wraz z Thursendem do środka transportera, lecz jechali na pancernym, uczepliwszy się zamocowanych tam uchwytów.

Clark jechał uważnie, choć szybko, wybierając przy tym najszersze prześwity między rozrzuconymi gęsto skałkami, ale i tak burty „Bully’ego” co chwila zgrzytały o głazy. Sto czy dwieście metrów przejechali tak wąskim i krętym korytarzem, że wydawało się niemal niemożliwością przebycie tego odcinka w podobnym do wydłużonego czołgu transporterze.

– Grossmann najzupełniej zasłużył na swoją opinię pomyślał Klaus. – Ciekawe, jak daleko uda mu się dojechać?

Mniej więcej w tej samej chwili skalny korytarz poszerzył się nieco, potem jeszcze bardziej, aż wreszcie oczom patrzących ukazała się niewielka kotlinka. Po jej przeciwległej stronie, mniej niż sto metrów od nasady zbocza tkwił wryty w skały dziób pocztowej rakiety.

– Koniec trasy! – wykrzyknął wesoło Clark. – Wysiadać! Ja mam teraz fajrant, a wy do roboty.

Kiedy jednak wszyscy z wyjątkiem chorej Ingrid i Klause wysiedli, on również sięgnął po hełm, mrużąc:

– No, wypadaloby i mnie trochę rozprostować kości. Cholernie łupie mnie w gnatach...

Wyszedł, odprowadzany uważnym spojrzeniem Heisego, który od tej chwili zaczął zastanawiać się poważnie, czy Olaf Thursend będzie umiał doprowadzić „Bully’ego” do portu SELENA. Ani jedna z pozostałych osób nie umiała kierować transporterem, a wyglądało niestety na to, że Clark nie wytrzyma. Chyba, żeby można było poświęcić dwa opakowania leku dla Ingrid i Clarka. Oczywiście najlepiej byłoby profilaktycznie każdemu członkowi wyprawy przydzielić porcję lekarstwa, ale nie wiadomo, czy cokolwiek uda się odnaleźć...

Po chwili odwrócił się od Ingrid, podszedł ku radiostacji, wywołał port:

– Halo, SELENA! Halo, SELENA! Mówi lekarz grupy operacyjnej. Halo!

Komendant Zieliński zgłosił się natychmiast – widać bez przerwy czuwał przy głośniku:

– SELENA, słucham...

– Uwaga! Sytuacja staje się krytyczna. Oprócz Ingrid Jahde pierwsze objawy gorączki SIXTA dostrzegłem również u Clarka Grossmanna, kierowcy transportera. Nasz powrót na czas stoi pod coraz większym znakiem zapytania.

– Zróbcie, co tylko można. W tej chwili dwóch następnych astronautów z AZYMUTU czuje się z sekundy na sekundę gorzej. Za parę godzin może rozpocząć się agonia. Musicie wrócić o ustalonej porze, inaczej ci ludzie umrą.

– Rozumiem, zrobimy wszystko, co w naszej mocy... – Klaus zakończył rozmowę, wyłączył mikrofon i ponownie podszedł do leżącej Ingrid. Przywleczona przez astronautów gorączka miała dość osobliwy przebieg: zaczynała się od raptownego bólu głowy i wszystkich stawów, potem bardzo szybko rosła ciepłota ciała i zaczynał się okres bezwładu, który

po kilku lub kilkunastu godzinach przeradzał się w gwałtowny atak. Potem wszystkie objawy ustępowały na jakiś czas, zależny od stadium choroby, by pojawić się znowu już w cokolwiek ostrzejszej formie. Powtarzało się to aż do zupełnego wycieńczenia organizmu. Klaus przyglądał się maszerującym na miejsce wypadku ludziom, kiedy ponowny trzask z głośnika radiostacji kazał mu podejść do niej z powrotem. Tym razem był to profesor Halldorn, który dowiedział się od komendanta Zielińskiego o sytuacji i nakazywał teraz po odnalezieniu lekarstw profilaktyczne zażycie ich przez każdego członka wyprawy...

Mimo że wszyscy lunonaucci żwawo krzżeli się wśród potężnych gładów obwał, których nawet przy zmniejszonym ciężeniu nie mogliby chyba poruszyć nawet wspólnymi siłami, opóźnienie względem pierwotnego planu stale rosło. Aż wreszcie Rene Negrais jako pierwszy znalazł niewielką paczuszkę, z powodzeniem mieszczącą się w zagłębieniu dłoni. Rozerwał ją, potem przywołał kolegów, pokazując im jej zawartość – maleńką fiolkę pełną brązowego proszku, opatuloną szczelnie kilkunastoma warstwami waty.

Od tej chwili wszyscy wiedzieli już, czego powinni szukać. Przeglądali starannie wszystkie zagłębienia i szczeliny w skałach, ale rzadko kiedy ich trud był uwieczniony powodzeniem.

Sandra chwilę po odkryciu Rene znalazła dwie podobne paczuski, ale kiedy już, już miała zawołać do kolegów o swoim znalezisku, przypomniała sobie twarz Clarka, rozpalając się powoli od gorączki. Korzystając z ukrycia za jakimś gładem szybko wsunęła obie paczki do kieszeni na piersi. Ryzyko było duże – w każdej chwili mógł ją ktoś zauważyć – ale chodziło jej przecież przede wszystkim nie o siebie. A to była w tej chwili jedyna szansa uratowania Clarka i siebie przed zarazą przy wleczoną z gwiazd. Gdyby chodziło tu o jakąś znaną na Ziemi chorobę, nie postąpiłaby może w ten sposób, lecz tu wchodziły w grę siły, co do których nie było wiadomo, czy jest jakikolwiek sposób ich zwalczania...

Achmed Khalid i Olaf Thursend wspięli się tymczasem do dzioba rakiety, który ugrzązł w skałach, z nadzieją, że może w którejś z komór ładunkowych odnajdą resztę pakunków. Kiedy po około dwóch godzinach zeszli, cała grupa zebrała się, żeby wspólnie dokonać obliczenia. Okazało się, że w efekcie znaleziono jedynie dwadzieścia cztery, spośród stu paczek...

Po powrocie do transportera nikt nie protestował, kiedy Klaus przekazał im polecenie profesora Halldorna i dwie pierwsze paczki kazał zużyć Ingrid, która oprzytomniała na chwilę i Clarkowi. Ale potem Heise wziął paczuszkę przeznaczoną dla siebie i odłożywszy na skraj stołu, odsunął ją od siebie jak najdalej. Początkowo nikt nie zorientował się, co lekarz chce dać im w ten sposób do zrozumienia, więc Klaus wyjaśnił:

– Zostały nam zaledwie dwadzieścia dwa opakowania. Kosmonautów z AZYMUTU zostało jedenastu. A myślę, że po jednym opakowaniu przy takim zaawansowaniu choroby, jak u nich, to będzie trochę za mało. Ja osobiście na razie rezygnuję...

Zapadło długie, ciężkie milczenie, potem Achmed Khalid równocześnie z Olafem zgodnie skinęli głowami. Jedynie Rene zwlekał z odpowiedzią, choć już nawet Sandra – czująca się przecież najzupełniej bezpiecznie, kiedy jej pierś uwierały ukryte paczuski – również przytaknęła słowom Klause. Rene powiedział wreszcie powoli, z namysłem:

– Skoro nawet profesor Halldorn nakazał nam zażycie tych lekarstw, to widać istnieje duże niebezpieczeństwo zarażenia się przez nas gorączką SIXTA. To oczywiste, że każdemu z nas należy się to prawo. Przecież to dotyczy naszego życia, a ja nie mam zamiaru stracić go niepotrzebnie, skoro tylko jest jakaś szansa przeciwdziałania.

– Jeżeli ktoś w tym towarzystwie miał największą okazję zarażenia się – powiedział Klaus – to nie ty, a Olaf, który przez dłuższy czas przebywał na Dion. I który teraz dobrowolnie zrezygnował ze swojego prawa do ochrony życia za wszelką cenę. Pomyśl jednak o tamtych ludziach, którym tak mało brakuje do śmierci...

– Tak mało, że nawet nie wiadomo, czy jeszcze coś im pomoże – odparował Rene. – A to wcale nie zmieni mojego poglądu.

– Jak uważasz – mruknął Klaus. – Proszę. Tam, na stole leży moja paczka. Weź ją..

Negrais bez chwili wahania sięgnął po paczuszkę, ale kiedy spojrzął uważniej na twarze kolegów, coś się w nim załamało. Cofnął się od stołu, wrócił do swego fotela, usiadł na chwilę, ale potem zerwał się, podbiegł do stolika, wepchnął do kieszeni niewielki pakiecik zawinięty w srebrzystą folię...

W drogę powrotną wyruszyli ze wzrastającym stale opóźnieniem. Cienie skał stawały się coraz dłuższe, coraz czarniejsze, aż wreszcie Clark musiał włączyć reflektory.

– Wiecie co? – powiedział nagle Olaf. – Dajcie i mnie moją część. A potem, kochani, rozerwę folię, odwinę warstwę waty, popatrzę sobie na ten cudowny proszek i... zawinę wszystko tak jak było... Po kiego czorta przesadzać? Tamci w AZYMUCIE wytrzymali tyle czasu, to i nam nic nie będzie. Mnie nawet ugryzł jeden z eridańskich skorpionów, i jak widzicie, wcale jeszcze nie umarłem...

Potem znowu panowało długie milczenie. W pewnym momencie Heise rzucił okiem na twarz Ingrid i z radością zauważył, jak plamy stają się coraz mniej widoczne, a oczy dziewczyny z chwili na chwilę stają się mniej szkliste. Nie wiedział, czy należy to przypisywać zbawiennemu wpływowi lekarstwa, czy też chwilowemu cofnięciu się objawów choroby, ale był skłonny uwierzyć w tę pierwszą możliwość, bo przecież już godzinę temu Ingrid przeszła polepszenie samorzutne, a potem zaczynała znowu gorączkować. Nie wydawało mu się możliwe, żeby atak tak łatwo miał ustąpić bez żadnej przyczyny.

Sandra z ulgą pomacała kieszeń, w której kryły się dwie zapasowe paczuszki. – Dla Clarka i dla mnie... – pomyślała. – Przecież każdy ma prawo bronić swojego życia...

Clark nagle zaklął dosadnie i zahamował tak gwałtownie, że aż ugięły się amortyzatory foteli.

– Co się stało? – obudzony z drzemki Khalid rzucił się ku swemu stanowisku w kopule obserwacyjnej.

– Noc idzie... – warknął Grossmann. – Ten drański pył zaczyna puchnąć...

Tuż przed dziobem transportera rozlewało się morze szarego piasku – nie widać było jego przeciwległego brzegu. Jedynie szczyty wyższych skał wystawały z niego jak osamotnione wysepki.

– Nie da się przejechać? – nerwowo spytał Achmed. – Spróbuj wysondować głębokość tej rozpadliny...

– W tym świństwie wszystkie promienie echosondy grzęzną, jak w lepkim błocie – skrzywił się Clark. – Nawet nie ma mowy o jakichś pomiarach. Chyba lepiej spróbować okrążyć to całe „rozlewisko”. Sprawdź na mapie, gdzie mniej więcej jesteśmy i gdzie są krańce tej rozpadliny...

– Musielibyśmy skrócić w prawo. Ale to całe cztery kilometry...

– Jeżeli teraz ugrzęźniemy, stracimy o wiele więcej czasu.

– W porządku. Więc jedź na prawo, ale z maksymalną prędkością, na jaką tylko warunki pozwalają...

Transporter zakolebał się, zawyły głośno elektryczne motory, napędzające wszystkie koła z osobna. Po chwili wóz nabrał rozpędu – kołysanie stało się mniej wyczuwalne i dokuźliwe, kiedy ciężki, opancerzony wóz prześlizgiwał się zwinnie między głazami i lekko przeskakiwał co mniejsze rozpadliny.

Minęło niespełna pół godziny i transporter znalazł się u końca pyłowej przeszkody. Clark cofnął „Bully’ego”, rozpędził – wydawało się, że pojazd przesadził wąską w tym miejscu przeszkodę niemalże frunąc w powietrzu. Została za nim jedynie bura smuga, z sekundy na sekundę rosąca w potężny obłok unoszącego się z dna rozpadliny, niemal nieważkiego pyłu...

Dalej mknęli już ze zdwojoną prędkością, ale widzieli coraz wyraźniej, że o kilka co najmniej godzin przekroczą wyznaczony im przez Zielińskiego limit czasu.

Zerkający na zegarek Klaus przypomniał sobie nagle słowa Olafa: „Mnie nawet ugryzł...” Olaf przecież tak samo jak Ingrid i Clark należał do załogi Dion, dlaczego więc tak, jak tamci, nie zachorował? Dlaczego Pal Torsen bez przerwy wołała o oddanie jej skorpiona? Heise zauważył, że radiotelegrafistka oprzytomniała już niemal całkowicie, przysunął się więc do jej hamaka i zapytał:

– Ingrid. Ty byłaś w Dion. Czy możesz mi opowiedzieć wszystko, co wiesz o tych eridańskich skorpionach?

– Ja? – zdziwiła się półprzytomna dziewczyna. – Ja nic nie wiem o tych obrzydlistwach. Jedyne to, że jeszcze podczas lotu na AZYMUCIE pogryzły Pal Torsen, więc wołałam się od nich trzymać z daleka.

– A Clark? – wypytywał lekarz. – Czy on wchodził do terrarium?

– Clark? Raczej nie. Bez przerwy siedział w garażu i pucował swojego „Bully’ego”. To chyba jego jedyna miłość...

– Pal została pogryziona i jako jedyny członek załogi jako tako zdrowa dotarła do granic Układu Słonecznego. Ugryziony przez skorpiona Thursend czuje się najzupełniej dobrze, choć przecież mieszkał na zapowietrzonych stacji... – rozmyślał Heise. – Coś w tym musi być... Ale jak to się stało, że tego oczywistego związku między odpornością na chorobę a ugryzieniem skorpiona, nie zauważył żaden z uczonych?

– Ingrid – Klaus zwrócił się do dziewczyny ponownie. – A skąd ty właściwie wiesz o tym, że Pal została pogryziona? Ona sama przecież nic takiego nie mogła powiedzieć, bo jest od początku nieprzytomna...

– Przeglądałam zapisy rejestratorów, zabrane z pokładu AZYMUTU. Ale na razie te raporty znają tylko dwie czy trzy osoby spośród elektroników, bo są jeszcze jakieś niejasności, i dlatego wstrzymano się z oficjalnym komunikatem.

Klaus wyprostował się raptownie, potem szarpnął za ramię drzemającego najspokojniej Thursenda.

– Olaf! Olaf! Zbudźże się!

– Co się stało? – Norweg przeciągnął się leniwie, przetarł pięściami oczy.

– Czy ty mówiłeś wcześniej komuś w Dion, że ukąsił cię ten eridański skorpion?

– Nie. A bo co? Przecież nic mi się nie stało... Przez pół dnia czułem się potem jakoś tak dziwnie, ale nie gadałem, żeby mnie nie zapakowali do łóżka. I – jak widzisz – samo mi przeszło.

Klaus nie słuchał już dalszych wyjaśnień Norwega, ale obrócił się w stronę patrzącego nań z zaciekawieniem Achmeda.

– Khalid, ile nam czasu zostało do wyznaczonego terminu? I jakie są szanse, że zdążymy?

– Nie ma szans. Została nam zaledwie godzina, a nie ujechaliśmy nawet połowy drogi. Sam przecież widzisz, co się dzieje. Spójrz tylko...

Heise wspiął się ku fotelowi dowódcy, umieszczonemu tuż pod kopułą obserwacyjną, potem zerknął ciekawie dookoła przez grube, pancerne szyby. Z tyłu za transporterem widniał kręty szlak, wyznaczony przez poderwane w niebo kłęby pyłu, wirujące w ostatnich, gasnących pomалу promieniach słońca. W parę chwil później nad horyzontem pozostała jedynie słaba poświata, aż wreszcie i to znikło, ustępując miejsca nieprzeniknionej czerni. Khalid mruknął ponuro:

– O tej porze powinniśmy być już na skraju jeziora w drodze do Dion. Zatelegrafowałbym do portu, żeby wysłali po nas jakąś raketę, ale wiem aż za dobrze, że żadnej nie mają...

W tym samym czasie komendant Zieliński usiłował uruchomić agregaty jedynego statku, aktualnie przebywającego na terenie portu kwarantanny SELENA. Wraz z całym sztabem inżynierów i techników raz po raz powtarzał z uporem próby, ale mimo sygnalizowanej przez automaty gotowości do startu, statek „nie chciał” unieść się w przestrzeń. Ryzyko było

wielkie, i gdyby nie wyjątkowa sytuacja, Zieliński nie zdecydowałby się na coś podobnego. Wsiąść do kosmolotu sporządzonego według nieznanym ludziom założeń gdzieś daleko w kosmosie w obcym Układzie Słonecznym przez istoty, których ludzie jeszcze na oczy nigdy nie widzieli, to było coś, na co mało kto by się odważył. Tyle tylko, że przez cały czas Sem 3 Set – pokładowy automat dyspozycyjny AZYMUTU – na wszelkie ludzkie wysiłki odpowiadał krótkim, z punktu widzenia ludzi najzupełniej bezsensownym zapisem na swoim głównym ekranie: „a2 = O” Komendant doprowadzony był już do ostateczności, kiedy przyzwano go do radiofonicznej centrali.

– Czego? – warknął gniewnie w mikrofon.

– Mówi Achmed Khalid, dowódca wyprawy ratunkowej. Lekarstwa zostały przez nas częściowo odzyskane, ale ugrzęźliśmy mniej więcej w połowie jeziora Trantabis. W tej chwili otacza nas obłok pyłu, wznoszący się coraz wyżej. Wkrótce sięgnie anteny. Uwaga! Klaus Heise, nasz lekarz, ma coś niesłychanie pilnego...

– Niech gada... – mruknął gniewnie Zieliński.

– Tu Heise! Koniecznie trzeba przekazać profesorowi Halldornowi, że Pal Torsen została ukąszona przez eridańskiego skorpiona. Tak samo i Olaf Thursend...

– Czy to ma znaczyć, że macie następnego chorego na pokładzie transportera?

– Wręcz przeciwnie. Olaf czuje się świetnie. A Pal Torsen, jak wszyscy wiemy, zaskakująco długo opierała się chorobie. My nie zdążymy na czas, ale zamiast tego leku można chyba zastosować jad eridańskich skorpionów. Podejrzewam, że to uszkodzenie na AZYMU-CIE, w wyniku którego skorpiony rozlały się po wszystkich pomieszczeniach kosmolotu nie było przypadkowe, ale że w ten sposób Sem 3 Set usiłował zwalczyć pierwsze objawy epidemii. Koniecznie należy tę wiadomość o skorpionach przekazać... – głos Klausa ścichł i zaginął wśród narastających trzasków...

– To zdaje się ten cholerny pył dotarł do anteny – pomyślał Zieliński. – W każdym razie dobrze, że Heise się odezwał. Skorpiony skorpionami, ale jak ja mogłem to przegapić? Przecież Pal Torsen jest ze wszystkich astronautów najzdrowsza... Gdyby tak zaryzykować przeniesienie jej na pokład AZYMUTU? Może wtedy ten cholerny Sem 3 Set zacznie reagować na polecenia?

Zieliński nadał krótką notatkę do Halldorna o tym, co przekazał mu Heise, a potem wezwał kilku pielęgniarki i wraz z nimi przeniósł bezwładną, nieprzytomną Pal na pokład obcego kosmolotu. W tym samym momencie, kiedy ciało dziewczyny zostało umieszczone w fotelu, zagadkowy napis na ekranie zgasł, żeby po chwili zostać zastąpionym przez inny: „a2 = b2”. I w tej również sekundzie zagrały światła na kontrolnych tablicach, jakby komputer obudził się ze snu. Śluzki zamknęły się bezszelestnie, wirujące pod kadłubem pola wypchnęły spod statku kaskady pyłu i gwiazdolit majestatycznie uniósł się nad księżycowym gruntem. Jednocześnie na pulpicie przed Zielińskim zaczęło się dziać coś dziwnego. Fragment twardej, gładkiej płaszczyzny zaczął uwypuklać się w kilkunastu miejscach naraz jak przerośnięte ciasto. Albo tak, jakby czyjaś potężna rozpalona do czerwoności dłoń usiłowała wypchnąć kawałek masy ku górze, topiąc ją od spodu i przegrzewając. Niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu Zieliński patrzył na to z zapiętym tchem. Nie zdążyło mu jednak jeszcze zabraknąć oddechu, kiedy ów zagadkowy proces samorzutnie się zakończył i Zieliński z zaskoczeniem w popękanej, odkrytej nagle płaszczyźnie rozpoznał plastyczną mapę powierzchni Księżyca. Wycinek o promieniu mniej więcej stu kilometrów zmniejszony do kwadratu pół na pół metra. Była to jednak jakaś niesłychanie dziwna mapa. Zaledwie komendant SELENY odnalazł na niej wzrokiem jezioro Trantabis i wpatrzył się w nie uważnie, już na pulpicie przed nim zaszło coś dziwnego. Obraz rozdziwił się w jego oczach, poszczególne fragmenty zaczęły się rozrastać i po chwili na tle poprzedniego krajobrazu jakby zepchniętego pod spód, pojawił się zawieszony w powietrzu dokładny obraz całego Jeziora Anomalii.

Ktoś stanął za komendantem, pytając, dokąd w tej chwili lecą, więc Zieliński odrucho-

wo wskazał palcem na mapie interesujący go obszar. Statek wyraźnie przyspieszył, co załoga poznała jednak nie po wzroście bezwładności swoich ciał, a po cokolwiek szybszych zmianach obrazów w monitorach...

W dziesięć minut później na ekranie głównym – właściwie nikt nie wiedział, który ekran jest główny, ale ten był po prostu ze wszystkich największy – ukazał się bury kłęb pyłu, powoli rozprzestrzeniający się w górę i na boki.

Zieliński postanowił zaryzykować – szukanie w tych zwałach piasku i żwiru kilku zagubionych ludzi trwałoby zbyt długo – i wydał kilka poleceń Sem 3 Setowi, myśląc z podziwem o twórcach tego statku, w którym wystarczało pokazanie palcem celu, zamiast konieczności wykonywania skomplikowanych manewrów. Teraz już zaczynał rozumieć, jakim cudem kosmolot przeleciał przedtem przez ponad połowę Układu Słonecznego, nie wchodząc w kolizję z żadnym naturalnym ani sztucznym ciałem niebieskim...

Klaus poczuł nagle jakąś ogromną siłę, przyciskającą go do podłogi. Właśnie stał przy hamaku Ingrid, rozmawiając półgłosem z Sandrą, która przed chwilą – unikając jego spojrzenia – wręczyła mu ukradkiem dwie niewielkie paczuszki, wyciągnięte z kieszeni na piersi, kiedy poczuł się niesłychanie słabo. W oczach mu pociemniało, krew raptownie załomotała w skroniach, nogi ugięły się pod nim bezsilnie. Kątem oka zauważył, że Achmed Khalid osuwa się ze swego fotela w kopule obserwacyjnej, ale nie miał nawet na tyle siły, żeby powiedzieć cokolwiek choć trochę głośniejszym, niż ochryplym szeptem. Jego słaby okrzyk został nagle zagłuszony przez donośny głos Zielińskiego:

– ...!o grupa operacyjna! Słyszycie mnie? Halo!

Dławiące uczucie nieopisanego ciężaru ustąpiło nagle na tyle, że Klaus mógł odpowiedzieć:

– Halo, SELENA. Słyszemy was dobrze. Musieliśmy natrafić na jakąś piekielną anomalię, bo nas omal ciężenie nie zgmiotło...

– Kiedy pył opadnie, wtedy ciężenie ustąpi ostatecznie – odpowiedział Zieliński. – Czy już nas widzicie? Za chwilę wylądujemy obok was i spuścimy rampę wjazdową. Powinniście sobie dać radę bez wciągarki...

– W porządku – Achmed i Clark oprzytomnieli już i właśnie zgodnym chórem odpowiedzieli Zielińskiemu.

– To świetnie – ucieszył się tamten. – Wydmuchaliśmy pył z całej okolicy...

– A swoją drogą, to od samego początku można było do poszukiwań wykorzystać AZYMUT... – mruknął sam do siebie Clark, uruchamiając motory i wjeżdżając na długą, jasno oświetloną pochylnię.

Już po chwili mężczyźni serdecznie ściskali sobie dłonie, jedynie Klaus skierował się ku leżącej w fotelu Pal. Po chwili wlał jej przez zaciśnięte zęby zawartość jednej fiołki rozrobioną z kawą z termosu. Działanie lekarstwa było wręcz błyskawiczne; po kilkunastu sekundach dziewczyna otworzyła oczy i po raz pierwszy od wielu dni spojrzała najzupełniej przytomnie. Zobaczyła pochylone nad sobą, zatroskane twarze, uśmiechnęła się do nich radośnie i zasnęła spokojnie – tym razem już zdrowym snem, bez gorączki i męczących ją od dawna majaków.

– Jak myślisz? – odezwał się Zieliński do Klause. – Teraz chyba dowiemy się czegoś nareszcie o istotach zamieszkujących układ Epsilon Eridani...

TELEPORTANCI

Siedząc na jednej z licznych wapiennych skał, gęsto porzrzucanych po stokach kotliny Vyasa Ult z zaciekawieniem rozglądała się wokół siebie. Tuż nad linią horyzontu dostrzegła wysokie słupy wznoszonego wiatrem pyłu. Wirującymi spiralami zdawały się podtrzymywać żółte, wiecznie zakryte warstwą chmur niebo planety. W całej okolicy tylko one pulsowały życiem; pozostały obszar ogarniała cisza i bezruch. Na dnie kotliny, wykorzystywanej już od kilku pokoleń jako kosmodrom, widniały opuszczone, od dawna już nie używane kosmoloty. Puste, poznaczone tylko zwałami skał szczyty okolicznych wzgórz ukazywały nagie ramiona anten kierunkowych i ciche zabudowania kosmicznego portu. Na przeciwległym stoku widniał skraj jednej z kopuł rozciągającego się za skalnym wałem miasta. Zbiegał stamtąd do dna doliny szeroki jęzor czerwonego, wypromieniowującego ciepło żwiru.

Vyasa poruszyła się nagle. Ciągący od skały chłód zmusił ją do zapięcia okrywającej jej ciało peleryny. Z nostalgią przypomniała sobie ciepłe przestrzenie Oasis-Vitry, jej ojczy-
stej planety, pierwszej w długim szeregu satelitów Epsilon Eridani.

Mimo zewnętrznej obcości lubiła ten zakątek Sixty. Tu właśnie pożegnała przed dziesięcioma cyklami Seig Prema, udającego się do samotnej stacji w centrum galaktyki, tu również powitała go niedawno, gdy po wypełnieniu misji nawiązania kontaktu z rozumnymi istotami Retipronu powrócił na zasłużony odpoczynek.

Nagle panującą ciszę przerwał niewyraźny szmer. Vyasa odwróciła się i ujrzała gramolącego się zza skały Sem3Seta – Uniwersalnego Robota Towarzyszącego.

Sem3Set poradził sobie wreszcie ze skalną przeszkodą, poruszył anteną, mrugnął drobnym czerwonym okiem kamery wmontowanym w otaczający jego „głowę” pierścień, przystanął i powiedział matowym głosem:

– Przekazuję ci sygnał wezwania.

Vyasa spojrzała machinalnie na pierścień informacyjny robota, zeskoczyła ze skały i szybkim krokiem podążyła w stronę umieszczonej u podnóża jednej z anten wieży kontrolnej kosmodromu.

Sem3Set poczłapał natychmiast za nią. Vyasa wyprzedziła go jednak o dobrych kilkaset metrów. Robot ze zdumieniem pokiwał antenami:

– Ona jest znacznie ruchliwsza niżby wskazywały na to dane charakterystyczne dla jej czterdziestu cykli. I do tego ten wapienny kurz wznoszący się, gdziekolwiek się nie ruszyć. Wygląda na to, że żywe organizmy przejawiają do niego swoiste zamięłowanie. A mnie on po prostu szkodzi...

Dotarłszy do wieży Vyasa wspięła się natychmiast na położony na najwyższym piętrze taras obserwacyjny. Stanowisko kontroli zostało podczas jej nieobecności uruchomione, a pulsujące na ekranie tachdaru krzywe wskazywały wyraźnie na zbliżanie się do planety jakiegoś statku przestrzennego. Zdziwiło ją to. Sixta była najdalej w przestrzeń kosmosu wysuniętą planetą układu, przeznaczoną jedynie na stację przesiadkową i laboratorium. Toteż statki komunikacji wewnątrzukładowej nie zawijały tu prawie nigdy, a w żadnym wypadku nie przybywały nie zapowiedziane. Nie mogło też być mowy o nagłym powrocie którejkolwiek z dalekosiężnych wypraw. Stróżujące na peryferiach układu satelity dawno przekazywałyby już meldunki stęsknionych za ojczystymi stronami kosmonautów. Bliższe zapoznanie się z danymi nadesłanymi przez automatycznych strażników wskazywało na jedno tylko logiczne rozwiązanie – zbliżający się do układu statek nie był wytworem żadnej z eridańskich stoczni – musiał więc należeć do Obcych.

Natychmiast uruchomione zostały ukryte w skale, na szczycie której wznosiła się wieża, analityczne kolumny cybernetyczne, a wewnętrzny układ sygnalizacyjny powiadomił o tym

niecodziennym fakcie wszystkich znajdujących się na stacji.

Dziewczyna z coraz większym zainteresowaniem wpatrywała się w napływające informacje. Wynikało z nich niezbicie, że niezidentyfikowany statek przestrzenny przekroczył już orbitę Sixty i stale zmniejszając szybkość kierował się w stronę planet centralnych układu. Poruszany archaicznym, od dawna nie stosowanym już w eridańskiej flocie silnikiem fotonowym nie reagował na żadne sygnały i wskazówki, wciąż od nowa przesyłane na jego pokład przez pilnujące ruchu satelity. Zebrawszy wszystkie przekazy Vyasa już miała przystąpić do sporządzenia wstępnego raportu, gdy nagle część przestrzeni pomieszczenia zakrzywiła się i ukazał się w niej teleport Hyp Sara – myśliciela i administratora Sixty, który przekazać miał Radzie sprawozdanie o niezwykłym wydarzeniu w okolicach planety.

Stojący we wnęce robot towarzyszący Sem3Set niespokojnie poruszył się. Wizyta, nawet teleportyczna, myśliciela, jednego z długowiecznych, jednego z tych, których oczy oglądały tysiące gwiazd, wróżyła coś niezwykłego. Przełączył więc swój układ logiczny na program – „sytuacja awaryjna” i na wszelki wypadek wzmógł stopień inteligencji dziewczyny o sto punktów.

– Co o tym sądzisz? – Hyp Sar wskazał na widniejący na ekranie punkt.

– Tor jego lotu wskazuje na przybycie z sąsiedniego systemu, w którym już wcześniej stwierdziliśmy istnienie prymitywnej cywilizacji – odparła po chwili namysłu dziewczyna – ale istnieje przecież prawdopodobieństwo, że statek ten już kilkakrotnie zmieniał kierunek swego lotu, toteż nie zdziwiłabym się wcale gdyby przybywał na przykład z krawędzi galaktyki.

– Taak, oba te wnioski są bardzo słuszne – pokiwał głową Hyp Sar – problem tylko w tym, który z nich jest prawdziwy? Prymitywne kultury z sąsiedniego systemu dawno już mogły poczynić znaczne postępy. Właściwie powinniśmy byli tam już dawno polecieć powtórnie i przekonać się o tym.

– A czy nie istnieje możliwość, że owe błyski fotonów nie mają nic wspólnego z napędem? – spytała nagle Vyasa.

– Sądzisz, że mogą to być po prostu przesłane w naszym kierunku sygnały? Ale przecież w takim wypadku musieliby wiedzieć o naszym istnieniu.

– Może więc polecimy satelitom odnalezienie kodu – śmieiej już zaproponowała dziewczyna.

– Dobrze – zgodził się Hyp. – Ja tymczasem zwołam naradę naukowców. Tak czy tak, trzeba zaistniałą sytuację rozpatrzyć pod kilkoma kątami. – Aha – dodał – i niech satelity w dalszym ciągu przesyłają na pokład tego obiektu wskazówki nawigacyjne. Jeśli szukają oni kontaktu, to może też będzie potrzebny im materiał do znalezienia kodu naszego języka. No, to na razie wszystko. Jutro znowu się zobaczymy. Chyba... chyba że się wcześniej odezwą. – Przyłożył rękę do czoła w charakterystycznym geście pożegnania i rozplynął się bez śladu.

*

Seig Prem obudził się. Półprzytomnym wzrokiem rozejrzał się po dużym, zajmującym pół piętra wieży pokoju.

– Nareszcie w domu – pomyślał. – No, może jeszcze nie całkiem w domu, ale przynajmniej w rodzinnym Układzie. A poza tym, to tu przecież jest Vyasa. Już nie długo kończy swój dyżur na stacji i znowu będziemy mogli razem rozgościć się w swoim domu na Oasis-Vitrze. Przeciągnął się leniwie, wstał, przespacerował do okna...

– Zaraz powinna wrócić z centrum – przypomniał sobie. Zamiast jednak wziąć się za jakieś takie uprzątnięcie pomieszczenia, z przyjemnością przyglądał się roztaczającemu się za oknem widokowi. Tuż u stóp wieży mieszkalnej rozciągał się przedziwny park. Można w nim było dojrzeć rośliny przywiezione tu ze wszystkich planet układu. Wśród morza roślin tu i

ówdzie rzucał się w oczy ukryty zmyślnie w zieleni domek któregoś z pracowników stacji. Park urządzony był jednak tak, że długo wpatrywać się musiał w przysłonięte konarami i pergolami ścieżki, nim udało mu się wypatrzeć na jednej z nich poruszającą się postać jakiegoś naukowca, czy może robota.

Sixta nie była zbyt częstym celem podróży turystów. Przeznaczona na placówkę naukową stanowiła jednocześnie miejsce wypoczynku dla tych, którzy na pewien okres pragnęli oderwać się od zgiełku codziennego życia na tętniących gwarem planetach wewnętrznych.

Rozważania te przerwało wejście Vyasy. Seig odwrócił się od okna i z radością objął dziewczynę.

– Witaj! – wykrzyknął. – Czy bardzo ciężko zniosłaś okres naszej rozłąki? – Mówiąc to przyglądał jej się z radością.

– Nie patrz tak – skarciła go Vyasa – Tam, po drugiej stronie planety jest taka dolina, którą nazywamy doliną fiołkowych kamieni. Przebywają tam kosmonauci po dalekich lotach, gdy powoli przywyknąć chcą do starego świata. Teraz jest tam pusto. Zarezerwowałam więc dla nas samotny dom. Ty będziesz mógł łatwiej zaaklimatyzować się z powrotem, a poza tym – uśmiechnęła się przelotnie – będziesz mógł napatrzeć się na mnie aż do znudzenia...

– Nie sądzę, żebym tak łatwo się znudził, wytrzymałem dziesięć cykli samotnej próżni... – roześmiał się Seig głośno.

Vyasa zadowolona, ale i trochę zażenowana odwróciła twarz w kierunku okna. Omiatając przelotnym spojrzeniem alejki parku dostrzegła zmierzającego pospiesznie w ich kierunku Hyp Sara.

– Muszę ci coś koniecznie opowiedzieć – powiedziała odwracając się gwałtownie. – Dziś zauważyliśmy lecący w pobliżu Sixty niezidentyfikowany statek kosmiczny. Musiało się wydarzyć coś niezwykłego, skoro sam Administrator idzie do nas.

*

Gdy stary kosmonauta przekraczał próg ich pokoju, na jego twarzy dostrzec można było ogromną radość.

– Zaraz wam wszystko opowiem! – krzyknął. – Jak pragnę nieśmiertelności, nie sądziłem, że dożyję tak radosnego momentu! Ten statek pochodzi z sąsiedniego systemu – z Ziemi. Odkryte przeze mnie wczesne kultury osiągnąć musiały próg dojrzałości!

– Zatem powinniśmy w końcu nawiązać z nimi kontakt – powiedziała Vyasa.

– Najwyższa pora – potwierdził Hyp Sar. Był jedynym z mieszkańców Oasis-Sandra biorących udział w pionierskiej wyprawie na Ziemię, który dożył tego momentu. Nic więc dziwnego, że cieszył się teraz jak dziecko.

– Przyszedłem do was z pewną prośbą – powiedział po chwili milczenia. – Czy mógłbyś mi, Seig, pomóc w na wiazaniu z nimi kontaktu? Wprawdzie nie zdążyłeś jeszcze nawet wypocząć po trudach dalekiej wyprawy, może jednak chciałbyś urzeczywistnić marzenie jednego starca, jest nas tu niewielu, sam więc rozumiesz jak cenna jest każda pomoc.

– Naturalnie – odparł Seig – bardzo chętnie przyłączę się do waszego zespołu – tym bardziej, że jest w nim Vyasa. A zapewne i ona pozostanie tu tak długo, jak długo nie skończy się ta sprawa. Mam już dość samotnych wędrówek międzyplanetarnych, nawet jeśli do przebycia pozostał mi jeden jedyny, i do tego znajomy Układ.

– Dobrze – powiedział Hyp Sar. – Ustaliliśmy więc na posiedzeniu Rady, że najłatwiej będzie nam uzyskać kontakt z przybyszami, gdy uprzednio uda nam się zdobyć o nich jak najwięcej wiadomości. W tym celu musimy przedostać się do wnętrza ich statku za pomocą teleportu. Naturalnie nie będziemy tego robić w tajemnicy. Musimy dać im do zrozumienia, że mamy jak najlepsze intencje. Myślę, że owym zwiadowcą powinieneś być właśnie ty, Seig. Ze względu na swoje doświadczenie i wiedzę, najłatwiej z nas wszystkich zorientujesz się w

sytuacji panującej na tamtym statku. W zasadzie niczego więcej od ciebie nie wymagamy. Pozwólmy im krok po kroku zapoznawać się z nimi. Najpierw zaprosimy ich tutaj, później niech lecą na Oasis-Vitra i Oasis-Sandra. Czy sądzisz, że twoja kondycja pozwala na realizację teleportu?

– Tak, czuję się w pełni sprawny – odparł Seig – możemy zacząć choćby zaraz...

*

Trans-Sol-1 – pierwszy międzygwiazdny statek fotonowy Ziemi pilotowany był przez czwórkę kosmonautów. Dziś właśnie przypadała czwarta rocznica startu z macierzystej planety, dziś też minęli granicę systemu, który był celem ich podróży – oddalony od Ziemi o dwanaście lat świetlnych układ planetarny Epsilon Eridani. Zgodnie z założeniami ekspedycji okrążyć mieli tutejsze słońce po wydłużonej orbicie i powrócić na spotkanie dwu następnych, lecących za nimi w odległości kilku miesięcy, statków badawczych. Czy po tym pierwszym zwiadzie zdecydowano by się na lądowanie na którejś z planet – to zależało od jego wyników. Nikt z przygotowujących wyprawę nie liczył raczej na spotkanie z jakimikolwiek formami życia. Na Ziemi panowało powszechnie przekonanie, że wiele lat upłynie, nim któraś z wypraw spotka się na swoim szlaku z kosmicznymi braćmi.

*

Hid Largo i Pal Torsen siedzieli w sali koncertowej. Z estrady dopływały tony klasycznego utworu Händla. Byli jedynymi żywymi ludźmi w tym ogromnym, wypełnionym po brzegi pomieszczeniu. Wszyscy pozostali widzowie, orkiestra jak i sam ogrom sali były jedynie wytworem znakomitej iluzji, wywołanej przez projektor fantomatyczny. Statek zaopatrzony był doskonale we wszelkiego rodzaju programy. Nie ruszając się z ciasnej sterowni kosmonauci przebywać mogli na plaży i na ośnieżonych szczytach gór, zwiedzać – nigdy w rzeczywistości nie oglądane – zakątki Ziemi i wygrzewać się we własnym ogrodzie koło domu. Niespodziewanie koncert został przerwany, a sala koncertowa rozmyła się jak zdmuchnięty płomień świecy.

Do kabiny wszedł Hassan el Nur – komendant T-S-1.

– Przepraszam za przerwę w koncercie – powiedział – musimy jednak natychmiast coś omówić. – Mówiąc to położył przed nimi na pulpicie dwa diagramy, jeden z nich pokazywał krzywą nagrzewania zwierciadła fotonowego, drugi – wzrost napięć dipolowych anten.

– Co o tym sądzicie? – zapytał.

Hid Largo przyjrzał się przyniesionym przez dowódcę wykresom, pokręcił z niezadowolaniem głową i powiedział:

– Zwierciadło fotonowe długo nie wytrzyma, jeśli nie zdecydujemy się natychmiast na podjęcie jakichś środków zaradczych. Sądzę, że w tym stanie możemy sobie pozwolić na jakieś sto błysków hamujących i to wszystko.

– Zgadza się – potwierdził krótko komendant – więc co radzisz?

– A co radzi komputer? – chciał jeszcze wiedzieć Hid.

– Tyle błysków hamujących, ile potrzeba by zawrócić w lokalnym polu grawitacyjnym.

– To znaczy, że mamy wracać na Ziemię bez rezultatów badań, tak jak stoimy?

– Niestety, na to wygląda!

*

Napęd fotonowy. Największe osiągnięcie Ziemi w technice lotów kosmicznych. Przez cały czas lotu silnik sprawował się bez zarzutu. Kłopoty zaczęły się dopiero po przeje-

ściu na hamowanie i odwróceniu statku. Od kiedy T-S-1 obrócił się zwierciadłem do przodu, przez cały czas narażony był na uszkodzenie lustra drobinami kosmicznego pyłu. Wywołany fotonowym błyskiem żar dopełniłby wówczas dzieła zniszczenia. I oto przed kilkoma dniami przyrządy wykazały po raz pierwszy wzrost temperatury lustra ponad dopuszczalną normę.

– Może zamiast hamować, przyspieszymy prędkość lotu do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent prędkości światła i rozpoczniemy podróż wokół wszechświata? Przy tej prędkości stalibyśmy się istotami względnymi i mogli byśmy żyć ze trzy miliony lat według ziemskiej rachuby czasu – podsunęła ironicznie Pal Torsen.

– Mówiłoby się wtedy o tobie: Pal z gwiazd – zbył jej uwagę Hid. – Nie wpadaj dziewczyno w panikę.

– Nie jest aż tak źle, żartowałam. Ale tak już na poważnie, to jeśli drugi z wykresów nie kłamie, możemy sądzić, że na naszych antenach dzieją się dziwne rzeczy. Dodatkowe napięcia, rejestrowane przez tę krzywą, mają zdumiewająco uporządkowaną strukturę...

– Czy mogą być wywoływane sztucznie? – zainteresował się Hassan.

Wszyscy pomyśleli o tym samym, nikt jednak nie odważał się przez dłuższą chwilę wypowiedzieć tego głośno.

– Trudno mi w to uwierzyć – odezwał się znowu komendant. – Przecież w tej okolicy nie powinno być żadnych inteligentnych istot. Odległość między jednym światem zamieszkanym a drugim wynosi według obliczeń naszych naukowców przeciętnie trzysta lat świetlnych. A my już tu mielibyśmy napotkać kogoś? Niemalże pod naszym bokiem?

Sprawdzili jeszcze raz wskazania przekaźników antenowych. Otrzymany wykres zgadzał się z poprzednim...

– Pozostaje nam czekać, co z tego wyniknie. I tak jesteśmy bezradni. Proponuję trochę odpocząć – stwierdził w końcu Hassan. – Hid, ty zostajesz jeszcze przez godzinę, potem zmieni cię Pal. To na razie wszystko, dziękuję wam za konsultację.

Hassan odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w kierunku kabiny. Bynajmniej nie miał zamiaru spać. Wiedział też, że nie zrobi tego żaden z członków załogi. Lepiej jednak wprowadzić atmosferę pozornego przynajmniej spokoju. Jego autorytet dowódcy gwarantował, że inni będą przynajmniej starali się go naśladować.

Po wyjściu Hassana Hid jeszcze raz zaczął sprawdzać wszystkie wskazania urządzeń. Pal natomiast siadła przed wielkim ekranem i podparwszy głowę rękami wpatrywała się w dalekie przestrzenie usianego gwiazdami nieba. Obserwatorów, którzy odkryli zapewne ich statek, nie należy chyba poszukiwać wśród odległych słońc. Muszą być gdzieś blisko, może na sąsiednich planetach? Narastający niepokój starała się zagłuszyć rozmową. O byle czym. Mówić, jak najwięcej mówić...

– Mogę całymi dniami przechodzić obok tego ekranu i nawet na niego nie spojrzeć – powiedziała – ale potem nagle uświadamiam sobie, że gwiazdy wyglądają stąd o wiele piękniej, niż z Ziemi. Czasem wywołują we mnie zdumienie swą okazałością. Niekiedy żal mi ludzi, którzy wspaniałości wszechświata znają jedynie z filmów i holowizji. Wiesz, Hid, kiedyś, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką, powyciągałam z katalogów instytutu mojego ojca zdjęcia najwspanialszych gwiazd. Gdy to odkrył, był bardzo zły. Myślałam już, że nie minie mnie zasłużona kara, ale wyobraź sobie, że nie. Mój staruszek przyszedł do mnie, usiadł obok na dywanie, rozłożył zdjęcia naokoło i zaczął mi opowiadać o zaklętych w nich światach. Zdaje się, że narobiłam wówczas z radości strasznie dużo krzyku, bo pamiętam, że w końcu przerwał swoją opowieść i powiedział do mnie:

– No, no, robisz tyle wrzasku, ile potrafi jedynie całe drzewo pełne młodych wróbli...

Hid patrzył na nią z zazdrością. W tej opowieści było tak wiele dziecinnej świeżości, tyle prawdziwego entuzjazmu. On sam w ciągu tych czterech lat zdążył już przywyknąć do rozciągającego się wokół statku gwiazdnego krajobrazu i ze zdumieniem odkrywał, że jego towarzysze wciąż jeszcze traktują go jak coś niezwykłego. Nieświadomie uczynił zrezygno-

wany ruch ręką. I nagle znalazł się na brzegu morza. Widok był nieco niesamowity, gdyż Pal siedziała przed gwiazdowym ekranem u wrót ogromnego zamku z piasku. Gwiazdziste niebo nie pasowało zupełnie do widniejącego wokół tłumu kąpiących się i ganiających po plaży, opalonych na brąz ludzi.

Pal, zdumiona, rozejrzała się wokół i nagle roześmiała się głośno. Całe napięcie minionych godzin znikło jak ręką odjął.

– To przez przypadek – wyjaśnił Hid. – Machnąłem ręką i zawadziłem o wyłącznik, przepraszam.

– Nie szkodzi, to bardzo dobry przypadek – odpowiedziała dziewczyna.

Hid uśmiechnął się i wyłączył projektor. Jego wzrok powędrował w przestrzeń za ekranem. Pobudzony zwierzeniami dziewczyny zastanowił się nad własnym stosunkiem do wszechświata. Było coś niezmiernie groźnego w tym, że wielka z pozoru, wypełniająca na wskroś młodzieńcze sny Ziemia pozostaje z tyłu zmniejszając się, wreszcie niknąc w głębi czarnej pustki. Tym razem mógł przekonać się, że tak samo maleć może cały system planetarny. I oto teraz przed jego oczyma wyrasta inny, obcy system. Ze względu na te wrażenia skłonny był czasem traktować cały kosmos jak jeden wielki seans holograficzny. Chciał to wszystko opowiedzieć Pal. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu dziewczyny, lecz musiała widocznie wyjść niepostrzeżenie, gdyż był sam. Albo prawie sam. Tuż przed pulpitem radiowym pojawiła się wielka, przezroczysta kula. W środku poruszał się jakiś niezidentyfikowany stwór. Hid pokręcił głową. Cóż za kawał ta Pal znowu wymyśliła? Może to taka niewinna zemsta za przerwanie wspomnień? Obejrzał się w stronę projektora, ale fantomat był wyłączony.

– A może ma to coś wspólnego z tymi dodatkowymi napięciami na antenach? – mruknął sam do siebie i wcisnął guzik łączności z komendantem. Jeszcze nie ochłonał na widok niecodziennej zjawy, gdy w kabinie pojawili się Hassan, Pal i Mona Sommer.

Oni również ze zdumieniem przyglądali się tajemniczemu zjawisku. Wnętrze kuli w dalszym ciągu pozostawało niewyraźne. Niewiele też pomogły natychmiast przeprowadzone analizy wskazań przyrządów. Sygnały, które wywołały w kabinie oglądany przez nich obraz, musiały pochodzić z zewnątrz. To nie podlegało dyskusji. A przecież wokół panowała pełna pustka. Żadnych pojazdów kosmicznych, żadnych nie dostrzeżonych przedtem planetoid czy satelitów. Jedno tylko nie dało się zaprzeczyć. Kimkolwiek byli obcy, byli o wiele potężniejsi technicznie od Ziemi. A pojawienie się kuli traktować należało chyba jako próbę nawiązania kontaktu.

– Kiedyś słyszałam na Ziemi o pewnej teorii, według której przy dalszym rozwoju telewizji i projekcji holograficznych byłoby do pomyslenia zjawisko nazwane teleportacją – szepnęła Mona. – To, co widzimy przed nami, może być właśnie potwierdzeniem owej teorii...

Hassan el Nur czuł się nieswojo.

– Istoty, które opanowały do tego stopnia zasadę teleportacji, by przez wiele jednostek astronomicznych wniknąć do wnętrza obcego pojazdu, dawno już musiały zbadać wiele tajemnic wszechświata. Nie jest miło być kosmicznym karzełkiem.

Pal Torsen dostrzegła smutek na twarzy dowódcy, zaśmiała się nagle i zawołała:

– Być może we wnętrzu kuli znajduje się wysłannik istot panujących w tej części wszechświata. Będzie bardzo zawiedziony lub też bardzo rozśmieszony waszymi markotnymi minami. W obu wypadkach nie wypadniemy w tej nietypowej kosmicznej konfrontacji zbyt dobrze. Róbcie przynajmniej szczęśliwsze miny i nie bądźcie tak śmiertelnie przestraszeni, gdy nasi gospodarze przedstawią się.

– Łatwo ci mówić – mruknęła Mona Sommer – ja nigdy nie potrafiłam sobie wyobrazić spotkania z przedstawicielami innej cywilizacji. A jeśli już, to nie w ten sposób. Przecież oni odebrali nam całkowicie inicjatywę...

– Nie pozostaje nam nic innego, jak jedynie domyślać się ich zamiarów – powiedział

Hid – przynajmniej na razie. Wygląda na to, że oczekiwali nas tu już od dłuższego czasu i zdążyli się odpowiednio przygotować. Może więc lepiej będzie, jeśli sami nie mogąc nic zaproponować, nie będziemy im po prostu przeszkadzać...

*

Pomimo wyrażonej bez namysłu zgody na wzięcie udziału w eksperymencie, Seig Prem nie lubił zabaw z teleportacją. Mieszkańcy Oasis-Vitra i Oasis-Sandra, mimo że cywilizacje ich dysponowały wspaniałą techniką, a i sami często nią się posługiwali – czuli się niepewnie, gdy sytuacja zmuszała ich do całkowitego uzależnienia się od owej techniki.

Hyp Sar jakby wyczuł wahania młodego kosmonauty, gdyż nagle powiedział:

– Być może to wcale nie my jesteśmy celem ich ekspedycji. Nie wiedzą przecież nic o naszym istnieniu. Ale szkoda byłoby, gdybyśmy zmarnowali tak wspaniałą okazję do wzajemnego poznania się.

Uspokojony Seig poddał się przygotowaniom czynionym przez dyżurnego technika Or Luma i już po chwili poczuł, że przebija wieczną pokrywą chmur Sixty i kieruje się w stronę nieznanego kosmolotu. Wiedział jednak, że jest to uczucie pozorne, wywołane niedoskonałością zmysłów. W rzeczywistości jego ciało w dalszym ciągu pozostawało na stacji i jedynie jego bioenergetyczna kopia została z przekraczającą szybkość światła prędkością przesunięta w przestrzeni. Wreszcie poczuł, iż znajduje się już w tak zwanej beta sferze na pokładzie obcego statku kosmicznego.

Z ciekawością rozejrzał się po niecodziennym otoczeniu. W pierwszej chwili trudno mu było zidentyfikować gospodarzy. Wreszcie wśród wielu wypełniających wnętrze kabiny sprzętów dojrzał poruszającą się istotę o parzyście symetrycznym układzie ciała i z umieszczonym w najwyższym punkcie korpusu nerwowym centrum sterowania. Wspomagający go mózg na Sixcie natychmiast przekazał mu wiadomość, że Ziemianie niewiele zmienili się zewnętrznie od czasu pobytu tam ostatniej ekspedycji przed około pięcioma tysiącami cykli.

Obcy kosmonauta podniósł się z zajmowanego miejsca, zbliżył do beta sfery i wyciągnął obie ręce. Seig nie wiedział, czy to oznacza powitanie, czy też po prostu podróżnik zbadać chce charakter zjawiska. Nagle do kabiny wbiegły jeszcze trzy istoty. Seig poczuł, że pole emocjonalne znacznie wzrosło. Zwłaszcza jedna z Ziemianek wydała mu się źródłem niezwykle przyjacielskiego promieniowania.

Uznał więc, że nadeszła odpowiednia chwila do rozpoczęcia próby nawiązania bezpośredniego kontaktu. Dla zachowania formalności wypowiedział kilka słów powitania i usunął się na dalszy plan swej beta sfery. W miejscu, w którym przebywał przed chwilą, pojawiać się zaczęły obrazy. Ukazał więc Ziemianom start z powierzchni Sixty towarzyszących jego misji statków, które manewrując w przestrzeni jakby zapraszały przybyszów do lądowania na powierzchni planety. W tym celu obraz statku Ziemian poprowadzony został na orbitę, gdzie w jego pobliżu pojawił się pojazd Eridańczyków zapraszający do przesiadki.

Seig pragnął jeszcze pokazać obcym przybyszom sposób lądowania i dla większej pewności zrozumienia powtórzyć wszystko od początku. Przygotowywał się właśnie do tego, gdy nagle stało się coś niespodziewanego. Miał na pokładzie obcego statku kosmicznego stał na brzegu szerokiej nadmorskiej plaży. Kłębiło się na niej mrowie roześmianych ludzi. Gdzieś w dali wznosiły się jakieś budowle, dochodził ryk jakichś pojazdów. Po chwili zrozumiał – stał na ojczystej planecie Ziemian! Wniosek jaki mu się nasunął w wyniku analizy sytuacji przeraził go – skoro Ziemianie w ciągu kilku sekund potrafili teleportować go przez dziesiątki lat świetlnych na powierzchnię własnej planety, to ich znajomość wszechświata przewyższa nie tylko Eridańczyków, ale w ogóle wszystko, co można sobie wyobrazić. Hyp Sar musiał pomylić się w swojej ocenie.

W tym momencie obce otoczenie znikło. Seig zrozumiał swoją pomyłkę. To nie była

teleportacja – to po prostu holograficzna iluzja. Musiał jednak skupić się znowu, gdyż Ziemianie zalali go teraz falą obrazów z ojczystej planety. Podczas gdy on usiłował ich krok za krokiem przygotować do lądowania na Sixcie i ustalić jakiś wspólny kod porozumienia, oni bez przerwy pokazywali mu nowe zakamarki własnej planety. W sumie nie było to głupie. Dawało przecież tak potrzebne informacje o środowisku i życiu przybyszów. I znowu wyglądało na to, że Ziemianie byli znacznie lepiej przygotowani do nawiązania kontaktu niż to przewidział Hyp Sar. Nie mógł przecież wiedzieć, że wszystko, co dzieje się wokół zawdzięcza przypadkowi. Poprzedniego wieczoru Hid Largo przytaczał projektor do sterowni i nie chciało mu się go odnieść z powrotem. W ciasnym pomieszczeniu często włączał się przypadkiem, gdy ktoś przez nieuwagę dotknął jego klawiszy. Tak było i tym razem.

Gdy Hid przez pomyłkę włączył projektor – Pal natychmiast wykorzystwała to dla przedstawienia Ziemi gościowi z innego świata.

Seig Prem skrzętnie zgromadził wszystkie informacje przekazane mu przez Ziemian i gdy czas teleportacji dobiegł końca dysponował większą wiedzą o przybyszach niż mógł się tego przed rozpoczęciem eksperymentu spodziewać.

*

– To są na pewno Ziemianie! – stwierdził z zadowoleniem Seig, gdy opuszczał alfa sferę na Sixcie. Przez chwilę, przy pomocy Or Luma i Hyp Sara, uwalniał się z kokonu oplatającej go aparatury, po czym wraz z Vyasą, technikiem i administratorem opuścił pomieszczenie, by przystąpić do natychmiastowej analizy danych.

W centrali pozostał samotny Sem3Set. Widząc niezwykle ożywienie badaczy wywnioskował, że przez dłuższy czas będzie w centrali sam. Postanowił więc w tajemnicy przed Eridańczykami sam spróbować teleportacji i obejrzeć obcy statek.

Na pokładzie Trans-Sol-1 Mona Sommer powiedziała niemalże w tym samym momencie:

– Ciekawe, kiedy mieszkańcy tego systemu złożą nam znowu taką zdumiewającą wizytę.

Stojący obok Hassan el Nur nie zwrócił jednak uwagi na jej słowa. Z rosnącym niepokojem wpatrywał się w świeżo otrzymane wyniki analizy powierzchni fotonowego lustra.

– Spójrz na to – odezwał się po chwili – w sektorze czwartym utworzyła się nowa matowa plama. Zamiast wysyłać kwanty, miejsce to pochłania ich coraz więcej. Przy najbliższym uderzeniu fotonów stan może przekroczyć wartość krytyczną. Musimy jak najszybciej wyjść na zewnątrz i starać się przynajmniej prowizorycznie doprowadzić lustro do jakiegoś takiego stanu użyteczności.

Oboje tak byli zajęci studiowaniem analiz lustra, że nie zwrócili uwagi na wytwarzającą się znów w ich pobliżu beta sferę.

Sem3Set orientował się w nowym otoczeniu bardzo dobrze. Połączony z analizatorami na Sixcie w każdej chwili przyjmował nowe informacje przekazywane urządzeniom przez Seiga. Dzięki temu dysponował też pewnym zasobem ziemskiego słownictwa. Postanowił więc zacząć rozmowę. Podniósł jeden z chwytaczy, skinął nim i zawołał:

– Halo! Moi kochani! Cieszę się, że was wreszcie widzę. Wasze przybycie jest wzruszającą sprawą dla żyjących na Sixcie! Jak się pani powodzi, madam? A ty, jak się czujesz, stary? Właśnie słyszałem, że masz kłopoty.

Hassan el Nur odwrócił się i ze zdumieniem wytrzeszczył oczy w kierunku, z którego dobiegł niespodziewany głos. Mona krzyknęła i w pierwszym odruchu schowała się za plecami kapitana. We wnętrzu migocącej kuli nie można się tym razem było dopatrzeć kształtów żywej istoty. Oczom kosmonautów ukazał się jakiś dziwny stwór o spłaszczonym, owalnym tułowiu z licznymi chwiejącymi się czułkami anten.

– Czego się tak na mnie gapicie – zawołało „uprzejmie” zjawisko i z gracją obróciło się na swej jedynej gumowej nodze. – Macie takie spojrzenia jak Gryzacz.

Przez chwilę zapanowała pełna konsternacji cisza, po czym stwór w beta sferze przemówił znowu:

– Ach, tak, wybaczenie. Zapomniałem się przedstawić. Jestem Sem3Set, osobisty Uniwersalny Robot Towarzyszący Vyasy Ult. Przybyłem do was jedynie na kilka minut i na dodatek bez wiedzy Eridańczyków. Mam nadzieję, że mnie przed nimi nie wsypiecie?

Sem3Set starał się mówić tak jak Ziemianie. Wprawdzie jego sposób zachowania wydawał się nieco specyficzny, ale przecież dysponował jedynie słownictwem podsłuchanym na plaży. Starał się więc dostosować je do aktualnej sytuacji i trzeba przyznać, że nawet mu się to udawało.

Hassan el Nur, który sądził początkowo, że ma do czynienia ze źle przeprowadzoną teleportacją, uśmiechnął się słysząc wyjaśnienia robota i postanowił odwdziżyć mu się pięknym za nadobne. Zrobił więc najbardziej poważną minę na jaką go było w tej sytuacji stać i powiedział:

– Cieszę się, że cię u nas widzę, stara kupo żelastwa. Gdyby nasze roboty włóczyły się tak jak ty, kazałbym je za karę przerobić na otwieracze do puszek. Nie martw się tym, że mamy oblicza jak Gryzacz. Tobie nic przecież nie grozi. A jeśli Eridańczycy spuszcza ci manto za twoją samo wolę, na pewno nie będzie w tym naszej winy. Ponieważ jesteś takim miłym chłopcem to powiedz nam jeszcze, czy teraz mamy się przygotować na kolejne wizyty innych robotów?

– Nie, nie! – zapewnił Sem3Set – jestem jedynym robotem na stacji, który ma dostęp do sali sterowania teleportacją. Ale, ale, cóż to za krzywa cię tak martwi? Czy mógłbym ją dokładniej obejrzeć?

Zaskoczony brzmieniem obcego głosu Hassan el Nur upuścił w chwili pojawienia się robota wykres sprawności lustra. Taśma zsunęła się prawie do granicy beta sfery i Mona cały czas usiłowała niepostrzeżenie ją stamtąd odciągnąć. Te zabiegi zwróciły wreszcie uwagę robota. Gdy dostrzegł wreszcie o co chodzi, doszło do głosu jego zaprogramowanie na analizę krzywych pomiarowych.

Hassan potrzywał przez chwilę taśmę przed kamerą robota. Nie sądził bowiem, że ten, wybierając się na własną rękę z nie zaplanowaną wizytą mimo wszystko utrzymywać będzie stałe połączenie z centralnym komputerem. Nie chciał natomiast robić przykrości sympatycznej w końcu i ciekawskiej maszynie.

– Cóż za bzdurna sytuacja – myślał – stoję tu i tłumaczę jak równy równemu niebezpieczeństwo zagrażające naszemu statkowi jakiemuś fantomowi robota, który wśliznął się do nas bez wiedzy swoich mocodawców.

W międzyczasie Mona Sommer zawiadomiła o niezwyklej wizycie pozostałą dwójkę. Gdy Hid Largo i Pal Torsen wbiegli do sterowni robot nagle cofnął się i zawołał:

– Wielkie nieba! Vyasa Ult jest tu na pokładzie? Jak to możliwe? Jego antenowe wyrostki kołysały się niespokojnie kierując się jednocześnie w stronę Pal.

– Znane promieniowanie – mruczał – prawie identyczne jak u mojej pani. To nie do uwierzenia.

Podobieństwo Ziemianki do jego właścicielki było tak uderzające i tak nieprawdopodobne zarazem, że elokwentnemu robotowi przez chwilę zupełnie zabrakło konceptu.

– Ty, Ziemianko – powiedział wreszcie – mogłabyś być siostrą Vyasy Ult.

– Cieszę się – odparła zaskoczona Pa! – że moje podobieństwo do istoty ze świata, z którego przybywasz jest tak wielkie. Pozdrów swoją panią i zapytaj czy może my się wkrótce spotkać?

– Ależ naturalnie, w każdej chwili możecie przybyć do naszego świata. Mieszkańcy Sixty, a przede wszystkim Hyp Sar, czekają na was już od prawie stu lat.

Kosmonauci popatrzyli na siebie zdumieni, jak to możliwe, by od stu lat oczekiwano tu wizyty z Ziemi?

Robot jednak nie pozostawił im dużo czasu do namysłu, wtrącił bowiem:

– Wybaczcie, teraz muszę zniknąć, gdyż będę miał duże nieprzyjemności. Mój sektor logiczny melduje mi, że wkrótce otrzymacie pomoc. Nie używajcie już swoich silników, gdyż sytuacja jest krytyczna. Zahamuje się wasz lot w inny sposób i skieruje się wasz kosmolot na Sixtę. – Mówiąc to pomachał im chwytnym. W chwilę później beta sfera zniknęła z kabiny.

*

Or Lum, Hyp Sar, Seig Prem i Vyasa Ult wbiegli pospiesznie do pomieszczenia kierowania teleportacją. Wezwał ich niespodziewanie sygnał alarmowy nadany przez automaty. Or Lum jednym spojrzeniem dostrzegł, że większość urządzeń była ruszana. Jeszcze teraz dostrzec mogli Sem3Seta urzędującego przy pulpicie. Korzystając z kanałów bezpośredniej łączności prowadził ożywione rozmowy z cybernetykami pracującymi w podziemiach wieży. Wchodząc zdążyli jeszcze usłyszeć:

– Aha! Dobrze! Zrozumiałem. Dokładnie tego się spodziewałem, tylko moje układy logiczne nie wystarczały do sprawdzenia wszystkiego w tylu programach naraz.

Gdy spostrzegł, że nie jest już sam w sali odwrócił się do wchodzących i zawołał:

– Vyasa Ult! Ludzie pozdrawiają was!

– Kto pozdrawia? – zdziwiła się Vyasa. – Ludzie? Co to jest?

– Ziemianie powiedzieli: „My, ludzie”. A więc nazywam ich właśnie tak. To chyba logiczne? Prawda?

– No, tak, ale skąd ten sygnał alarmu?

– Wysłałem go, ponieważ byłem na pokładzie statku kosmicznego Ziemian i widziałem krzywą mierniczą ich lustra fotonowego. Dałem te dane dyżurnym cybernetykom i proszę – wynik macie na tamtym ekranie. Będziemy musieli im pomóc.

Tuż obok Hyp Sara zapalił się na jednym z monitorów napis: Bezpieczeństwo statku Trans-Sol-1 według naszych norm równe zero. Zdolność manewrowania statkiem poważnie ograniczona. Lot powrotny do sąsiedniego Układu niemożliwy. Wniosek: załoga powinna jak najprędzej opuścić swój pojazd kosmiczny. Stałe niebezpieczeństwo katastrofy.

Opuszczenie statku było rzeczywiście najlepszym wyjściem. Toteż po kilku teleportacjach Eridańczyków na pokład Trans-Sol-1, gdy do statku zbliżyły się wysłane z Sixty kosmoloty i zahamowały jego lot. Ziemianie zdecydowali się przejść do zaproponowanego przez Eridańczyków pojazdu.

Przygotowany przez nich kosmolot wyglądał jak wielka hantla. Gdy nadszedł moment opuszczenia statku, kosmonautów ogarnęły nagle wątpliwości. W końcu żyli się ze swoim pojazdem, który przez tyle lat niósł ich niestrudzenie przez pustkę kosmosu.

– Czy nie lepiej byłoby – zapytała Mona Sommer – gdyby jeden z nas obejrzał najpierw ten eridański prezent?

– Wydaje mi się, że możemy im chyba zaufać – stwierdził Hassan – ale popieram twój pomysł. Być może, ci którzy poprzez teleport weszli z nami w kontakt znajdują się tam, na pokładzie hantli, i wyjaśnią nam, co czeka nas na dole. Ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Czy zgodzicie się żebym to ja był tym pierwszym, który postawi stopę na pokładzie obcego statku?

Zgodzili się wszyscy, aczkolwiek wszystkim nieswojo zrobiło się na myśl, że oto jeden z nich samotnie wychodzi naprzeciw nieznanego. Hassan włożył skafander i po chwili szybował już w kierunku hantli.

Dostawszy się do środka stwierdził, że nietypowa rakieta była bardzo wygodnie i praktycznie wyposażona. Największe jednak zdumienie wywołało w nim pomieszczenie

sterowni. Przed pulpitami stały tam cztery wygodne, jakby specjalnie dla ludzi wykonane fotele. Zdumienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy na grzbietach foteli odkrył tabliczki z imionami i nazwiskami – swoim i swoich kolegów. Rozejrzawszy się jeszcze po pojeździe stwierdził, że nic nie stoi na przeszkodzie by jednak odłożyć na bok wszelkie wątpliwości i skorzystać z uprzejmości gospodarzy Układu. Wrócił więc czym prędzej na Trans-Sol-1 by podzielić się swoimi spostrzeżeniami i pomóc w przenosinach.

Przez kilka godzin kursowali tam i z powrotem wynosząc ze swojego statku całe wyposażenie niezbędne w przypadku gdyby zostali na planecie zdani na własne siły. W końcu drzwi śluzy obcego statku zatrzasnęły się za nimi po raz ostatni. Na wszelki wypadek nie zdejmowali jeszcze skafandrów, nie wiedząc dokładnie, w jaki sposób będą dalej podróżować.

Pal Torsen rozejrzała się niepewnie po jego wnętrzu i powiedziała:

– To niemożliwe, żeby Eridanie wszystko to w tak krótkim czasie przygotowali specjalnie dla nas. Wszystkie pomieszczenia i urządzenia są jakby dostosowane do naszych wymiarów. Może oni rzeczywiście są tak bardzo do nas podobni.

– Od czasu teleportacji wiedzą dokładnie jak wyglądamy. Dlaczegoż by mieli nie móc wyposażać tego statku specjalnie dla nas? Przecież my w dalszym ciągu nic prawie o nich nie wiemy – powiedział Hid.

Hassan tymczasem studiował napisy na pulpitach. Obok napisów w nieznanym języku ktoś umieścił tabliczki z ziemskimi objaśnieniami.

– Atmosfera, ciśnienie, temperatura w normie – powiedział w końcu zdejmując hełm.

Nagle do wnętrza kabiny wdarł się śpiewny poszum i na ogromnym ekranie sterowni ujrzeli coraz bardziej w tyle pozostający Trans-Sol-1.

– Ładujemy – powiedział Hassan.

W tym samym momencie ekran pokrył się obrazem gwałtownie uciekających w górę strzępiastych chmur.

– I tu mają mieszkać jakiegokolwiek żywe istoty – zdumiała się Mona ujrzawszy pod sobą monotony, kamienisty krajobraz.

– Popatrz tam – Hassan wskazał jej widniejące na horyzoncie kopuły miasta. Zniknęły jednak szybko z ekranu, gdyż statek wciąż obniżał swój lot. – W końcu poczuli, że rozpoczął się proces hamowania. Nagłe, choć lekkie przeciążenie wcisnęło ich głębiej w fotele. Hassan i Hid gorączkowo wpatrywali się w dźwignie na pulpicie.

Znaczenie ważniejszych czynności wyjaśnione było za pomocą nielicznych schematów. Nim jednak przebiegli wzrokiem wszystkie, potężne uderzenie o grunt, które wstrząsnęło kadłubem dało im znać, że wylądowali.

Wokół nie widać było żadnego śladu budowli. Leżeli na dnie kotliny otoczonej wapienymi wzgórzami, cichej i jakby wymarłej. Nad nimi rozciągało się intensywnie żółte, ściśle zakryte żółtymi chmurami niebo.

– Ktoś idzie – krzyknęła nagle wpatrująca się w ekran Mona.

Na wierzchołku najbliższego ze wzgórz zauważyli jakiś ruch. Jednolity z początku punkt podzielił się najpierw na kilka, później na kilkanaście punkcików.

– Czy to są pojazdy? – spytała Pal Torsen.

– Nie, oni chyba idą pieszo – stwierdziła ze zdziwieniem Mona.

– Idą pieszo? To nie pasuje do ich wspaniałego opanowania techniki – wykrzyknął Hid. Wyjął lornetkę z bagażu ekspedycji i zdecydowanym krokiem skierował się do wyjścia. Inni pospieszili za nim. Naciągnęli skafandry i już po kilkunastu minutach stali na zwirowatym dnie dolinki. Niewyraźne punkty przybliżyły się tymczasem na tyle, że dokładnie dostrzec mogli ich kształt i budowę.

– Co to jest? – zawołała Pal Torsen. – Niemożliwe żeby to były istoty żywe.

– Myślę, że to roboty – stwierdził Hid.

– Jak to nieuprzejmie wysyłać nam na przywitanie roboty – skrzywiła się Mona.
– Przedwcześnie wyciągacie wnioski – włączył się Hassan. – Może one wcale nie idą do nas?

– Jednak na to wygląda – zauważył Hid. – Patrzcie, tam idą następne – wskazał na pobliski stok wzgórza.

– Może ci na czele utworzyć mają coś w rodzaju komitetu powitalnego?

– Takimi wymysłami sami utrudniamy sobie zorientowanie w sytuacji – stwierdził dowódca. – Przecież to jasne, że roboty nie przybyłyby tu same z siebie. Ktoś musi nimi kierować. Jeśli oni nie przyjdą do nas, w co osobiście wątpię, my pójdziemy do nich.

Tymczasem roboty otoczyły raketę i stanęły nieruchomo w pewnym oddaleniu.

Hid popatrzył podejrzliwie na ten mur i z desperacją ruszył w kierunku najbliższych stojących.

W tym samym momencie rząd maszyn zaintonował jakąś nieznaną pieśń.

Hid zadumał się – jakże niezwykli muszą być panowie tego świata, skoro nawet w programach maszyn znaleźli miejsce na pieśni. Już przedtem zauważył, że wszyscy teleportanci, nawet Sem3Set bardzo żywo i z jakąś niezwykłą radością reagowali na muzykę.

Więc jednak komitet powitalny – pomyślał. – Tylko dlaczego sztuczny? Gdzie podzieli się sami gospodarze?

Wpatrzony w rząd robotów nie zwrócił w pierwszej chwili uwagi na stojącą obok Pal. Dopiero gdy dziewczyna szturchnęła go w bok oderwał wzrok od automatów.

– Spójrz, tam na kamieniu! – wskazała w bok. Odwrócił się i ujrzał stojącą na głazie Vyasę.

– Ona jest bosa – powiedziała Pal ze zdumieniem.

– Może jest istotą niższego stopnia, autochtonką tej planety. Panowie robotów mieszkają zaś w tamtym mieście – szepnął Hid.

Tymczasem dziewczyna zwinnie zeskoczyła z kamienia i skierowała się w ich stronę. Tuż za nią nad gruntem posuwała się jakaś elipsoida.

– Ależ to Sem3Set, ten wścibski robot, który przeteleportował się do nas na Trans-Sol – wykrzyknął Hid zaskoczony. Tymczasem Sem zbliżył się do nich i zaczął paplać:

– Ach, więc to ty jesteś tym drugim kosmonautą, tą kosmiczną siostrą mojej pani. Miło z waszej strony, że wreszcie wylądowaliście na powierzchni Sixty. Czy zawsze musicie się tak długo namyślać zanim coś postanowicie? Serdecznie witamy! Przedstawię wam teraz moją panią – wskazał na dziewczynę. – To jest Vyasa Ult. Ona nie mówi waszym językiem. Dlatego ja będę waszym tłumaczem. Czekala tu na was na wzgórzu wraz z grupami robotów i przyglądała się waszemu lądowaniu. Chce was poznać. Liczba żyjących na Sixcie i w stacji nie jest duża. Nie dziwcie się więc, że przyszła sama.

W pewnym momencie gadaninie robota zawtórował szereg melodyjnych dźwięków. Brzmiały tak, jak gdyby ktoś wysypywał drobne kulki na klawiaturę ksylofonu. Przez moment kosmonauci stali zasłuchani i zdumieni i dopiero po chwili Pal zorientowała się, że to, co słyszą, jest głosem Vyasy.

– Ona mówi – podjął natychmiast robot – że w każdej chwili jesteście mile oczekiwanymi gośćmi pod kopułami. Tam przygotowuje się teraz dla was specjalne pomieszczenia, w których będziecie mogli przebywać bez skafandrów. Vyasa Ult i Hyp Sar – administrator, pozdrawiają was. Pod kopułami oczekuje na was również Seig Prem, którego zdążyliście już poznać podczas seansów teleportacji. Cieszymy się, że wy, Ziemianie osiągnęliście już wiek podróży kosmicznych i przybyliście nawiązać kontakt z naszymi światami.

– Dziękujemy za pozdrowienie – wyjąkała Pal, której pomieścić się w głowie nie chciało, że ta bosonoga dziewczyna to Vyasa Ult, Eridanka, pani nad robotami i mieszkanka miasta kopuł.

– Zdumiewająco nieskomplikowane powitanie – mruczał Hid – co teraz robimy?

Będziemy tak sterczeć jak para dębowych kłoców?

Pal Torsen grzebała intensywnie w kieszeni skafandra. Wreszcie, po chwili, wyciągnęła stamtąd okrągłą tarczkę pudełka. Wieczko otworzyło się pod dotknięciem jej palców i nagle w rękę wykwitł jej bukiet prostych polnych kwiatków. Na Ziemi była to dziecinna zabawka, ale dla Pal bukiet ten był równoważny z macierzystą planetą. Zabrała go ze sobą jako talizman. Pal podeszła do Vyasy i podała jej bukiet. Zademontrowała jak można go schować ponownie w pudełku. Za każdym otwarciem wieczka ukazywał się inny zestaw kształtów i barw. Vyasa z dziecinną radością wypróbowała ten nietypowy kalejdoskop wiele razy. Wydawało się, że zrozumiała od razu znaczenie tego prezentu, gdyż głos jej stał się dziwnie melodyjny, a bezradny tym razem Sem3Set nie był w stanie przetłumaczyć jej słów oczarowania. Powtarzał tylko w kółko:

– Ona bardzo się cieszy, ona śpiewa, ona jest bardzo, bardzo wesoła. Ona uważa, że to bardzo pięknie z twojej strony człowieczko, że ty ofiarowałaś jej te kwiaty. Ona mówi, że wkrótce podaruje ci coś równie pięknego ze swojej planety.

Vyasa zamknęła wreszcie pudełko i za pośrednictwem robota przekazała im, że mają podążyć za nią. Weszli na szczyt najbliższego wzgórza. Stamtąd dziewczyna wskazała im kopułę miasta.

– Możecie tam przybyć – powiedział Sem – gdy tylko roboty ukończą przygotowywanie dla was pomieszczeń i jakiegoś pojazdu. A na razie ona przeprasza was, ale musi powrócić do stacji. – Dziewczyna i robot odwrócili się i usadowiwszy się w czymś w rodzaju latającego fotela oddalili w stronę zabudowań.

Pal i Hid zawrócili i poszli w stronę pojazdu. Tam zobaczyli roboty składające jakiś pojazd i wyrównujące grunt w zaimprovizowaną ulicę.

Hassan el Nur i Mona Sommer oczekiwali z niecierpliwością na ich powrót. Gdy znaleźli się z powrotem w pojeździe podzielili się swoimi uwagami. W zasadzie mogli uznać, że nie mają się czego obawiać. Eridańczycy nastawieni byli do nich bardzo przyjaźnie i okazali to z ogromną radością. Teraz pozostało czekać na wizytę w mieście.

Następnego dnia rano montowany przez roboty pojazd był gotów. Z drżącymi sercami, lecz i pełni ciekawości podążyli do miasta. U wejścia do kopuł powitała ich ponownie Vyasa z nieodłącznym Semem. W ich towarzystwie w ciągu najbliższych trzech dni zwiedzali miasto, zapoznawali się z historią i kulturą Eridańczyków. Ze zdumieniem dowiedzieli się, że na Sixcie działa wspólna stacja dwóch ras zamieszkujących dwie planety Epsilon Eridani: Eridanów, których przedstawicielami była Vyasa i Seig Prem oraz Lornów, spośród których wywodziła się pozostała dwójka: Hyp Sar i Or Lum.

Gdy zapoznali się wreszcie z niespodziankami Sixty nastąpił moment uroczystego powitania. Zebrali się wszyscy w centralnej kopule miasta. W podniosłym i uroczystym nastroju zaczął przemawiać Hyp Sar:

– My, Eridanie i Lornowie z Oasis-Vitra i Oasis-Sandra chcielibyśmy zrobić wam niewielki prezent na powitanie. Na kosmodromie stoi jeden z naszych statków kosmicznych. Roboty przebudowały go i urządziły według waszych przyzwyczajzeń. Bierzcie go w posiadanie i nauczcie się nim sterować. A później lećcie nim na spotkanie z waszymi towarzyszami, którzy w fotonowych rakietach podążają waszym śladem. Wasz lot na tych dziwnie skonstruowanych statkach kosmicznych przez odległość wielu lat świetlnych jest nie lada wyczynem. Chcielibyśmy jednak byście byli lepiej zabezpieczeni przed niebezpieczeństwami kosmosu. Mamy nadzieję, że nasz statek wyświadczy wam niejedną przysługę. Gdy powrócicie z waszymi towarzyszami, polecimy z wami na nasze ojczyste planety i tam was powitamy. Życie zawsze szuka innego życia. Czas i przestrzeń nie są już i dla was barierami nie do pokonania. Także i dla was bracia i siostry z Układu Słonecznego nadszedł czas ery kosmicznej.

Ze świecących mas, z kosmicznego mrozu i z kosmicznej nocy powstały w wielu

światach istoty obdarzone rozumem. Wiele trudu, niezliczonych pomyłek i bolesnych ofiar trzeba było, by we wszechświecie powstało rozumne życie. Ale raz powstawszy, zwycięża. To ono jest najwyższym dobrem w całym kosmosie. Pamiętajmy więc o tym i utrzymujmy dobrosąsiedzkie stosunki! Przekazujemy wam też w posiadanie naszego tłumacza – Uniwersalnego Robota Towarzyszącego Sem3Seta, który stanie się waszym przewodnikiem podczas naszej nieobecności.

Pal Torsen ze zdumieniem wpatrywała się w widoczny na ekranie umieszczonym w sali kulisty statek kosmiczny, którym za kilka lat powrócą na Ziemię, by zademonstrować w ten sposób konkretny dowód przyjaźni i gościnności panującej wśród wysoko rozwiniętych cywilizacji kosmosu.

– No, stary – zwrócił się Sem3Set do swego nowego dowódcy – cieszysz się z tego prezentu, czy też chętniej zamieniłbyś mnie na ogromną trąbę świetlną, którą do nas przybyliście?

Pytanie robota wytrąciło Hassana z podniosłego nastroju. Na jego twarzy pojawił się kpiący uśmiešek:

– Sem, stary, jesteś tak niepowtarzalny, że chyba będziemy musieli z ciebie zrezygnować. Nie bylibyśmy w stanie zrewanżować się gospodarzom niczym równie oryginalnym, nawet naszą świetlną trąbą, starą, pocziwą Trans-Sol-1.

SPIS TREŚCI

Na zewnątrz świata	03
Powrót	23
Ślady na lodzie	37
Taniec potworów	56
Bariera księżycowego pyłu	75
Teleportanci	88